

Agnieszka Lis

Jutro będzie normalnie

Replika

Spis treści

Jesień	/	7
Zima	/	53
Wiosna	/	117
Lato	/	169
Monsun	/	209
Monsun letni	/	237

Jesień

Poprzedniego wieczoru mąż powiedział mi, że jestem dobrym człowiekiem. Trudno zdecydować czy to komplement, czy kpina. Dobry brzmi jak naiwny. Niedzisiejszy, niegdysiejszy.

Wszystko dlatego, że moja jedyna przyjaciółka, Malwina, zapomniała mnie poinformować, że wróciła do Polski. Wszystko dlatego, że nie robiłam z tego problemu.

- Dobroć nie ma tu nic do rzeczy - próbuje tłumaczyć. - To po prostu przyjaźń. Zrozumienie, pomijanie błahostek.

- Akurat - prycha Zbyszek i zagłębia nos w gazecie.

Dobry. Powtarzam to słowo nad kuchennym zlewem, aż staje się tylko zlepkiem liter. Dobry. To znaczy wyrozumiały, tolerancyjny, rozumiejący. Dobry wybacza, krzywdy zapomni, w biedzie pomoże. Dla siebie niewiele chce.

Jak ja?

Dzisiejszy zabiegany dzień pozwolił mi na pierwszą szklankę herbaty dopiero o czternastej. Jolka, mój starszy słuźbowy dopust boży, koleżanka z za biurka, przechodziła samą siebie. Nie da się ostatnio z babą wytrzymać. Od dawna jej tłumaczę,

że chcę wychodzić z pracy wcześniej. Joanna, nasza kierowniczka, nie widzi żadnego problemu, ale Jolce trudno pogodzić się z tym, że ktoś miałby lepiej niż ona. Lepiej? Praca musi być wykonana - wcale nie miałabym lepiej. Musiałabym tylko być jeszcze bardziej zorganizowana. Jolka to biedna kobieta, swoją drogą. Niby ma syna, ale mieszka od dawna sam - z matką kontaktuje się rzadko.

Nie udało się jej. Kiedyś, kiedy Michał był mały, zostawiła go na pięć lat i wyjechała do Stanów na przysłowiowe saksy, a potem... potem było już za późno. Płacz i zgrzytanie zębów nie pomogły. Chłopak znalazł się w szpitalu dla nerwowo chorych, wplątał w narkotyki, przydarzyły mu się jakieś drobne kradzieże. Neurotyczna osobowość, kopia mamusi. Do tego Jolka nie ma żadnego stałego faceta. Pięciu mężów przetrwała - ale z nikim nie związała się na dłużej. Tak z kwiatka na kwiatek, to i do domu spieszyć się nie musi. Czasem to jej nawet zazdroścę. Może wyjść kiedy chce, i wrócić kiedy chce - albo nie wracać w ogóle. A jeśli zostawi po sobie porządek, to po powrocie zastanie też porządek.

A ja zostawiam po sobie porządek każdego wieczoru. Rano nie zdążę jeszcze wyjść do pracy, a już panuje artystyczny nieład. Uważam, żeby nie poślizgnąć się na żadnej ciężarówce, nie potknąć o misia, ewentualnie nie uderzyć o kosmicznego robota. Jeszcze do niedawna udawało mi się utrzymywać zabawki w ryzach, ale teraz z każdym tygodniem mają coraz więcej mocy i coraz większy zasięg. Część z nich opanowała już nawet sufit - albo z niego zwisa, albo jest do niego przyklejona. I kiedy patrzę na ten galimatias, to zazdroścę Jolce. Ma cicho i spokojnie.

Cicho, spokojnie i ma porządek - i nikt na nią nie czeka. Nikt rano nie przygotowuje jej herbaty i nie podaje panadolu, kiedy

boli ją głowa. A ja najpierw dostanę panadol, w drugą rękę szklankę z herbatą, a od tyłu kuksańca, żebym już wstawała, bo dziecko się nudzi. Do tego mały zaśmieje się perliście i chociażby głowa odpadała mi z bólu, wstanę i pójdę się z nim pobawić.

Co tam, niedługo wyrośnie i nie będzie chciał się bawić ze starą matką.

Fajnie, że udało mi się dzisiaj wyjść z pracy w miarę normalnie. Wprawdzie goniłam z robotą przez cały dzień, ale udało mi się skończyć wcześniej niż zwykle. Już o piętnastej dziesiątą byłam w drzwiach, a w domu pół godziny później. I mam swoją ciszę i spokój. Wprawdzie nie ma róży bez kolców i bałagan też mam, ale na razie nie będę go sprzątać, co tam. I tak za półtorej godziny pojawi się mój ancymon z babcią i rozwibruje cały dom.

Nie mogę się nasłuchać tej ciszy. Nie włączam radia ani telewizora - żeby mi jej nie zakłócały. Chociaż u sąsiada radio gra na cały regulator. Marzy mi się ogródek, nawet malutki. I cichutki. Wyszłabym sobie wtedy na taras, przysiadła na chwilę i popatrzyła na drzewka.

Marzenia. Wyjść to ja sobie mogę - na balkon. Na balkonik. Metr na półtora, z tym że przydatność do oglądania drzewek jest mizerna, bo cały jest w sznurkach do wieszania bielizny. Nie mam jak rozwiesić prania w łazience, bo wtedy nie można prysznic wziąć ani nawet rąk umyć. Łazienka jest tak mała, że zamiast umywalki stoi pralka, a ręce trzeba myć nad wanną. A jakby nad tym jeszcze wisiało pranie... Najgorzej jest zimą. Ale co tam, mamy, do licha, lipiec! Przed oczami staje mi taras wychodzący na mały ogródek i tej wizji będę się trzymać, a co.

Ale szybko się wszystko robi w kuchni, kiedy w domu spokój, nikt nie ciągnie mnie za spódnicę, nikt nie woła ani niczego nie chce. Warzywa na zupełną już obraną i pokrojone. Leżą spokojnie w garnku i czekają na śmierć poprzez wygotowanie.

Tak, obiad gotowy, tylko wstawić, a ja - ciągle mam jeszcze prawie godzinę, świat jest piękny! Zbyszek powinien być w domu dzisiaj trochę po osiemnastej, może ciut wcześniej. Kiedy więc teściowa wróci z małym z przedszkola, będzie jeszcze jakaś godzina do powrotu męża. Zjemy zupełną, a z drugim poczekamy na Zbyszka.

Zza ściany słyszę wiadomości. Sąsiad trochę głuchy, więc nawet i pretensji do niego mieć nie mogę, chociaż przeszkadza... Za to drudzy sąsiedzi - tych z kolei w ogóle nie ma. Kilka lat temu kupili sobie dwa hektary osiemdziesiąt kilometrów od miasta. Cudo, pół działki zadrzewione, las stary, gęsty i piękny. Życie wśród natury, istny raj. Sąsiadka mówiła o tym z błyskiem w oku, od samego słuchania robiłam się zazdrosna. No i co? Przeprowadzili się tam, zobaczyłam Stefę po pół roku. Spotkałam ją na ulicy i poznałam dopiero w ostatniej chwili, kiedy mi się ukłoniła. Zawsze była szczupła, ale w tym lesie schudła jeszcze z piętnaście kilo. Teraz wygląda, jakby startowała w wyborach na miss zagłodzonych wampirów. No, nasza szkapa po prostu. Do tego przestała farbować włosy i okazało się, że jej naturalny kolor jest mało twarzowy. W sztucznym ciemnym blondzie wyglądała lepiej i naturalniej - kto zresztą prezentuje się dobrze w siwiźnie? Stefa ma niecałe czterdzieści lat. Gdzie tam czterdzieści, niedawno skończyła trzydzieści pięć, a wygląda jak moja babka! Sucha, pomarszczona skóra, na oko sześćdziesiąt pięć plus. Makabra.

To może ten mój balkonik nie jest taki zły? Nie mogę wprawdzie na niego wyjść, by podziwiać ścianę szumiącego lasu, ale za to mogę się odwrócić, wejść do łazienki i posmarować twarz kremem. Lub wyjść z domu, przejść osiemset metrów i kupić sobie inny krem. I przy okazji wiadomości od sąsiada posłucham, nawet radia nie muszę włączać.

Ze Stefą Proszą to trochę tak, jak z moją teściową. Rodzice Zbyszka mają nieduże, ale ładne mieszkanie blisko centrum. Miasto jest niewielkie, to zaledwie dwa przystanki od naszego osiedla, ale jednak mamy dwa oddzielne mieszkania. Nasze jest w blokowisku, teściów - w naprawdę ładnym miejscu, przy bocznej, zadrzewionej ulicy, bardzo blisko parku. No, drugie piętro to trochę niedogodność, ale na okrągłą jak beczułka figurkę teściowej to i czwarte by się przydało. Mamusia wierciła teściowi dziurę w brzuchu tak długo, aż wywierciła działkę za miastem. I teraz rokrocznie, już w marcu, działka jest przedmiotem wojny domowej. Bo teściowa w mieście siedzieć nie chce - od kwietnia do listopada chce mieszkać na działce. Ta działka znowu nie jest na końcu świata, bo dzieli ją od miasta zaledwie czterdzieści kilometrów. Ale bywały takie lata, że jak Mamusia tam wsiąkła, to przez pół roku w mieście stopy nie postawiła. Bo i po co? Może racja, domek tam jest, wprawdzie z gatunku wiecznotrwałej prowizorki, ale przespać się można. Działka jest w środku lasu, dla zmęczonej pospiechem życia duszy - jak znalazł. Ale Mamusia nie prowadzi samochodu, a autobusu nie ma tam w promieniu pięciu kilometrów. Sąsiedzi jacyś owszem, od czasu do czasu się trafiają, ale głównie w weekendy, a i to sporadycznie. Kiedyś się zdarzyło, że matka zasłała. Ojciec dzwonił po karetkę, nie mogła tam trafić po nocy, szukali się wzajemnie. W tym czasie teść wycinał konar z drzewa sąsiadów, bo blokował

drogę ambulansowi... Czeski film. Na koniec, tuż przed północą, kiedy Mamusia leżała już w szpitalu, teść zadzwonił do nas. Zbyszek tak spanikował, że wyskoczył z wanny, w której siedzieliśmy, stłukł kieliszek z winem, bo właśnie zaczynaliśmy romantyczną część wieczoru, i był tak przerażony, że musiałam podawać mu kolejne części garderoby. Uznałam to za stosowne po dłuższej chwili przyglądania się, jak próbuje głowę wcisnąć w rękaw swetra, przy czym na zewnątrz było dwadzieścia siedem stopni. Oczywiście pojechałam wtedy z nim i chociaż mój mąż na co dzień jest bardzo spokojnym i poprawnym kierowcą, tego wieczoru przekroczył większość znanych mi przepisów drogowych.

A gdyby coś takiego stało się teściowi, nie teściowej? Mamusia nie za bardzo potrafi sprawnie posłużyć się telefonem komórkowym - zadzwoni tylko wtedy, kiedy klawiatura nie jest zablokowana, bo inaczej „telefon nie działa”, SMS-a nie wyśle, bo nie potrafi, samochodu nie prowadzi...

Jakoś nigdy nie potrafiłam się z teściową dogadać. Och, młoda byłam i głupia - tylko to drugie mi zostało. Marzeń miałam bez liku i nie wyobrażałam sobie żadnych kompromisów. Wygadana też byłam, że ho ho. Ale ja byłam młoda, a teściowie starzy, a jeszcze głupszy ode mnie. Nic nie pojmowali z tego mojego gadania i nigdy się nie porozumieliśmy.

* * *

Kiedyś Mamusia zaprosiła nas na noworoczny obiad. Niby zwyczajna sprawa, ale zaproszenie było wystosowane w stylu nieuznającym innego wariantu spędzenia czasu w Nowy Rok. Cypriana nie było wtedy jeszcze na świecie, więc planowaliśmy

dłuższe balowanie i stawianie się na wyznaczoną godzinę na wystawnym obiedzie nie nęciło mnie jakoś najbardziej na świecie. Ale nic to. Trzeba - idziemy.

A na miejscu... jadalnia świątecznie udekorowana, obrus śnieżnobiały, gałązki świerku na obrusie dodają aromatu. Zastawa świąteczna, historyczna porcelana, biała ze złotym paskiem, bardzo elegancka. Stół zastawiony pysznościami. Osiem przystawek, co jedna, to lepsza, dwa główne dania mięsne, cztery rodzaje warzyw, ziemniaki, ryż i kasza do wyboru. Na deser owoce i trzy rodzaje ciast, w tym jeden tort. Wszystko oczywiście domowej roboty. Wyglądało lepiej niż na reklamowych zdjęciach. Po prostu miód-malina.

I u szczytu stołu teść.

Dzieci jeszcze wtedy nie mieliśmy, a teściowie mieli już odchowane, czyli w domu też ich nie mieli - i także zabalowali. To znaczy teść, bo teściowa to raczej nie pije. W efekcie szampańskiej zabawy teść siedział przy stole coraz bardziej pijany, bo w trakcie obiadku poprawiał. Mamusia miała czerwone, podpuchnięte oczy i rozświergotanym głosikiem zachęcała nas do jedzenia, „tak malutko przecież zjedliście”. Atmosfera była jak we wnętrzu egipskiej piramidy, a może nawet byłoby sympatyczniej spożywać noworoczny posiłek w komorze grobowej faraona. Niewykluczone, że sąsiedztwo kilku mumii okazałoby się bardziej zabawne. Starożytni mieli trochę inne podejście do spraw życia i śmierci, można by się od nich sporo w tym zakresie nauczyć.

Siedziałam i nic nie rozumiałam. Mało gadałam, ale do czasu. W pewnym momencie teść, zachwycony własną elokwencją i wysokim poziomem kulturalnej rozmowy, prowadzonej przez samego siebie z samym sobą, rozpoczął wykład z zakresu

słuszności przestrzegania wszystkich przykazań, obowiązku cotygodniowego chodzenia do kościoła i uczestniczenia we wszystkich sakramentach. Jak dla mnie liczba prawd i objawień w stosunku do proporcji na jeden obiad była zbyt wielka. Och, nie pamiętam już dzisiaj nawet, co dokładnie mówiłam. Trochę tego było. Powiedziałam, zakończyłam grzecznym „do widzenia” i wyszłam. Nawet się wtedy nie zastanowiłam, że przecież Zbyszek został, nie pomyślałam o tym, że może za mną nie pojechać. Wróciłam do domu sama i sama chciałam w tamtym momencie być. Kiedy emocje już trochę opadły, Zbyszek przyjechał do mnie, przytulił mnie i dopiero wtedy się rozluźniłam. Nawet się nie rozpłakałam, bo i dlaczego? A dopiero późno, późno w nocy dotarło do mnie, jak trudne to musiało być dla mojego męża. Został z rodzicami sam, musiał odeprzeć ich ataki i jeszcze do tego przekonać sam siebie, że miałam prawo tak wybuchnąć.

Czy naprawdę je miałam? Miałam rację i miałam prawo wyjść. Przecież nie muszę słuchać kazań pijanego faceta, który usiłuje groteskowo odgrywać rolę autorytetu. Ale przecież mogłam potraktować to jako kabaret, może nie najwyższych lotów, ale jednak dosyć komiczny zestaw różnych żarcików, kłamstewek, półprawd i prawie prawd. Marny talent aktorski wygłaszającego przy odpowiednim punkcie widzenia mógłby po prostu wzmacniać żartobliwy efekt. W ostateczności mogłam potraktować to z sardonicznym poczuciem humoru i nie wypowiadać swojego zdania. Dzisiaj bym już tak zrobiła.

Dzisiaj.

Może jednak z upływem czasu staję się nie tylko coraz starsza, ale też i odrobinę mądrzejsza.

Mamusia też potrafi być niezłą żoną.

Co roku w połowie listopada zaczyna się nerwowe dreptanie: gdzie będzie kolacja wigilijna? Teściowa bowiem nie dopuszcza do siebie myśli, że jej synkowie, a właściwie jeden synek - bo brat Zbyszka dawno dał dyla spod skrzydełek Mamusi aż na antypody - mógłby spędzić Wigilię we własnym domu. Ciagle do niej nie dociera, że każdy z syneczków jest dorosłym facetem. Kiedy zamieszkaliśmy razem ze Zbyszkiem, bardzo zależało mi na tym, żebyśmy mogli spędzić Wigilię u siebie. To było dla mnie ważne, ta pierwsza wspólna Wigilia we wspólnym domu. Miała być tylko nasza, taka prywatnie nasza. Po prostu pierwsza. Już od dawna nie miałam prawdziwej rodzinnej Wigilii. O takiej od wielu lat marzyłam.

Mam pod powiekami tylko wspomnienie dziesięciolatki. Zamglony i niewyraźny obraz: stół, światło świec odbijające się błyszczącymi wzorami na porcelanie, jacyś uśmiechnięci pani i pan. Moi rodzice zginęli w wypadku dwa miesiące po tych świętach, nie znam jego szczegółów i nie chcę znać. I niewiele z tego okresu pamiętam. Tylko ten obraz: śnieżnobiały talerz ze złotym wzorem na wysokości mojego nosa i wysokie świeczniki, ze światłami migoczącymi jak na Pałacu Kultury, o którym opowiadał mi tata.

I tyle.

Nie został mi w pamięci żaden zapach, żadne kolory. Tylko mgła i zarysy postaci. I nostalgia, do której boję się wracać.

A teraz zamiast nostalgii... szkoda gadać. W starciu z teściową byłam i pozostaje bez szans. W wigilię więc wróciłam po pracy do domu, zrobiłam naszą skromną odświeżoną kolację,

po czym pojechaliśmy do teściów na kolację właściwą i nawet nie można się było przyznać, że już jedliśmy. I tak było co roku.

Dopiero ostatni rok był inny.

Kilka lat temu przestałam być Don Kichotem i zaniechałam prób zaproszenia teściów do nas. O rodzinnej intymności dawno już śnić przestałam.

Będzie, co będzie, myślałam i nie zwracałam sobie tym głowy. Był już drugi tydzień grudnia, kiedy teściowa nie wytrzymała.

Srebrnym sopranem rozpoczęła:

- Wiesz, w tym roku chyba nie będzie takich prawdziwych świąt...

Lekko zbaraniałam, nie miałam pojęcia, o co chodzi i bałam się cokolwiek powiedzieć.

- ...bo widzisz - Mamusia kontynuowała - jesteśmy w tym roku zaproszeni do cioci Elżuni i pojedziemy tam na dwa dni przed świętami, a wrócimy dopiero przed Nowym Rokiem.

Moje szczęście nie miało granic i nie wiedziałam, co zrobić, aby nie było tego po mnie widać. Zająłam się więc pilnymi robotami kuchennymi, które jeszcze dwie minuty temu w hierarchii ważności znajdowały się dosyć nisko.

- Mamo, cieszę się, że odpoczniesz w tym roku, zawsze tak ciężko przed świętami pracujesz. Starałam się włożyć w wypowiedzianą kwestię maksimum ciepła.

Teściowa wyraźnie nie była zadowolona z mojej odpowiedzi. Gdzie rozpacz? Gdzie żal, że nie będzie klusek z makiem, czyli kupnego makaronu z mieloną masą z puszki? I barszczu z kartonika? Teściowa gotowała wprawdzie bardzo dobrze, ale głównie dla znajomych; od kiedy zaserwowała nam na Wigilię

barszcz z kartonu, straciłam złudzenia, co do jej gotowości do poświęceń dla ukochanych dzieci.

To były najpiękniejsze święta, jakie przeżyliśmy ze Zbyszkim w ciągu piętnastu lat naszego wspólnego życia.

W Wigilię nie poszłam do pracy, przygotowałam spokojnie kolację. Mieszkanie było już wcześniej posprzątane, Zbyszek bardzo mi w tym pomógł. Właściwie w Wigilię tylko jeszcze odkurzył i wytarł podłogę, wszystko inne zrobiliśmy wcześniej. Przygotowania do kolacji rozłożyłam sobie na trzy dni, a nawet na więcej - bo tort zrobiłam pięć dni wcześniej - nie miałam więc zbyt dużo pracy. W przerwach między gotowaniem bawiłam się z Cyprianem, śpiewaliśmy razem kolędy, jednym słowem - po prostu miło spędzaliśmy czas. O czternastej przyjechał Zbyszek, zajął się trochę małym, nakryłam do stołu, usiedliśmy do kolacji. Luksusem było dla mnie to, że nie musiałam robić tego na czas. Po prostu podam kolację, kiedy będzie gotowa. Nie o wyznaczonej godzinie, nie dokładnie w chwili, gdy... Tylko tak po prostu.

Kolację zjedliśmy sobie na raty, mały na kolanach u taty pokazywał, co chce dostać do bużki. Zbyszek zaparzył kawę i usiedliśmy do rozpakowywania prezentów.

Prezenty to jest u nas w domu osobna historia. Ich gromadzenie zaczyna się czasami już we wrześniu. To znaczy ja je zaczynam. Jeśli znajduję coś, co według mnie nadaje się na prezent dla kogoś - to po prostu to kupuję. Czekam potem w szafie na swój czas. Kiedyś, kiedy nie było Cypriana, od razu pakowałam i opisywałam taki prezent. Czasami po trzech miesiącach nie pamiętałam już, co to było. W ten sposób sobie także robiłam niespodziankę. Dzisiaj nie pakuję prezentów wcześniej, brakuje mi miejsca na ich przechowywanie. Zapakowany

pięknie podarunek nie może już być przestawiany; musi stać spokojnie w przestronnym otoczeniu, w którym nie pogniecie się papier ani nie pozaginają kokardy. Uwielbiam pakowanie prezentów. To magiczna chwila, w której zwykłe pudełko staje się niewiadomą. Zawsze sprawiało i nadal sprawia mi to ogromną przyjemność, prezenty w naszym domu pakowane są więc naprawdę ładnie. W tym roku też pod choinką znalazło się mnóstwo paczek, błyszczących, różnokolorowych. Mały onie-miał. Wydał z siebie tylko głębokie westchnienie i zanurkował pomiędzy kartony. Był zachwycony, a my razem z nim. Rozpakowywanie każdego prezentu trwało i trwało. Każdy musiał pokazać, co dostał, a wszystkie drobiazgi podlegały wnikliwej analizie Cyprianowych oczu i rąk. Wszystko zajmowało dużo czasu, ale przecież nie spieszyliśmy się nigdzie. Po raz pierwszy mogliśmy po prostu cieszyć się wzajemną obecnością.

Tylko tyle, aż tyle i nie chcieliśmy nic więcej.

To były najpiękniejsze święta, jakie mi się przydarzyły. Jak z amerykańskiej reklamy - tylko nie były plastikowe.

Zadziwiające, że po świętach nie usłyszałam nawet specjalnych komentarzy od teściowej, po prostu: życzenia, prezenty i tyle. Bo na ogół to Mamusia ma dużo do powiedzenia, oj... to chyba zemsta za mój niewyparzony język w młodych latach.

* * *

W domu dziecka, do którego trafiłam, musiałam nieźle dać w kość wychowawcom. Dzisiaj myślę, że to był mur, za którym ukryłam wszystko to, z czym nie potrafiłam sobie poradzić. Śmierć rodziców, samotność, rozdzielenie z chorą siostrą. Moja siostrzyczka... Była chora, miała zespół Downa, w domu

dziecka nie było nikogo, kto mógłby się nią zająć. Trafiła więc do specjalistycznego, teoretycznie, domu opieki, ale tam też nie potrafili się nią zaopiekować. Dorotka była w naszym domu hołubiona i kochana. Ten najdotkliwszy z braków - brak ludzkiego ciepła i prawdziwej miłości, zabił ją w ciągu niecałego pół roku. Tak przynajmniej sobie to tłumaczę, bo nikt nie chciał mi powiedzieć nic konkretnego. Na pogrzebie rodziców widziałam Dorotkę ostatni raz, przytulałam ją wtedy mocno, tak mocno, że do dziś to pamiętam. Na jej pogrzeb nie pozwolono mi pojechać.

Myślę, że ściany, którą wtedy zbudowałam wokół siebie, nie udało mi się do dziś całkowicie rozebrać. Kilka cegieł jest tak mocno zespolonych, że pewnie zostaną całością na wieki.

Zmądrzałam, dziś większość myśli zatrzymuję dla siebie. Znacznie poprawiło to jakość naszej komunikacji rodzinnej. Chociaż nawet wielka mądrość nie byłaby czasami wystarczająca.

Kiedyś, zanim zatrudniłam się w urzędzie, pracowałam jako przedstawiciel handlowy - sporo wtedy jeździłam. Dawne to czasy, niedługo trwały, ale tak było. W tamtym czasie któregoś weekendu pojechaliśmy do teściów na działkę. Zbyszek z tatą poszli do lasu - ja zostałam z Mamusią i prowadziłyśmy leniwą rozmowę w blasku słońca. Pozornie o niczym. Zadała mi pytanie, czy nie martwię się o Zbyszka, kiedy tak często wyjeżdżam. Spokojnie jej odpowiedziałam, że Zbyszek sobie poradzi.

- No właśnie, żeby tylko nie poradził sobie za dobrze.

Zadowolona teściowa mlasnęła, widząc moją minę. Nic jej na to nie odrzekłam, bo też nic nie miałam do powiedzenia. Ale kiedy wracaliśmy do domu, wspomniałam o tym Zbyszku. Aż przyhamował z wrażenia. Okazało się, że został uraczony podobnym pytaniem, kiedy ja weszłam na chwilę do

altany. Czy nie obawia się, co ja tam wyprawiam, kiedy tak często nie ma mnie w domu? Czy aby na pewno wie, gdzie jestem, co robię i z kim?

Nie potrafię tego zrozumieć. Przecież robi to własnemu dziecku! Jemu psuje humor i krew, jemu przysparza zmartwień.

Ja też kiedyś taka będę?

Mam jeszcze pół godziny do powrotu rodziny, ogarnę trochę. Szum odkurzacza dobrze mi robi na rozmyślenia o teściowej. Wyobrażam sobie na przykład, że ten odkurzacz to talerz UFO, że kosmici przybyli na naszą planetę, żeby porwać kilku Ziemiaków i trafiają akurat na naszą Mamusię. Jest mi błogo, jest mi dobrze, jest cisza wokół i słychać tylko warkot odlatującego spodka... Warkot jednak nie milknie - okazuje się, że UFO wraca i pozostawia ją na Ziemi, burząc spokój zielonej nasłonecznionej łąki, na której właśnie odpoczywałam. Z moją teściową nawet UFO nie wytrzyma, ta konstatacja powinna być mi znana już od dawna, nie mam co liczyć na szczęśliwy traf. Grasuję więc z odkurzaczem dalej i snuję kolejne marzenia na temat bezteściowej krainy szczęśliwości.

Istniejącej wyłącznie w mojej umęczonej wyobraźni, bo życie bez Mamusi nie byłoby możliwe.

* * *

Cyprian uwielbia swoich dziadków. Dziadkowie zajmują się nim, odkąd mały skończył rok, a ja wróciłam do pracy. Od tego czasu nieustająco przekonuję się, dzień po dniu, jak złą i niedobłą jestem matką.

- Za późno kładziesz małego spać.

- Mały nie powinien mieć codziennie mytej główki, bo może się przeziębić.

- Mały jest przekarmiany.

- Nie będę karmiła Cypriana jakimiś śmieciami ze słoiczków dla dzieci. Codziennie gotuję dziecku świeży obiad.

Samo w sobie to nie byłoby takie złe, ale mały ma mnóstwo uczuleń, potrafi zareagować wysypką i dusznościami na nawóz zawarty w kupionej na bazarze marchewce. Dlatego podjęliśmy z pediatrą decyzję o karmieniu wyłącznie daniami ze słoiczków.

- Co to za matka, która daje dziecku takie dziwaczne mleko!

Cyprian źle toleruje krowie mleko, więc kupuję mu mleko kozie.

- Mały jest nieodpowiednio ubierany. Powinien mieć wkładany dodatkowy podkoszulek!

Bez względu na temperaturę.

- Mały nie może chodzić bez kapci!

Nawet jeśli sam z uporem zdejmuje je sobie z nóżek i nie nadążam z ich ponownym wkładaniem.

- Mały na pewno ma gorączkę.

- Mały na pewno nie zaraził się katarem od taty w ubiegły piątek, nie ma takiej możliwości.

Wprawdzie w piątek rano dziecko było zdrowe, a wieczorem już miało gile do pasa, ale to nie ma znaczenia. Tata nie miał żadnego wirusa, tata był tylko przeziębiony i nie mógł zarazić dziecka.

Ani Zbyszka.

Ani nikogo innego, z samą Mamusią włącznie.

Wizyta taty u lekarza w sobotę rano nie ma żadnego związku z jego piątkowym samopoczuciem.

Głęboki, dźwięczny kaszel taty nie świadczy przecież o tym, że tata jest chory!

- Mały znowu przytył? Kto go tak przekarmia!
- Dlaczego to dziecko jest takie chude? Czy naprawdę nie potrafisz go dobrze karmić?
 - Po co mu aż tyle ubranek? Przecież i tak wszystkich nie znosi? Szkoda tylu pieniędzy na ubrania, które nawet nie zostaną zniszczone.
 - Kiedyś to człowiek uszył dziecku dwie pary spodni i musiały wystarczyć!
 - No wiesz, gdybyś tyle nie zarabiała, to na pewno tyle jedzenia nie marnowałyby się w twojej lodówce. Zawsze jest pełna, a przecież nie można aż tyle na raz zjeść, prawda? Przecież można codziennie wyjść na zakupy po świeże jedzenie.
 - Wreszcie masz trochę porządku w zamrażarce. Przejrzałam wszystkie te nieopisane paczki, które tam miałaś, i powyrzucałam to, co leżało już za długo.
 - A właściwie wszystko leżało za długo. Po co ci tyle jedzenia w zamrażarce?
 - Dlaczego w twojej apteczce jest tyle przeterminowanych leków? Zrobiłam tam porządek, wreszcie wszystkie lekarstwa mieszczą się w pudełku.
 - Ach, dzisiaj szukałam rękawiczek Cyprianka i nie mogłam znaleźć, a jak ich szukałam, to stłukła mi się jedna żarówka...
 - Mamo, żarówka? Przecież żarówki leżą na najwyższej półce w szafie, tam można sięgnąć tylko z drabinki...
 - No właśnie, strasznie się zmęczyłam, jak szukałam tych rękawiczek.

- Ale one leżą w dolnej szufladzie, obok szalików i czapek.

- Och, naprawdę?

- Myślę, że Cypriankowi trzeba kupić nowe kredki: grube, świecowe.

Kupiłam mu więc nowe kredki, poprosiłam jednak teściów, żeby nie pozwalali mu malować nimi w domu, a tylko na spacerze, na chodniku. Efektowny rysunek na środku ściany w naszym salonie (saloniku) świadczył jednak o fenomenalnym talencie artystycznym mojego dziecka. Czyż można się gniewać na dziecko za talent? A na babcię za jego odkrycie?

- Dobra matka dzwoni w ciągu dnia i dopytuje się, co dzieje się z dzieckiem.

Wystarczą mi wrażenia dźwiękowe podczas porannego powitania i po południu. Więcej gruchania teściowej mogłabym nie przetrwać i wybuchnąć. Na szczęście teraz Cyprian chodzi do przedszkola - tam nie można „się dopytywać”.

- Kiedy weźmiemy małego na działkę latem, na miesiąc albo półtora, to wreszcie go ustawimy poprawnie.

- Ale ja nie zgadzam się na to, by rozstawać się z dzieckiem na tak długo.

- Co ty tam wiesz, dziecko potrzebuje zmiany klimatu.

Dlaczego mam koniecznie chcieć, żeby ktoś „ustawił” moje dziecko? W dodatku „poprawnie”?

Rozumiecie już? UFO to jest pikuś, to najskromniejsze z moich marzeń.

A teraz zostało mi już tylko dziesięć minut. Wstawiam zupe. Zaraz wróci mój skarb, słoneczko moje i moja chmura.

- Cyprianek się przewrócił i wybrudził spodnie. Ale mamusia ma tyle ubranek, że przebierze synka, prawda? Ciu, ciu, ciu?

Oczywiście, że mamusia przebierze synka. To jedna z niewielu szans na to, żeby pobyła chwilę z dzieckiem sama.

- No wiesz, jest chyba w tym domu miejsce na odkurzac, prawda? Nie musi stać na środku?

Cholera, nie zdążyłam schować.

- Mamo, w przedpokoju, w szafie. Bądź tak dobra i go tam schowaj.

Cisza. Ach, najpiękniejszą muzyką jest cisza.

- Nie zmieści się. - Rezerwa mojej teściowej od dawna mnie wzruszała.

- Rozumiem, mammo, zaraz sama schowam.

Dłuższa chwila milczenia Mamusi pozwoliła mi na nacieszenie się łachotkami z Cyprianem.

- A nie mogłaś od razu schować? Po co odkładać taką robotę? Tylko się bałagan robi!

Mamusia nie musi krzyżeć, mamy małe mieszkanie, wszystko słyhać z każdego miejsca - ale krzyczy. Ucierpiąaby jej wymowność, gdyby wypowiadała zdania normalnym głosem.

* * *

Zycie. Nie jest łatwo. I nie da się odeściwić, bo Cyprian uwielbia dziadka, a i ja jestem spokojniejsza, kiedy zostawiam dziecko z dziadkami. Nianię można bezkarnie ochrzanić, ale nigdy nie można być pewnym, czy nie zrobi dziecku krzywdy. No, prawie bezkarnie. Niania może się zwolnić, teściowa zostaje dożywotnio.

Niech już wróci Zbyszek. Albo niech już przyjdzie teść i niech kochani rodziciele wracają do własnego domu.

Ależ jestem naiwna. Rodzice przecież mają własne, oddzielne mieszkanie. Niby oddzielne. Jest dwa przystanki dalej, w naszym niewielkim mieście to osiem minut piechotą. Teść właśnie poszedł na swoje ulubione łowy, zrobić zakupy na jutrzejsze śniadanie. On uwielbia chodzić po sklepach. Wieczorem kupuje produkty na śniadanie, rano - na obiad, a w ciągu dnia - na kolację. Może dlatego, że w ten sposób bezkarnie może się wyrwać z domu? Może ma dzięki temu więcej poczucia wolności?

Nie wiem, co kieruje teściem, ale nie mam co liczyć na szybki odwrót rodziców do własnych czterech ścian. Nawykli już spędzać z nami całe dni. Kiedyś, kiedy Cyprian był jeszcze mały, my wychodziliśmy do pracy, a dziadkowie zostawali z wnuczkiem. Potem wracaliśmy z pracy, a dziadkowie dalej byli z małym. Kolacja, telewizja, głupio tak wywalać ich z domu. Dopiero kąpiel była chwilą, w której zostawaliśmy sami. Nasz rytuał. Rodzicielska chwila magii. Tata kąpie dziecko, mama robi kaszkę, szykuje picie i ubranie na następny dzień. Potem wspólne pieszczoty przed zaśnięciem. To zawsze był moment, który był tylko nasz.

I tylko ten nam pozostał. Teraz Cyprian chodzi już do przedszkola, a dziadkowie dalej są z nami. Przyprawiają dziecko i już zostają. Do własnego domu udają się dopiero na noc. Oczywiście narzekają - że nie mają kiedy pomieszkać u siebie, że im ciężko. Pewnie, że narzekają. To bonus - dodatkowy element służący do pognębienia mnie. Przecież nie mogę powiedzieć, że nikt ich tu nie trzyma. Nie chcę być jak Marian Kociniak, to znaczy kanonier Dolas, tym razem od trzeciej wojny światowej.

Przytulam jeszcze małego, który uśmiecha się do mnie prze-
słodko. On zawsze się tak uśmiecha albo ja zawsze wtedy spły-
wam cukrem. Idziemy do kuchni. Mamusia przygotowuje kolację.

- Mamo! Przecież ja zrobiłam obiad - mówię, chociaż chcę
krzyczeć.

- Oj, nie zauważyłam... - Mamusia zasepia się na chwilę.
- Ale to nic, wiesz, będzie na jutro.

I nie przerywając już więcej pracy, wsypuje makaron do
garnka. Na patelni dusi się sos pomidorowy, ma dziwny zapach.

Odgrzewam małemu zupę, zabieram go z kuchni. Siadamy
razem w pokoju. Mały je chętnie; dopóki nie przychodzi babcia
udaje mi się wetknąć mu z piętnaście łyżek. Na szczęście, bo
babunia wchodzi ze słowami na ustach:

- Ojej, nie smakuje ci? Babunia da coś innego.

I spokojnie zaczyna karmić Cypriana penne w sosie boloń-
skim.

A ja spokojnie zabieram talerz i wychodzę do kuchni.

Jak długo można być spokojnym? Idę zrobić jakieś ciasto na
ukojenie nerwów.

Wyciągam siate jabłek, niech będzie szarlotka. Jabłka już
się duszą, właśnie zagniatam ciasto, kiedy do kuchni wchodzi
Mamusia.

- Co, ciasto robisz? Od tego się tyje! Nie powinniście jeść
tyle ciasta. Poza tym, już dawno miałam ci to powiedzieć, nie
powinniście jeść tyle majonezu. Ostatnio, kiedy oddawałaś mi
słoiki, były wśród nich trzy po majonezie. No wiesz, majonez
jest bardzo tuczący i do tego niezdrowy.

- Mamo, gdzie jest Cyprian? - przerywam jej.

- Bawi się w pokoju, już do niego idę. Ale skoro już robisz
szarlotkę, to muszę ci powiedzieć, że te jabłka, które ostatnio

kupiłam, są znacznie lepsze. Te twoje są kwaśne, tak bardzo kwaśne, że Cyprian nie chce ich jeść.

- Rozumiem, ale już wrzuciłam je do garnka, najwyżej posłodzę mocniej.

- Cukier to biała śmierć! - rzuca teściowa i wychodzi.

* * *

Kupiłam dwa dni temu pyszne jabłka. Bardzo kruche, łatwe do ugryzienia dla małego, nie nazbyt soczyste i zachowujące idealną równowagę między słodyczą i odrobiną kwaskowatości. Smakowały nam tak bardzo, że wczoraj dokupiłam ich kolejny kilogram.

Czy kiedyś udało mi się zrobić coś, co spotkałoby się z aprobatą mojej teściowej? Chwilowo sobie nie przypominam.

Oj, pamiętam jedno takie zdanie. Brzmiało mniej więcej tak: „Taka ładna dziewczyna”.

A potem: „Co taką skłoniło do tego, żeby się zainteresować Zbyszkim? Przecież on taki niepozorny...”.

W całej swojej niepozorności Zbyszek okazał się fantastycznym towarzyszem życia. Był i jest ze mną we wszystkich najważniejszych momentach. To było szczególnie ważne w trudnych chwilach.

Kiedy musiałam leżeć w ciąży i umierałam z nudów, myślałam czasami, że nie wytrzymam - Zbyszek mnie wtedy podtrzymywał na duchu i utrzymał w łóżku. Kiedy poroniłam pierwsze dziecko, kiedy rodził się Cyprian. Kiedy straciłam pracę i kiedy udało mi się znaleźć tę aktualną. Fantastyczny facet, ale mu nie zazdroszczę. Połączenie Mamusi i żony musi być toksyczne. Matka to matka, miotły jej tylko brakuje, ale żonka szybko się uczy. Też potrafię być jędzowata.

Nie zapomnę chwili, kiedy tuż po poronieniu wróciłam ze szpitala - teściowa zaprosiła nas na obiad. Miły gest, poszliśmy, nie miałam wtedy ochoty na nic, nawet na gotowanie. I co usłyszałam?

- Małgosiu, nie dźwignęłaś czegoś? Bo wiesz, w ciąży trzeba się oszczędzać. Może się przesiliłaś?

Tak to w nieszczęściu teściowa dodawała mi wiary w siebie i poprawiała samopoczucie. Wcześniej nie przeszło mi przez myśl, że zamiast słów pocieszenia - nawet niezręcznego - usłyszę, że jestem winna śmierci własnego nienarodzonego dziecka.

Dwa lata później, kiedy musiałam leżeć w ciąży z Cyprianem, okropnie się czułam, a beczynność doprowadzała mnie na skraj wariactwa. Potrzebowałam towarzystwa. Było lato, teściowie spędzali czas na działce, ale tego dnia byli w mieście. Poprosiłam Zbyszka, żeby zaprosił do mnie swoich rodziców. Powiedziałam, że samej mi smutno i chciałabym, żeby przyjechali. Może by mi podali herbatę? Około czternastej zadzwoniłam do męża z pytaniem, kiedy będą rodzice. Zdziwił się:

- Jak to, nie ma ich jeszcze? Mieli być przed dwunastą!

I co wyjaśnił telefon do nich? Mamusia spokojnie odpowiedziała:

- A nie, nie, nie przyjedziemy do Małgosi, jesteście właśnie u cioci Halinki. Pijemy kawkę i nie będziemy już nigdzie zajeżdzać.

Jadąc od cioci Halinki do nich na działkę, przejeżdża się obok naszego bloku w odległości mniej więcej pięciuset metrów. Od tego dnia nie cierpię słowa „zajeżdzać”.

Zbyszek to święty facet - lekko w życiu nie ma. Pracuje jako kierowca w pobliskiej hurtowni spożywczej, ma pracę na

dwie zmiany. Czasem idzie na piątą rano, a czasem po południu. Wtedy wraca późno w nocy. Ciężko pracuje. Niestety, w domu też nie zawsze dane mu jest zaznać spokoju.

* * *

Dzisiaj:

- Wiesz, Cyprianek zjadł jeszcze pół talerzyka! Co za dzielny chłopiec! - Teściowa puchła z dumy. - Smakowało mojemu synkowi, prawda? - dodała.

Cyprian chwilę temu zjadł obiad, teściowa dopchnęła mu dodatkową porcję. Przyszykowałam dziecku picie.

- Proszę. - Podałam małemu kubek, a Mamusia wyjęła mu go z ręki i powiedziała:

- No skądże, Cyprianek nie będzie pił samej wody, Cyprianek wolałby soczek, prawda?

No może by i wolał, ale ja nie wolałam. Stanowczo odebrałam teściowej kubek i oświadczyłam:

- Mamo, Cyprian ma pić wodę. WODĘ. Nie zgadzam się na to, żeby pił sok więcej niż raz dziennie. Nie zawsze potem może umyć zęby, a soki to współczesna plaga. Dentyści zaciera ją ręce, bo już u czterolatek leczą próchnicę. Cyprian z chęcią pije wodę, smakuje mu i można mu ją podawać praktycznie zawsze. Teraz Cyprianek będzie pił wodę, prawda? - Ostatnie zdanie wygłosiłam, podając synowi kubek z wodą.

I co zrobiło moje dziecko?

Moje dziecko schowało rączki za siebie, powiedziało głośno „NIE” i wybiegło z płaczem z pokoju.

Teściowa spojrzała na mnie chmurnie, całą swą tęgą posturą wyrażając dezaprobatę dla niedobrej matki, i wyszła za

dzieckiem. A ja stałam przez chwilę jak słup soli, bo Cyprian od najmłodszych lat pił wodę i tylko wodę. Pił ją chętnie i nigdy nie wyrażał z tego powodu najmniejszego żalu. Woda była piciem i to było po prostu OK.

Co się, do licha, stało?

Idę do pokoju Cypriana. Teściowa trzyma go kurczowo, mały siedzi u niej na kolanach. Kiedy wchodzę do pokoju, próbuje się zsunąć z kolan babci, ale ta go nie puszcza. Staję nad nim i mówię: „Chodź do mamy”. Cyprian wyciąga ręce, teściowa nie ma wyjścia, musi dziecko wypuścić. Bez słowa zabieram do kuchni dzieciaka, który przykleił się do mojej szyi. Tam daję mu ponownie kubek z wodą, mały bierze go do rączki. Jeszcze resztki łkania przemykają przez jego buzię i z zadowoleniem wypija wodę do dna.

* * *

Dzień za dniem.

Przybywa nam zabawek i ubranek Cypriana. Potrzebne jest miejsce do rysowania. Zupełnie nie mam gdzie wstać jakiegoś stolika czy biurka dla niego. Mamy dwa pokoje, jeden nazywamy salonem - tam spędzamy czas w ciągu dnia i przyjmujemy gości. To miejsce spełnia też funkcję jadalni, bo w kuchni nie mając zjeść nawet kanapki. Drugi pokój to nasza sypialnia. Od urodzenia Cypriana pełni rolę także i jego sypialni, a po wstawieniu małego łóżeczka miejsca zostało dokładnie tyle, żeby można było przejść do okna. Oczywiście, jeśli jest się wystarczająco uważnym i ostrożnym. Inaczej łatwo można uszkodzić sobie goleń o ramę naszego łóżka.

Marzy mi się większa przestrzeń. Chciałabym patrzeć, jak mały biega po dużym, jasnym wnętrzu, w którym jest mnóstwo światła, śmiechu, mnóstwo radości. Marzenia. I tam byłby ten ogród, nie balkonik, tylko taras wychodzący na ogród.

Tak mi zależy na własnym ogrodzie, że postanowiłam zapisać się na krótki kurs projektowania zieleni. Od dawna fascynuje mnie ogrodnictwo - uwielbiam oglądać rośliny, czytać o nich, podziwiam cudze ogrody. Boli mnie to, że są cudze. Teściowa ma wprawdzie działkę, ale nie śmiem się odezwać - i tak przecież robi wszystko najlepiej. Chodzę więc raz w tygodniu na ogrodnicze spotkania z takimi samymi wariatami jak ja, nie przyznaję się do tego w domu i jestem coraz mądrzejsza. Nie wiem wprawdzie po co - pewnie dla własnej satysfakcji.

Piękne, wspaniałe marzenia. Nie mam żadnego pomysłu, skąd moglibyśmy wziąć pieniądze na upragniony domek. W obecnej sytuacji finansowej to marzenie staje się nierealne. Pozostaje tylko marzyć, no i mam kurs. Zbyszek to jeszcze zarabia - całkiem, całkiem. Kierowców teraz cenia, a on miewa trasy za granicę, nawet sporo wtedy przywozi. Ale ja mam skromną urzędniczą pensyjkę, a dom trzeba utrzymać, za przedszkole Cypriana zapłacić, nieustająco coś mu kupować, bo wyrasta ze wszystkiego ekspresowo. Nie mam się na co porywać, wiem o tym, ale pomarzyć przecież można. Powtarzam to sobie wieczorem przed lustrem, mam wtedy bajecznie kolorowe sny.

* * *

Lubię patrzeć na śpiącego Cypriana. Jest uosobieniem niewinności i słodyczy. Wydatnie wykrojone usta, niebotycznie długie rzęsy, porcelanowa buzia. Jak lalka. No, lalczek, i to

całkiem czasami nieznośny - ale i tak cudowny. Teściowie już wyruszyli, pojechali do swojego mieszkania omówić szczegółowo wszystkie moje dzisiejsze wykroczenia. Zbyszek zszedł do piwnicy, wreszcie robi tam jakiś porządek, a ja uśpiłam małego i patrzę, jak cukierkowo śpi. Uwielbiam takie chwile. Cisza, spokój, dom zatrzymuje się na chwilę w swoim codziennym biegu, nawet u sąsiada już nie gra radio, przez otwarte okno słychać jeszcze resztki dogasającej na podwórzu dziecięcej radości. Chłopcy kopią piłkę, odbija się od ściany bloku, dobrze, że Prorowie wyprowadzili się do tego lasu. To w ścianę ich mieszkania uderza piłka, raczej nie znieśliby takiego głośnego hałasu.

Ale mi wyszedł częstochowski rym.

Głaszczę Cypriana po głowie i wracam do kuchni sprzątać po kolacji. Szykuję jeszcze sałatkę na jutro, zawsze staram się robić to wieczorem, wtedy rano sałatka jest smaczniejsza. Składniki wzajemnie przejdą swoim aromatem, nasiąkną sosem i całość harmonijnie się komponuje. Nie lubię świeżo przyrządzonej sałatki - zawsze smakuje jak oddzielnie podane składniki, nie ma tego „czegoś”, co tworzy nowy smak. Nie jestem jak Meg Ryan z *Kiedy Harry poznał Sally*, co to, to nie. Kredy myję, obieram i kroję warzywa, dalej snuję swoje marzenia.

Dom byłby urządony w samych jasnych kolorach. Rozbite beże, dużo majonezu i waniliowego budyniu. Wszystkie ciepłe, otulające, bezpieczne. Duże okna, najlepiej od południowej strony. Mało mebli. Przeszkłone wyjście na taras. W myślach spaceruję już po tym domu. Tyle razy o nim marzyłam, wyobrażałam go sobie, że już nawet wiem, gdzie powinny być rozmieszczone gniazdzka elektryczne.

A w tej przestrzeni mały. Biega, szaleje, skacze. I cały czas się śmieje. Byłby tam dla niego pokój - tylko dla niego. Wyobrażam sobie wielką szafę; za przesuwanymi drzwiami byłyby kosze, półki i szuflady wypełnione zabawkowymi skarbami. Samochody, klocki, pluszaki. Kolejka. Kosiarka. I co tam jeszcze by chciał. I oczywiście - książeczki. Wszystkie mogłyby zostać wyciągnięte, nie musiałabym chować ich w kartonach. Dziś robię tak, że co miesiąc pakuję jedno pudło i wynoszę do piwnicy, a poprzednie przynoszę na górę. Nie mam dość miejsca, żeby przechowywać w mieszkaniu wszystkie Cyprianowe książki; sama już nie wiem, gdzie co schowałam.

Podobno w spełnianiu marzeń pomaga wizualizacja. Nie mam śmiałości głośno o tym mówić, ale coraz częściej w myślach chodzę po nowym domu, widzę duże płaszczyzny ścian i nie chcę ich niczym ozdabiać. Niech po prostu będą, takie puste i jasne w przestronnym wnętrzu.

Kuchnia wysprzątana, na resztę nie mam już dziś siły. Nawet telewizji nie chce mi się oglądać. Kiedy przyjdzie Zbyszek? Jeśli wkrótce nie wejdzie na górę, po wyjściu z łazienki pójde po niego.

Już we frotowym szlafroku, opatulona, schodzę do piwnicy. Wracam do mieszkania z solennym zapewnieniem mojego małżonka, że przyjdzie w ciągu pół godziny.

Rano nie jestem w stanie stwierdzić, o której Zbyszek wreszcie zjawił się w domu. Kiedy wstaję, właśnie wychodzi, uśmiecha się, chwyta w locie kanapki, które mu wczoraj przygotowałam - i już go nie ma.

Cyprian budzi się jak co dzień uśmiechnięty, świat jest piękny. Dwadzieścia minut później wchodzi do domu teściowa, zaczyna padać deszcz.

- Zbyszka już nie ma? - Mamusia pyta ze zdumieniem, jakby dopiero odkryła, że jej syn pracę zaczyna o bardzo różnych godzinach, najczęściej wcześniej rano. - Jak on tak może zostawić cię z tym całym bałaganem?

Nie mam oczywiście wątpliwości, że teraz powinnam wypowiedzieć wiele ciepłych słów o mojej dogłębnej wdzięczności dla ukochanych rodziców. Dzięki nim nie zostałam sama z „tym całym bałaganem”, ale słyszę siebie mówiącą: „Mamo, dlaczego nazywasz mój dom bałaganem?”.

A naprawdę mówię:

- Och, mamo, przecież dzięki wam wcale nie jestem sama.

Tryumfalny uśmiech teściowej sprawił, że niebo bardziej się zachmurzyło i zaczęło jakby mocniej padać.

Oddałam jej Cypriana pod opiekę, ruszyli razem do kuchni na śniadanie, a ja zaszyłam się w łazience. Szybki prysznic, układanie włosów, makijaż. Po co właściwie się maluję? Przecież pracuję w urzędzie jako szeregowy pracownik. Nawet nie jestem żadnym „specjalistą”, a tylko „referentem”. W referacie ochrony środowiska. Zaczynam pracę o ósmej, kończę teoretycznie o szesnastej, a w praktyce rzadko kiedy wychodzę przed siedemnastą trzydzieści. No, niech będzie o siedemnastej. Skończyły się czasy urzędników, którzy na dzwonek zamykają kajet, wywieszają kartkę „ZAMKNIĘTE” i przekręcają wielki klucz w zamku - z drugiej strony drzwi. Niestety, tylko pensje urzędnicze pozostały z dawnych lat, styl pracy uległ radykalnej zmianie.

Oczekują od nas uprzejmości wobec petentów, którzy nie mają już być petentami, tylko klientami. To akurat popieram, bo mi też nie było miło, kiedy siedząca obok mnie Jolka darła się na czerwieniejącego jak burak faceta tylko dlatego, że pomylił

rubryki w jakimś formularzu. Ponadto mamy mówić i pisać prawidłowo po polsku, co jest niby oczywiste, ale tak jakby nie do końca. Ewentualnie od końca. No bo w końcu przez lata było jak wół: „organ stoi na stanowisku”, „postanawia się” i tak dalej, i mnóstwo różnych numerów ustaw i innych przepisów. Czasem czytam, co napisali moi koledzy i sama tego nie rozumiem - chociaż mniej więcej wiem, o co w tym chodzi. Oprócz tego, że tak było przez lata, jeszcze trzeba pamiętać, że nie można wymagać poprawnej polszczyzny od kogoś, kto nigdy jej nie poznał. Sporo urzędników mamy mentalnie z poprzedniej epoki. Mają tylko maturę, nigdy nie kończyli żadnych kursów, z książek to studiują od czasu do czasu telefoniczną, kucharską rzadziej. Dotyczy to przede wszystkim starszych urzędników - chociaż, na szczęście, nie wszystkich. Jest w sąsiednim referacie taka pani, na oko po pięćdziesiątce: kiedy miała trzydzieści pięć lat, opuścił ją mąż, została sama z siedmioletnią wtedy córką. Ciężko jej było, ale przetrwała. Dziś dziewczyna jest piękną, młodą kobietą, a starsza pani z sąsiedniego referatu dwa lata temu skończyła zaocznie ochronę środowiska. Podziwiam ją. Ma w sobie niesamowitą potrzebę uczenia się, dowiadywania ciągle nowych rzeczy; nieraz widziałam wystającą z jej torby książkę i to wcale nie była powieść Danielle Steel. Kiedyś zaczęłyśmy rozmawiać i okazało się, że jest znawczynią twórczości Łysiaka, a ostatnio zaczytuje się w Umberto Eco. Wymięklam, bo przebrnę jeszcze przez *Imię róży* i ewentualnie *Zapiski na pudełku od zapalek*, ale już *Wyspa dnia poprzedniego* była dla mnie za trudna. Przeczytałam, ale nic nie rozumiem. A pani Albina owszem, rozumie.

W kulturalnym obyciu pracowników naszego urzędu rekordy bije Jolka. Lubi sprawiać wrażenie zapracowanej, ale wcale

nie pracuje dużo. Raczej chwytła jakieś spektakularne sprawy, a potem zajmuje się głównie robieniem sobie odpowiedniego PR. W ramach spławiania spraw pomniejszych, nie wartych jej uwagi i czasu, któregoś dnia spokojnie odpowiedziała klientowi, że w tym tygodniu jego sprawa nie może zostać rozpatrzona, bo mamy niestety awarię zasilania i elektrownia dostarcza do naszych komputerów zbyt rzadki prąd. Nikt nigdy nie odgadł, o co jej chodziło, klient też nie, bo w ogóle zrezygnował ze sprawy. Szczęśliwiec, że mógł, ot tak sobie, zrezygnować ze spotkania z Jolką.

W każdym razie w naszym urzędzie oczekują od nas kultury, także słownej, dobrej prezencji (mamy wymogi dotyczące stroju!), a oprócz tego zmory większości kolegów: KREATYWNOŚCI. Każdy z nas ma obowiązek przedstawić raz w miesiącu jakiś pomysł usprawnienia naszej pracy. Nie każdy i nie całkiem się do tego nadaje, więc efekty bywają różne. Czasem dosyć komiczne.

Kolega z referatu gospodarki wodnej wymyślił ostatnio, że panie pracujące w kancelarii powinny roznosić urzędnikom kawę. A żeby im było łatwiej i żeby nie męczyły się za bardzo, to proponuje zakup tac, które miałyby wysoki rant - żeby filiżanki się nie zsuwały. Dwie przyjaciółki pracujące w kancelarii, Basia i Ania, bardzo zarozumiałe i niesympatyczne, nielubiane przez resztę pracowników urzędu, o mały włos nie pospadały z krzeseł. Wojtek, ów racjonalizator, zyskał szeroki aplauz, ale lekkiego życia to on teraz mieć nie będzie. Spodziewam się, że wszelkie dokumenty będą do niego docierały w ostatniej chwili, tuż przed terminem podanym jako ostateczny na odpowiedź.

Czy w moim wieku przystoi jeszcze używać takiej ciemnej szminki? Muszę chyba sprawić sobie jakiś błyszczczyk, ta szminka mnie postarza.

Mam chyba nie po kolei w głowie. Ja już mam swoje lata, żadna szminka mnie nie postarza. To ja się postarzałam!

Jak będę się tak rozczulać, to nie zdążę.

Wrzucam mazidła, czyli cienie i tusz, do pudełka, wkładam je do łazienkowej szafki, poprawiam jeszcze spódnice i już jestem w korytarzu. Jedną stopę wsunęłam w but, jedną ręką chwytam torebkę, drugą szukam telefonu. Całuję Cypriana, całuję Mamusię, akurat wchodzi do domu tata Zbyszka z porannymi zakupami - warzywa na zupę, mięso na obiad, owoce na deser... Więc całuję i tatusia, wybiegam z mieszkania, nie gubię butów na schodach, dzień jest szczęśliwy, bo autobus podjeżdża na przystanek w momencie, w którym tam docieram. Pięknie, prawda?

* * *

Jolka jest dzisiaj wściekła. Przeżywa chyba jakiś miłosny zawód - no, może nie tyle zawód, co raczej odrzucenie. Miała wielką chęć na coś bliższego z pewnym panem, ale ten okazał się wierny jak skała swojej ślubnej. Jolka narzeka - żona, żona, też mi coś. Dziś jedna, jutro inna, co za różnica? Też mi przeszkoda.

Dla Jolki to rzeczywiście żadna przeszkoda, pięciu mężów przetrwała, wszyscy żyją, Bogu dzięki, ale już nie z nią. A Jolka ma potrzeby duże, więc co i rusz znajduje sobie jakiś obiekt do uwiedzenia i na ogół udaje jej się usidlić kolejną ofiarę. Nie zamierza jednak z nikim się wiązać, po prostu - miło było, tak na trzy lub cztery miesiące, ale czas na następnego. Rzadko się zdarza, żeby któryś się jej oparł. Wprawdzie ma swoje lata, w przyszłym roku kończy pięćdziesiątkę i bardzo to widać

po wysuszonej twarzy, ale figurę ma całkiem, całkiem - jak na swój wiek. No i przede wszystkim ma galopującą osobowość. Jak coś chce, to musi. Zanim zrozumiesz, w jakiej sprawie zabiera głos, ona zdąży już wypowiedzieć siedem zdań, z których każde jest wielokrotnie złożone. Do tego posługuje się często sobie tylko znanymi skrótami myślowymi, więc odpowiadanie na pytania pomocnicze nierzadko zajmuje więcej czasu niż załatwienie sprawy. Jolka jest jak karabin maszynowy - myślę, że niektórzy faceci lądują z nią w łóżku, zanim zdadzą sobie z tego sprawę.

Ale tym razem nici z seksu i Jolka jest nie do życia. Idę zrobić sobie poranną herbatę i dokończyć artykuł z gazety. W autobusie nie zdążyłam. Dzień będę miała ciężki, Jolka nie popuści - wiem to z doświadczenia.

Kiedy wracam, Jolka właśnie wrzeszczy na jakiegoś klienta przez telefon. Cud, że nam ktoś jeszcze bomby nie podłożył albo nie obrzucił nas zgniłkami - tak się tutaj traktuje interesantów.

* * *

W takich chwilach przypominam sobie któryś z bardziej błyskotliwych wyczynów Jolki. To mi pomaga. Na przykład taki: na tydzień przed swoim ostatnim ślubem moja szacowna koleżanka wybrała się do najbardziej znanego w naszym mieście chirurga plastycznego. Najbardziej znanego, czyli tego jednego bardziej znanego ze wszystkich dwóch, którzy tutaj przyjmują. Nasze miasto naprawdę nie jest duże, ktoś Jolkę zobaczył, inny podsłuchał, trzeci powtórzył... i tak całe miasto wie: Jolka poszła powiększyć sobie biust. Samo w sobie to jeszcze nie śmieszne, tylko trochę żenującego. Ale najfajniejsze było to,

w jaki sposób Jolka to zrobiła. Weszła do gabinetu, uzgodniła z panem doktorem pożądaną przez siebie wielkość kobiecych atrybutów i popisała się koncertowo, ustalając termin zabiegu. Poprosiła mianowicie, żeby chirurg powiększył jej biust w czwartek, bo w sobotę bierze ślub, ale w następny wtorek to ona już by chciała, żeby jej go ponownie zmniejszył, bo przecież nie będzie całe życie z takimi balonami chodzić.

Ech, co tam, mam dzisiaj stertę sprawozdań do zrobienia, nie mam czasu na rozmyślania o Jolce.

Po dwóch godzinach dłubania w papierach podnoszę wreszcie głowę, kark mnie boli. Lekko rozmasowuję sobie dłońią szyję i idę po świeżą herbatę. Nie mam tym razem czasu na czytanie gazety, sprawozdań jakby nie ubyło, czas minał, czuję się okropnie zmęczona. Jolka działa dzisiaj na mnie wyjątkowo przyciągająco. Wracam do mojej papierkologii - nie skończę tego do szesnastej.

Godzinę później wiem już na pewno, że będę musiała nad tym dłużej posiedzieć. Właśnie zadzwoniła Ania z kancelarii i wezwała mnie do gabinetu samego starosty.

Lubię naszego starostę. Jest miłym starszym panem, ma w sobie szyk i klasę, jakiej brakuje współczesnej młodzieży. A może wcale nie współczesnej? Może po prostu młodzież nie może mieć klasy, bo za mało przeżyła, niewiele widziała i nie ma doświadczenia? Może.

W każdym razie starosta, chociaż sympatyczny, rzadko wzywa kogokolwiek do swojego gabinetu. Uczestniczy we wszelkich koniecznych spotkaniach, zarówno w naszych wewnętrznych, urzędowych, jak i tych bardziej oficjalnych - jako reprezentant urzędu na różnych uroczystościach. Ale żeby wzywał do siebie szeregowego pracownika? Przestraszyłam się.

Nic nie nabroiłam, z niczym nie nawaliłam, wszystkich terminów dotrzymałam. Chyba że o czymś nie wiem?

Na miękkich nogach wchodzę piętro wyżej i otwieram przeszkłone drzwi do kancelarii. Anka kiwa głową na mój widok, naciska guzik i melduje o moim przyjściu.

Słyszę ciche: „Proszę poprosić”, Anka otwiera mi szerokie drzwi z ciemnego drewna, jak we śnie wchodzę do gabinetu starosty. Byłam już tu kiedyś. Moja kierowniczką, Joanna, wysłała mnie wtedy z jakimiś superważnymi dokumentami, które wymagały szybkiego zatwierdzenia przez starostę. Gabinet wydał mi się wówczas równie wielki jak dziś, a sam starosta równie kruchy za swoim ogromnym biurkiem.

Na wyraźną prośbę gospodarza siadam przy niskim stoliku, starosta zajmuje miejsce naprzeciwko. Przez długą chwilę nie rozumiem, o czym do mnie mówi. Musi powtórzyć trzy razy. Nasza bezpośrednia przełożona, Joanna, kierowniczką referatu ochrony środowiska, obecnie na urlopie, w trybie pilnym przerwała urlop, a właściwie został jej przerwany. Spędzała wakacje z rodziną nad morzem, w Sopocie. Pogoda im się udała, tylko pozazdrościć. Joanna dzieci ma odchowane, więc mogła sobie pozwolić na wieczorne szaleństwa w towarzystwie małżonka i ostatni wieczór spędzali w jednym z sopockich klubów. Kiedy wracali rozbawieni do hotelu, pijany kierowca, który chwilę wcześniej wyszedł z tego samego klubu, stracił panowanie nad samochodem i ciężko poranił Joannę. Z trudem przyjmuję do wiadomości, że Joanna leży w tej chwili w szpitalu i walczy o życie. Jej mężowi nic szczególnego się nie stało.

Starosta daje mi chwilę na przetrwanie informacji. Milczę i on milczy. Nie słyszę tej ciszy, myślę o Joannie. Lubię ją i jej

przystojnego męża, i jej dwie prawie dorosłe córki. Sympatyczna rodzina. W końcu dociera do mnie sedno.

- To pani chcę zaproponować czasowe pełnienie obowiązków kierownika referatu.

Znowu nie rozumiem. Mi? Mnie? Co zaproponować? Przecież ja jestem tylko szeregową urzędniczką, matką niespełna czteroletniego urwisa, wiecznie zagonioną kobietą, której na wszystko brakuje czasu. Ja na miejscu kierowniczką? Żart.

Dziękuję staroście za tak wspaniałą propozycję, tłumaczę mu, że nie mam predyspozycji kierowniczych ani wystarczających zdolności organizacyjnych i w drzwiach już słyszę zalecenie, że mam się nad tym dobrze zastanowić.

Kiedy siadam przy biurku, powoli do mnie dociera, co się stało. Rany, nie zapytałam nawet, w którym szpitalu leży Joanna i czy można ją odwiedzić? No i kto w takim razie będzie kierownikiem? No bo przecież nie ja, to pewne. Jolka? Tylko nie to! Nie to! Już jest nie do wytrzymania, a jakby dostała w ręce chociaż odrobinę władzy... musiałabym zmienić pracę.

A może nie byłoby to takie złe? Gdzie indziej też można pracować. Może ta zmiana wyszłaby mi na dobre?

E tam, głupiego gadanie. Karczę się w myśli i wracam do swoich zajęć. Jolka jest tak zajęta koszem, którego dostała od niedoszłego gacha, że nawet nie zauważa mojego roztargnienia. Dzień powoli mija, mnie nie mija szok.

* * *

Wieczorem opowiadam Zbyszkowi o całym dniu, o staroście i o Joannie, i nawet o aktualnych zawodach miłosnych Jolki. Słucha uważnie, ale nie wykazuje empatii.

- Jak to, odmówiłaś? Odmówiłaś? Niemożliwe! Przecież to szansa! To awans! No chyba nie mówisz poważnie! Jak to, odmówiłaś?

I tak dalej. Krzyczy, denerwuje się, nie chce zrozumieć. Ja nie chcę być kierowniczką, nawet na zastępstwie. To prosta droga do utraty przyjaciół.

I tu mnie Zbyszek złapał. Ja nie mam przyjaciół w pracy. Marzę o ludziach, którzy tworzą taki szczególny świat, w którym miłość jest na wyciągnięcie ręki, życzliwe osoby można poznać niezależnie od wieku, bliscy zawsze służą dobrą radą i pomagają dostrzec to, co naprawdę ważne. Ale to są tylko marzenia. Takiego świata nie znam, takich ludzi, oddanych sobie, nie spotkałam. A już na pewno nie w urzędzie. A w ogóle to czyja takich ludzi znam? Mam Zbyszka, kochanego i zaufanego. A poza tym? Jest oczywiście Malwina, przyjaciółka jeszcze z czasów studiów, i jest Ola - mama Marcina, kolegi Cypriana. No i jeszcze Krysia - mama Kasi, koleżanki Cypriana. I...??? I nie ma więcej ludzi, którym chciałabym zaufać. Z domu dziecka nie został mi żaden kontakt, wyfrunęłam stamtąd na studia i wrzuciłam do lamusa pamięć o tym smutnym miejscu i zrezygnowanych, pozbawionych nadziei ludziach. Kuzynostwa i dalszej rodziny nie mam, a jeśli nawet gdzieś mam, to nie znam. Potrzebowałam ich, kiedy miałam dziesięć lat, nigdy już bardziej potrzebować nie będę; nie chcę i nie mam powodu ich teraz znać.

Nie ma więc nikogo więcej.

To dobrze czy źle - nie wiem. Lepiej byłoby mieć wielu przyjaciół. Ale czy w ogóle można mieć wielu przyjaciół? Przyjaciele chyba nie występują w liczbie mnogiej, to raczej gatunek pod ochroną, rzadki i wymierający.

Muszę w takim razie przyznać Zbyszkowi rację, chociaż częściowo. Nie chcę się poddać.

- W takim razie to prosta droga do utraty dobrych relacji z kolegami i koleżankami w pracy - mówię. Dlaczego uważam, że kierownicy nie mogą mieć dobrych relacji? No właśnie, dlaczego? Przecież Joanna ma takie! Nawet z Jolką!

Do kitu z takim życiem. Idę spać, nie chcę być żadną kierowniczką. Leżę w naszym łóżku, patrzę na buzię Cypriana. Moja kandyzowana lalka. Porcelanowa z całym wiechciem gęstej trzciny zamiast rzęs. Jak takie małe powieki utrzymują tyle długich, zakręconych pod niebo rzęs? Po kim on to ma? No bo po mnie to nie, takie rzęsy to ja chciałabym mieć. Zасыpiam, marząc o oczach okolonych rzęsami jak firanki. A potem lecę na tych rzęsach do gabinetu naszego starosty, tam firanki zmieniają się w dywan, siedzę na tym dywanie i kłócę się z Joanną. Tłumaczę jej, że musi do nas wrócić.

* * *

Sobota. Sobota. Sobota! Nie przyjeżdża teściowa! Zbyszek obiecał, że zabierze Cypriana na rowerowe szaleństwo, ja w tym czasie sobie poczytam. Będę leżeć na kanapie, czytać, pić sok jabłkowy i ani trochę nie będę się przejmować tym, że powinienam umyć okna.

A może naprawdę powinienam je umyć? Z potępieniem patrzę na smugi zniekształcające słoneczny blask wpadający do kuchni. Szykuję kanapki dla moich mężczyzn, niech nie zgłodnieją zbyt prędko, bo zbyt prędko wrócą.

- Mama, mama, mama, mama, mama! - Moi faceci wpadają roześmiani do kuchni i zaczynają tańczyć wokół mnie.

Zaniepokojona próbuję odłożyć w bezpieczne miejsce duży nóż, który trzymam w ręku.

- O której jedziemy? - świergocze mój mąż.

- O której chcecie, ale jak najszybciej - odświergotuję lekko zdyszana.

- To czemu nie jesteś gotowa? - Zbyszek próbuje złapać małego, który szarpie moją spódnicę i robi zręczne uniki.

O nie, nie, nie. Nigdzie nie jadę! Mam dzisiaj wolne! Dzisiaj odpoczywam i się lenię, przy okazji myjąc okna, sprząając łazienkę i przygotowując wam obiad. W myślach będę czytać książkę. Mam zaplanowany czas, jedziecie sami!

Głos i minę mam butną, ale kiedy patrzę na twarzączkę Cypriana, już wiem, że przegrałam. Oczy mojego syna robią się wielkie i smutne, robi tę swoją nicnierozumiejącą minę i oczywiście mięknię.

I już wiem, że nie poczytam. Będę zasuwać na rowerze po leśnych wertepach, a pod wieczór z powodu bólu tyłka nie będę w stanie usiąść. I w związku z tym umyję okna, to można robić na stojąco.

Szykuję zatem dodatkowe kanapki, dodatkowy termos z herbatą, jeszcze jedną butelkę jakiegoś picia i wielką torbę owoców. Nie wiem, na czym to polega, ale jeśli moi panowie jadą gdzieś sami, to cały prowiant przywożą ze sobą z powrotem, wpadają potem do kuchni głodni i jak szarańcza opróżniają lodówkę. Ale jeśli tylko jadę z nimi ja, to nie przestają jeść od wyjazdu z domu.

O mało nie zapomniałam o batonikach i wafelkach. A byłby to karygodny, nienaprawialny brak!

Zbyszek porywa mnie w objęcia, kręci mną dookoła naszej małej kuchni, Cyprian wyczuwa zabawę i zmianę nastroju

- chwilę później we trójkę pakujemy się na dwukołowce. Sama nie wiem, co o tym sądzić. Fajnie czy nie? W myślach okna straszą mnie brudnymi smugami, po łazience grasują stada bakterii i jedynie brak obiadu mnie nie martwi, bo po prostu rozmraża się pojemnik z zapasem „na czarną godzinę”.

Śmieszne, żeby o rowerowej wyprawie z własnym dzieckiem mówić „czarna godzina”. Tym bardziej że tak naprawdę cieszę się z tej wycieczki. Uwielbiam naszą lokalną Pogańską Górę. To jest Nasze Fajne Wycieczkowe Miejsce jeszcze od czasów narzeczeństwa. Mnóstwo razy szaleliśmy tutaj sami bądź z przyjaciółmi. A dzisiaj? Gdzie dzisiaj są nasi przyjaciele? Tak jak i my obrośli w potomstwo i zapuścili korzenie przed telewizorami. W najlepszym przypadku ryją pod marchewkę na przyosiedlowej działeczce. Chyba jeszcze tylko my tu przyjeżdżamy? Nie udało nam się w każdym razie nikogo na żadną, ani rowerową, ani pieszą, wycieczkę wyciągnąć tu już od lat.

A w ogóle to leśne powietrze dobrze mi robi. Przeszedł mi już nawet zwarzony humor, książka schowała się za najbliższe drzewo i już nie uwiera mnie chęć jej przeczytania, no i w ogóle jakoś tak lepiej się oddycha. Może ten wyjazd to nie był zły pomysł.

Do rogatek miasta zatrzymujemy się trzy razy. Panowie w tym czasie zjadają po dwie kanapki, Cyprian wypija butelkę soku, a Zbyszek kubek herbaty. Kiedy dojeżdżamy do ściany lasu, kończą właśnie po pierwszym wafelku i są z siebie bardzo zadowoleni.

Nazwa Naszej Fajnej Wycieczkowej Góry ma oczywiście swoje korzenie w historii. Kiedyś naprawdę było to miejsce pogańskiego kultu, do którego ówcześni pielgrzymi licznie przybywali nawet z odległych stron. Dzisiaj stoi tam klasztor

i sanktuarium chrześcijańskie, też otaczane czcią. W gruncie rzeczy, jak ktoś kiedyś powiedział, co za różnica? Liczy się wiara, nie jej obiekt. A ponieważ Pogańska Góra to jedyne wzniesienie na obszarze wielu kilometrów, jest oczywistym miejscem odprawiania istotnych obrzędów. Góruje majestatycznie nad okolicą, a że porasta ją przepiękny las i ma wiele tajemniczych zakątków, stanowi dla nas miejsce magiczne.

Kiedy docieramy do ścieżki prowadzącej już dość stromo pod górę, zsiadamy z rowerów. Dziś Cyprian jedzie samodzielnie na swoim rowerku. Jest jeszcze zbyt mały, żeby mógł sam podjechać na sam szczyt. Idziemy zatem spacerem, jedząc banany, popijając wodą i herbatą z termosu. Spacer jest bajeczny - słońce przebłyskuje przez gałęzie drzew, panuje niemal zupełna cisza, większy ruch jest na pewno z drugiej strony wzniesienia, tam, gdzie można podjechać samochodem. Tutaj jest idealnie, intymnie niemal. Patrzymy na siebie ze Zbyszkciem... ach, gdyby nie było z nami Cypriana... Śmiejemy się, bo chyba w tej samej chwili pomyśleliśmy o tym samym. Ale Cyprian z nami jest i cudownie, że jest, i też ma swoją niewypowiedzianą radość. Biega pomiędzy nami, wpada w krzaki, przynosi co i rusz jakiś skarb, gałąź, kamień, trochę mchu w malutkiej rączce. Kiedy dochodzimy na szczyt, siadamy w przyklasztornej karczmie, by zjeść kawałek świeżego drożdżowego ciasta, które w tutejszej kuchni wypiekają zakonnice. Miejsce jest naprawdę czarowne.

A potem w równie czarownym nastroju powolutku zjeżdżamy drugą stroną. Zjazd jest łagodny, jedziemy we trójkę szeroką alejką, pośród ukwieconej łąki. Sami pojechalibyśmy pewnie dalej, ale musimy myśleć o Cyprianie, dla niego to i tak będzie długa wyprawa. Myślę sobie, że ta wycieczka na długo zostanie

mi w pamięci. Jak pieg u Pana Kleksa - ten będzie zawierał sen o słońcu prześwitującym przez gałęzie i o makach na łące.

I nie myślę się. Wycieczka zostanie nam na długo w pamięci. Po wycieczce wracamy do domu roześmiani, rozgadani, a tam czeka już Mamusia jak gradowa chmura.

- Nie zrobiłaś dzisiaj obiadu?

Mam jeszcze dobry i uśmiechnięty humor, wskazuję więc pojemnik z zawiniętymi pierściami kurczaka, które trzeba tylko odgrzać. Obrać ziemniaki, z lodówki wyciągnąć surówkę i gotowe.

- No wiesz, dzień wolny, wreszcie możecie poświętować, a ty nawet porządnego obiadu nie zrobisz swojemu mężowi.

Zbyszek parska śmiechem, ja nie.

Odechciało mi się lasu, słońca i roweru, odechciało mi się uśmiechu, smugi na oknach są znacznie wyraźniejsze niż przed wyjazdem.

Myję ręce i zabieram się do kulinarnych działań, gdy słyszę wrzask Mamusi.

- Tak nie uważać na dziecko! Co z was za rodzice! To nierozsądne! Jak mogliście!

Wybiegam z kuchni z na wpół obranym ziemniakiem w ręce i pierwsze co widzę, to wykrzywiona i zapłakana ze strachu buzia Cypriana. Wracam do kuchni, rzucam ziemniaka do zlewu gdzieś obok garnka, nóż łąduje w kącie blatu, płuczę szybko ręce i lecę wziąć dzieciaka w ramiona.

- Co się stało?

- Co się stało! Co się stało! Jeszcze się pytasz głupio! Dziecko ma kleszcza! Już zadzwoniłam po tatę, jedziemy z nim do lekarza! Natychmiast!

Cyprian płacze mi na ramieniu, głaszczę go i przytulam, i wychodzę z nim do drugiego pokoju. Za chwilę wpada za nami mama i krzyczy:

- Ubierajcie się, jedziemy!

Wstaję, dalej trzymam Cypriana na rękach i mówię najspokojniej, jak potrafię:

- Nigdzie nie jedziemy. Pojedziemy ze Zbyszkim sami, jak tylko uda mi się uspokoić dziecko. Wracajcie do domu.

Lekko popycham Mamusię i zamykam jej przed nosem drzwi.

Błoga cisza trwa tylko chwilę, potem krzyki falami wzmagają się i opadają.

- Ona jest w szoku! Nie wolno czekać! Natychmiast!

I tak dalej, ale tego nie słucham.

Skupiam się na Cyprianie. Mały nie wie, co ma myśleć o tym całym zamieszaniu. Wołam Zbyszka, który też nie wie, co ma o tym sądzić. W tej chwili nie wdaję się w wyjaśnienia, tylko wydaję dyspozycje.

- Wyłącz gaz pod garnkiem z kurczakiem. Wyciągnij z lodówki jogurt dla małego i zrób mu kanapkę z pół bułki. W pojemniku jest szynka, w dolnej szufladzie po lewej stronie w lodówce znajdziesz pomidora. Sparz go wrzątkiem, zdejmij skórę i pokrój. No i przede wszystkim oddeleguj rodziców do domu.

Zbyszek wychodzi, a na twarzy mojego dziecka powoli pojawia się spokój. Mały jest jeszcze trochę przestraszony, ale już nieśmiało się uśmiecha. Ciągle przytula się do mnie mocno, a ja chętnie trzymam go na kolanach i równie chętnie - i mocno - przytulam.

Po kwadransie wraca Zbyszek, nie słyszę już krzyków Mamusi, mój mąż pęcznieje z dumy. Na talerzu przynosi piękną

kanapkę, w jogurcie tkwi ulubiona łyżeczka Cypriana. Mały z przyjemnością zjada. Czuję zapach spalenizny, wołam Zbyszka.

- Wyłączyłeś gaz pod mięsem?

Nie odpowiada, tylko w te pędy zawraca i leci do kuchni. Trudno, zamówię pizzę. I tak wycieczka była przyjemna.

Cyprian rozluźnia się i już bez oporów pokazuje mi rączkę. Rzeczywiście, kleszcz, niech to. Podśpiewując piosenkę o dzielnym żołnierzu, idziemy do łazienki po pęsetę, Cyprian siada na wannie i po moim solennym zapewnieniu, że nic a nic nie będzie boleć, daje sobie wyciągnąć kleszcza. Oczywiście nie udaje mi się wydobyć go w całości, coś tam zostaje. Na razie puszczam Cypriana do jego zabawek i idę porozmawiać ze Zbyszkiem.

- Pojedźmy do przychodni - proponuję. - A w nagrodę dla małego potem na pizzę, co ty na to?

Zbyszek czerwienieje, ale nie mam do niego pretensji. Kleszcz, płaczące dziecko, Mamusia, ja i jeszcze gaz. Rozumiem go, to po prostu było dla niego za dużo. Idziemy porozmawiać z Cyprianem. Pokazuje tacie rączkę z miejscem po kleszczu, tata diagnozuje konieczność wizyty u Pana Doktora i ruszamy na kolejną wycieczkę. Jest sobotnie popołudnie, żadna przychodnia nie pracuje, jedziemy do szpitala, po pół godzinie przyjmuje nas chirurg, znieczuła małemu rączkę jakimś psikadłem, raz dwa wyjmuje resztki kleszcza i po bólu. Dobrze, że nakarmiłam małego, nam burczy już w brzuchach.

A w pizzerii, jedynej takiej u nas w mieście, pachnie tak pięknie i tak intensywnie, że mam ochotę pozabierać ludziom pizzę z talerzy. Niestety, tutaj zawsze trzeba czekać. Jedzenie przygotowują na zamówienie, nie ma gotowych wyrobów czekających zlitowania. Wszystko jest świeżuteńkie, pysznieuteńkie, i pewnie dlatego tak lubimy tu przychodzić, chociaż

nie nadużywamy tej przyjemności. Dla nas to wydatek, który liczy się w budżecie.

Cyprian jest szczęśliwy. Ja patrzę na Zbyszka i na małego - i też jestem szczęśliwa. Ciekawe, czy Zbyszek także?

Nie wiem. Zbyszek chyba ma mniej powodów do radości. Cięży na nim jeszcze konieczność ugłaskania Mamusi. Przecież ciężko ją dzisiaj obraziłam.

Zima

Włochatą senność nocy rozbija brzęczenie budzika. Wyświetlacz pokazuje czwartą trzydzieści siedem. Dopiero świta, ale ja już podnoszę się z pościeli. Urząd we mnie inwestuje i wysyła na szkolenie. Nie dałam jeszcze odpowiedzi staroście, panu Jerzemu, ale chyba nie zakłada odmowy. Zmywam z siebie resztki rozspanego aksamitu, prysznic zostawia nagą skórę, pozbawioną złudzeń piękna, jakie dają mi nocne marzenia. Szybki makijaż, śniadanie na stojąco, wybiegam. Pociąg odjeżdża o szóstej dziesiątej, też godzinę wybrali. I po co mi to? Nie lepiej siedzieć za biurkiem, nie wychylać się, wracać wcześniej do domu i mieć czas na spory z Mamusią?

Myśl o teściowej uspokaja mnie, zaczynam cieszyć się z wyjazdu. Cokolwiek by się nie działo w miejscach dalekich od domu, nie ma tam teściowej. A to już jest jakiś niewielki plus. Co ja gadam. To jest wielki, ogromniasty plus, właściwie PLUS, drukowanymi literami, tak wielkimi, że wszystko inne przestaje być zauważalne. Nawet to, że nie będzie też ani Zbyszka, ani Cypriana.

Ale głupoty chodzą mi po głowie. Wsiadaj z tego autobusu i zachowaj równy trucht, bo się spóźnisz, tłumaczę sobie. Nocny autobus przyjechał kilka minut później, mam mało czasu, na

sennym peronie stoi już konduktor, ziewa szeroko, w porannym zmęczeniu macha zielonym światłem. Wsiadam w ostatniej chwili. Pociąg jest pusty, za to ja jestem pełna marzeń o dobrym i niespiesznym życiu, w którym mogę w spokoju zajmować się dzieckiem, gotować, trochę pracować i cieszyć się życiem razem z mężem. Takie banialuki śnią mi się po drodze w trakcie urywanej, poszarpanej pociągowej drzemki.

Kiedy dojeżdżam na miejsce, okazuje się, że to będzie bardzo duże szkolenie, jest tam ze sześćdziesiąt osób. W ciągu dnia podzieleni jesteśmy na wiele grup, ale wieczorami mamy się integrować, poznawać, spotykać i co tam kto jeszcze chce. Ja niespecjalnie chcę, wolę do Cypriana i do Zbyszka - ale nie mam wyboru. Za daleko, żeby wrócić na noc do domu, więc robię dobrą minę, wkładam, co mam najlepszego, chociaż niespecjalnie coś mam, i idę na dół. Nie planowałam towarzyskich spotkań, wyglądam nader skromnie na tle nieznanym mi jeszcze koleżanek w wytwornych toaletach. Spędzam dwa bezsensowne wieczory, wysłuchując tokowania samców, podnieconych widokiem półnagich dekoltów, obcisłych kreacji i zachęcających gestów, oraz trzy dość ciekawe dni. Jakoś tak odruchowo znajduję mnóstwo zastosowań dla tego, co słyszę na szkoleniu. Fundusze unijne? Toż to gratka dla referatu środowiska! Ile można by z tym zrobić! Zaczynam niemal śnić na jawie, szkoleniowiec uśmiecha się życzliwie i specjalnie dla mnie podaje listę dodatkowych lektur. Zresztą nie wiem, czy specjalnie dla mnie, ale tylko ja ją zapisuję.

Po trzech dniach wracam do domu, jest już późny wieczór, ale Cyprian jeszcze nie śpi. Jestem przekonana - byłam przekonana do chwili powrotu - że zastanę w domu męża czekającego na mnie ze szklanką gorącej herbaty, może jakąś kanapką, że

podejdę do łóżeczka Cypriana i lekko dotknę wargami jego policzka. Liczyłam na to, że dom będzie cichy i spokojny, wyczekujący mnie, gotowy na mnie i moją tęsknotę.

Zastaję tajfun. Teściowa grasuje w mojej kuchni, fukając nosowo na temat zostawiania rodziny na trzy dni, Zbyszek bezradnie próbuje ucieszyć się, że jestem, Cyprian szaleje z radości, że jestem, teść siedzi przed telewizorem. Czuję się piekielnie zmęczona, nigdy nie śpię dobrze poza domem, trzy ostatnie noce dały mi mocno w kość. Jest dwudziesta trzecia, marzę o ciepłej kąpieli w pachnącej pianie, luksusowym miękkim szlafroku i dotyku jedwabnej pościeli.

Co za bzdury. Mój szlafrok jest z grubej, twardej frotty i nie mam eleganckiej jedwabnej pościeli. Nie mam też chwilowo cichego miejsca, w którym mogłabym oddać się kąpielowemu wybrykom. Ani z bąbelkami, ani z pianą, ani bez nich.

Przechwytnię szalejącego Cypriana, chwilę wygłupiam się z nim na kanapie, na szczęście jadł już kolację. W łazience dokonujemy podstawowych ablucji - na więcej nie mam siły, a już na pewno czasu: dziecko od dwóch godzin powinno spać. Cyprian jest uszczęśliwiony, bo pozwoliłam mu w tajemnicy użyć taty pianki do golenia, to znaczy pianka jest do golenia, Cyprian użył jej dla przyjemności używania. Zadowolony grzecznie idzie ze mną do sypialni, daje się położyć do łóżeczka. Oczka mu się kleją i taki senny daje się zostawić sam w pokoju pod warunkiem, że drzwi będą uchylone. Tak robię, sięgając jednocześnie po pilota i wyłączając telewizor. Teść patrzy na mnie z wyrzutem, ale zanim coś powieją już grzecznie przepraszam, że Cyprian zasypia i na chwilę musimy wyłączyć odbiornik. Tak bardzo pragnę, żeby był to dla teściów sygnał do wyjścia, ale teściowa wciąż jeszcze sprząta kuchnię.

Dlaczego ona tak ją sprząta?, w końcu zadaję sobie to jakże istotne pytanie. Przecież, do licha, nie odbywała się tu żadna wielka balanga, impreza na pół osiedla ani nawet przyjęcie noworoczne dla grona najbliższych znajomych. Wchodzę do kuchni - prawie łśni, Mamusia się postarała.

- Mamo, dziękuję za tak piękny porządek. - Uśmiecham się.
- Lepiej byś więcej rodziny samej nie zostawiała.
- Zostawiłam ich z wami, nie byli sami.
- Ach tam, z nami. Zbyszek, biedulek, całymi dniami pracuje, musieliśmy wziąć Cypriana do siebie.

- Jak to, do siebie? - Resztki naiwności pozostały we mnie i nie uda mi się chyba już nigdy zmądrzeć.

- No po prostu, dopiero odprowadziliśmy Cypriana, on się u nas tak dobrze bawi.

- Mamo, chcesz powiedzieć, że przez ostatnie trzy dni Cyprian mieszkał u was, a Zbyszek był w domu sam?

- No oczywiście, przecież sam nie dałby sobie rady z dzieckiem!

Kiwam głową, w końcu nawet do mnie dociera, dlaczego sprzątanie musiało być tak gruntowne. Zbyszek, chociaż kochany, w kuchni potrafi przypalić herbatę. Dziwne jest tylko to, że w takim układzie nie stołował się u Mamusi.

Nie, nie tylko to. Dziwne jest, że pozwolił zabrać dziecko z domu, że oddał małego i nie poświęcił mu swojego bezcennego czasu.

Jeszcze raz wylewnie dziękuję Mamusi za pomoc. Mamusia wychodzi, mnie powoli gaśnie uśmiech na twarzy. Zbyszek jest w łazience, więc żegnam serdecznie teściów, sama umyłam się, kąpiąc Cypriana, więc idę do łóżka i czekam na Zbyszka. Nie mogę się doczekać, zasypiam.

Nic mi się nie śni i to chyba dobrze.

Dopiero następnego dnia szefuświadamia mi, że to szkolenie miało swój ukryty cel.

- Pani Małgosiu, skoro już przeszła pani szkolenie dla kierownictwa, musimy wreszcie sfinalizować nasze ustalenia.

Zatkało mnie. Szkolenie dla kierownictwa? Jakiego kierownictwa? Ktoś się zgodził? Próbuję coś powiedzieć, ale mi zupełnie nie wychodzi, starosta jest jak taran.

- Od jutra oficjalnie ogłaszam, że będzie pani pełniła obowiązki kierownika waszego referatu. Dzisiaj jeszcze dam pani czas na porozmawianie z koleżankami.

- Aleja...

- Oczywiście, rozumiem, też bym się cieszył na pani miejscu. Niczego nie mogę obiecać na dłużej, ale według najświeższych informacji od Joanny jej powrót do zdrowia może się przedłużyć. Joanna rozważa nawet przejście na rentę, jest wielkie prawdopodobieństwo, że jej takową przyznają. A swoją drogą, mam bardzo pozytywne opinie o pani udziale w szkoleniu. Wiedziałem, że można na panią liczyć.

Próbuję powiedzieć „ale”jeszcze kilka razy, ale, ale, ale - na tym poprzestaję. Nie umiem wyjść poza zakłęty krąg tego słowa, pozostałe nie chcą ułożyć mi się w żadną logiczną całość. Chwilowo straciłam umiejętność układania ust inaczej.

Starosta mi dziękuje, uśmiecha się, wychodzę. Anka w sekretariacie także się uśmiecha od ucha do ucha. Nie wiem, czy dlatego, że mi dobrze życzy, czy dlatego, że jej zdaniem zasłużyłam na awans? A może dlatego, że po prostu woli mieć z kadra kierowniczą dobre stosunki?

Też mi coś, kadra kierownicza. To musi być sen.

W pokoju opowiadam Jolce o rozmowie ze starostą. Jest wściekła. Wściekła do kwadratu, do sześcianu i próbuje tego nie powiedzieć. Nie mówi więc, za to złością pluje dookoła siebie niczym polewaczka na trawniku wodą.

- Tak? Gratulacje! Och, jak miło! To co teraz będziesz robić? Mam ci od dziś parzyć kawę? - Parska śmiechem, ja razem z nią, ale absolutnie nie jest mi wesoło. Jej też nie.

W co ja się pakuję? Przecież ta stara zołza nie da mi teraz żyć! A jako pełniąca obowiązki guzik jej będę mogła zrobić i ona doskonale o tym wie!

Nie chcę! Nie chcę być żadną kierowniczką ani nawet pełniącą obowiązki kierowniczk!

Wychodzę szybkim krokiem z naszego pokoju, idę korytarzami coraz prędzej. Anka ze zdziwieniem podnosi głowę, nie, nie ma już pana starosty, coś się stało?

Zaprzeczam i wychodzę powoli.

Nawet odmówić nie potrafię po ludzku, z charakterem, tylko tak... no jakoś tak... e tam, do kitu z takim życiem.

Mówię Jolce, że bardzo rozboleła mnie głowa, i wychodzę wcześniej. Przez drzwi słyszę jeszcze, że ładnie zaczynam swoje urzędowanie, od zwalania roboty na innych, którzy później muszą siedzieć po godzinach, żeby wszystko zrobić na czas. I już wiem, że jutro muszę być w pracy wcześniej, znacznie wcześniej, bo Jolka za chwilę odpali internet i znowu będzie siedziała na randkowym czacie. A kierownik czy nie, robota musi być zrobiona.

Och, jak ja marzę sobie czasami o tym małym białym domku. Albo żółtym. Gdzieś na odludziu. Żeby był ogród, Cyprian miałby piaskownicę i huśtawkę i mielibyśmy psa, i nie musiałabym pracować, i mogłabym zająć się tylko domem, ogrodem

i rodziną. Bo mielibyśmy też inne dzieci, dużo dzieci, cudownie rozrabiające urwisy, nie doliczyłam się jeszcze w marzeniach, ile tych urwisów by było. A dom byłby daleko, daleko od miasta i teściom szkoda byłoby zużywać samochód, i paliwo takie drogie, więc przyjeżdżaliby rzadko, najlepiej bardzo rzadko, z dużym naciskiem na bardzo, bardzo, bardzo rzadko. Przypominam sobie o tym marzeniu w autobusie, naprawdę rozboleła mnie głowa, pomimo ładnej pogody nie mam ochoty na spacer. Na ogół staram się po pracy wracać do domu piechotą, zawsze to chociaż kilka kroków, jakaś namiastka ruchu, ale dzisiaj nie mam siły.

Obiad będzie z zamrażarki, trudno. Mam tam chyba jeszcze pojemnik schabowych, kapustę wezmę ze słoika, na deser kupuję ciasto w budce pod domem. Już widzę uniesione brwi teściowej, kiedy stwierdza: „Kupne? Nawet najgorsze domowe lepsze od najlepszego kupnego”, i zaszywam się pod kocem.

Zasypiam i całe szczęście, bo w głowie mi łupie, jakby kto kilofem rozwałął ścianę węgla. Ostatnią myślą przebija się do mnie, że może trochę snu rozłupie tę ścianę do końca i już nic mi się nie będzie w głowie tak tłukło.

* * *

Zostałam kierowniczką. Pełniącą obowiązki. Nie miałam wyjścia i nią zostałam. Jolka mnie nie cierpi jeszcze bardziej, chociaż wydawało się to niemożliwe. Czytam *Rozwiązywanie konfliktów w pracy*, ale mam wątpliwości, czy naprawdę uda mi się tę poradnikową wiedzę wykorzystać. Może lepiej będzie po- być przez trzy miesiące tą pełniącą obowiązki, a potem wrócić na swój stary stołek i nie szukać kierowniczych wrażeń.

Jolka poszła do starosty zapytać, dlaczego to nie ona została oddelegowana na szkolenie, tylko taka młoda siksa, która przecież powinna znać swoje miejsce w szeregu. W efekcie wizyty Jolki zostałam wezwana do naczelnego, który bez uśmiechu poinformował mnie, że muszę ułożyć sobie relacje z personelem, że on nie będzie uczestniczył w takich dyskusjach i rozpatrywał wewnątrzwydziałowych spraw. Droga służbowa jest wszystkim znana, Jolka powinna przyjść do mnie, tylko niby jak miałabym ją do tego skłonić, skoro jej główną motywacją była skarga na mnie? Ciekawe, co jeszcze powiedziała staroście.

* * *

Dni mijają, frustracja nie. W najstraszniejszych thrillerach psychologicznych opisują tortury podobne do tych, jakie funduje mi teraz Jolka. Wyczytałam w internecie, że podobno mobbing może być ukośny lub prosty. Prosty jest wtedy, kiedy szykanuje się kogoś na podobnym stanowisku, a ukośny - gdy osoby zaangażowane w proces znajdują się na różnych poziomach w hierarchii zawodowej. Mój osobisty mobbing jest ukośnie odwrócony. Mobbingowany jest kierownik przez pracownika. Nic nie szkodzi, że na razie kierownik jest pełniącym obowiązki.

Zima przyszła już wielkimi śnieżnymi śladami. To znaczy, śnieżne to one są wokół mojego wymarzonego białego (żółtego) domku z tarasem i ogródkiem, w rzeczywistości rozpułnęły się pod kilogramami soli na jezdniach, rozdeptane tysiącami kroków przechodniów. Jest plucha, jest smutno i jest źle.

Cyprian ma anginę i już trzeci dzień siedzi w domu, a razem z nim teściowa. Wychodzę z pracy, odprężam się na chwilę w trakcie codziennych zakupów i znów wstrzymuję oddech

przed duszną atmosferą domowej sielanki. Nawet nie chcę myśleć o tym, co mnie tam czeka.

Przed wejściem do domu wyciągam jeszcze korespondencję ze skrzynki. Nie przeglądam, bo co może tam być? Rachunki, faktury, ulotki, może jakieś pismo z banku. Rzucam plik listów na stolik i idę do Cypriana. Teściowa zasypuje mnie gradem życzliwych uwag, coś odpowiadam, zajmuję się dzieckiem. Ale Cyprian wie, że mama nie jest ostatnio taka jak dawniej. Czuję się tak, jakbym była za ścianą. Jestem, ale po drugiej stronie szyby. Cyprianek nie uśmiecha się do mnie tak jak zawsze. Jest smutny, jak i ja jestem smutna. Mój syneczek.

Późnym wieczorem, kiedy teściowie wreszcie opuścili już me skromne progi, a mąż jeszcze ich nie zaszczylił, przeglądam korespondencję. Przypomina mi się Marek Kondrat z *Dnia świra*. Rossman mnie kocha, IKEA mnie kocha... i oczywiście bank mnie kocha i w miłości swej bezgranicznej przypomina o możliwości zaciągnięcia kredytu bez poręczeń nawet do dziesięciu tysięcy złotych. Bagatela. Dziesięć tysięcy wydam w ciągu kilku dni na bieżące domowe potrzeby, przydałyby się nowe meble do salonu, remont kuchni, pralka dogorywa... ale spłacałabym ten kredyt potem latami, a w tym czasie kuchnia potrzebowałaby kolejnego remontu, a może i mnie przydałaby się jakaś gruntowna renowacja. Na przykład odmalowanie fasady (wskażane natychmiast) i gruntowna przebudowa nieużytecznego wnętrza. Likwidacja naiwności na korzyść wyrachowania, no i koniecznie dodatkowe zastrzyki z dużej ilości odporności na niepogodę. A może w ogóle powinnam zaszczyć się na ludzi, jak na grypę? Nie będzie mi wtedy krwi psuła ani Jolka, ani teściowa, ani nikt inny. Na przykład zażyczę sobie szczepionkę z wyciągu z Cypriana - pomoże na wszystko.

Ech, co za bzdury.

Patrzę z niezrozumieniem na trzymaną w rękę kopertę. Ma angielski znaczek i angielskie stemple. Nie znam nikogo w Anglii, przynajmniej nie jestem tego świadoma. Może któryś ze szkolnych kolegów wyjechał za chlebem, a teraz z tęsknoty za polskością próbuje odnowić kontakty ze starymi znajomymi? Niedbale otwieram kopertę. Czytam, a potem zaczynam się śmiać. Jakiś dowcipniś próbuje mi wmówić, że miałam ciotkę mieszkającą pod Londynem, której jestem jedyną spadkobierczynią. Hi, hi, kogoś zainspirowała reklama znanego towarzystwa ubezpieczeniowego. Nawet nie czytam dalej. Ludzie to mają pomysły.

Zbyszek wraca późno, bardzo późnym wieczorem, zupełnie padnięty. Wehodzi ociężale do domu, zrzuca z siebie ubranie i pada na łóżko. Nawet nie mamy kiedy porozmawiać. Ani chwili.

A ja... no cóż. Coraz bardziej przypominam aktorkę z początkowych scen reklamy proszków przeciwdepresyjnych. Niech już się ta zima skończy.

* * *

No naprawdę, niech się skończy. Wychodzę z pracy - szaro, wstaję - szaro, czy w ogóle teraz kiedyś jest dzień? Chciałabym otworzyć puszkę z jakimiś dobrymi wydarzeniami na dzisiejszy poranek, ale nie mogę jej znaleźć. Cały czas wpadają mi w ręce tylko takie z napisem: „w tym świetle nie da rady się dobrze umalować, i tak wyglądasz szaro i smutno” albo „w tym świetle nawet świeża szynka wygląda na zieloną, nie jedz tego” i tak dalej. Oko mam umalowane krzywo, krzywo patrzę na

świat i chleb też krzywo pokroiłam, a co tam, niech będzie do kompletu. Mój promyczek, Cyprianek, też jest smutny, bo chory, ciągle jeszcze dokucza mu ból gardła, a mnie dokucza ból duszy, że nie mogę z nim posiedzieć. Muszę iść pilnować Jolki z jej coraz bardziej zwariowanymi pomysłami.

Wróżka chyba jestem. Dzisiejsza wiadomość poruszyła urzędem. Starosta ogłosił, że w marcu (w marcu? Kiedy będzie marzec? Doczekam się? Wtedy będzie już cieplej i jaśniej!) urząd organizuje wyjazd integracyjny dla pracowników. Faktycznie, urzędników jest wielu, często się nawet nie znamy, mijamy się na korytarzach, jedynie na podstawie stroju możemy się domyślać, kto petent, kto pracownik. Petenci o tej porze roku z reguły mają na sobie jakieś płaszcze, futra, kożuchy. Urzędnicy biegają w mundurkach. Może i fajnie byłoby poznać ludzi z innych referatów.

Jolka kraśniej. Uwielbia wszelkie takie imprezy, to czas na łowy. Wprawdzie moim zdaniem słuszna pozostaje stara maksyma: „gdzie rabiosz, nie jeb...”, ale Jolka jest odporna na sprawdzone mądrości. Już ostrzy sobie zęby na jednego dosyć przystojnego faceta z referatu gospodarki wodnej. Zdecydowanie nie powinna tego robić, nasze wydziały czasami współpracują ze sobą. Z góry wiem, że wynikną z tego kłopoty. Ale nic nie mogę. Przede wszystkim nie mogę jej tego wprost zabronić, chociażby dlatego, że nie zwierza mi się ze swoich erotycznych zamierzeń. Zresztą, czy jako przełożona mogę ingerować w jej prywatne życie? Właściwie powinnam, bo może, a nawet na pewno jej ewentualne romansowanie wpłynie na nasze wspólne życie zawodowe, ale to tylko gdybanie. Smutna dla mnie prawda jest taka, że Jolka nie da sobie nic powiedzieć i tyle.

Szarość zaczyna powoli mijać. Zbliża się wiosna. Wiosna. WIOSNA!!! Już czuć ją w powietrzu, za chwilę drzewa

wybuchną pąkami, za chwilę będą bazie i przebiśniegi, a zaraz potem Wielkanoc, jak pięknie! Przetrwałam ten czas bez depresji, persenu, prozacu czy innych antydepresantów. I w tym czasie przestałam nawet być pełniąca obowiązki, stałam się natomiast kierownikiem pełną gębą.

Na pohybel mi.

Ku radości wszystkich Joanna wróciła do zdrowia. Uznała jednak, że wypadek to ostrzeżenie od losu i od teraz będzie się cieszyć życiem, a nie tracić czas w urzędzie. Przyjęła zatem oferowaną jej rentę i raduje się każdym dniem. Na szczęście jej dolegliwości nie są specjalnie dokuczliwe, ilekroć więc ją spotykam, jest zawsze uśmiechnięta i zadowolona z życia. I dobrze, niech ma, zawsze była porządnym człowiekiem. Zasłużyła sobie. A ja? Na co ja zasłużyłam?

* * *

Razem z wiosną zbliża się wyjazd na coraz słynniejszą integrację. Wielki mi wyjazd. W piątek po południu zbieramy się do autokarów, żeby w niedzielę rano wrócić. Miejsce może i fajne, bo ośrodek położony jest nad samym jeziorem, ma spa, basen i mnóstwo tras rowerowych wokół. Może wypożyczyć rower. Bo w środku będzie prężenie mięśni, wystawianie biustów i hektolitry wysokich procentów. Spodziewam się śpiewów i szampańskiego nastroju podczas jazdy w jedną stronę i skacowanego milczenia w drodze powrotnej. Faj. Dwa dni poza domem, szkoda mi weekendu, nie pobędę z Cyprianem. Byłabym z takiego wyjazdu naprawdę zadowolona, gdybyśmy mogli pojechać ze Zbyszkim i naszym synkiem. Może kiedyś się tam wybierzemy.

Na domiar złego starosta zażyczył sobie Europy, światowego powiewu profesjonalizmu. Każdy z kierowników, do których bez wątpienia już i mnie w tej chwili zalicza, ma przygotować kilkuminutową prezentację swojego zespołu. Dla mnie to właściwie powinno być proste. Mam w swoim wielkim zespole trzy osoby: Jolkę i dwie dziewczyny, które dołączyły do nas w ostatnich miesiącach - Martę i Dagmarę. Obydwie młodziutkie, Marta dopiero skończyła studia, Dagmara w tym roku zrobiła licencjat. Stopień wykorzystania funduszy unijnych i ilość związanej z tym pracy spowodowały, że musiałam powiększyć skład osobowy działu, bo nie byliśmy w stanie nadażyć z wykonywaniem obowiązków.

Nigdy w życiu nie robiłam czegoś takiego. Komputer to wiem jak się włącza, no, może trochę przesadzam, ale prezentacji robić nie umiem. Zestresowałam się okrutnie. Dlatego też właśnie jadę do Wojtka, kolegi kolegi mojego kolegi, żeby pomógł mi w realizacji tego szczytnego projektu.

* * *

Mam! Dzierzę w rękę bezcenną płytę, na której Wojtek nagrał mi osiem slajdów w magicznym programie, który nazywał Power Point. Wcześniej kazał mi sprawdzić, czy coś takiego występuje w naszym urzędzie. Występowało. Dla mnie to czarna magia, a Wojtkowi przygotowanie całości zajęło dwadzieścia minut. I nawet pokazał mi, jak się gotową płytą posłużyć. Bogata w wiedzę dzień wcześniej garściami czerpaną od Wojtka, dumnie wkraczam do urzędu, który cały aż huczy. Nie ma mowy o żadnej pracy, petenci objijają się zdumieni o ściany, urzędnicy przeżywają temat: który kierownik, w jaki sposób przedstawi

swoich pracowników? Wszyscy mamy obowiązek wykorzystania tego tajemniczego programu, nawet jeśli do wczoraj nie wiedzieliśmy nawet o jego istnieniu. Jolka doskakuje do mnie przy samym wejściu:

- Masz prezentację?

- No pewnie, że mam. - Uśmiecham się, bo wydaje mi się, że to dobrze, że ją mam.

- Pokaż.

- Nie pokażę.

Ani mi się śni ją pokazywać. Pobawiliśmy się chwilę z Wojtkiem i już po zrobieniu niezbędnych obrazków „zdjęcie/podpis/funkcja” umieściliśmy tam kilka żarcików. Niby nic, ale jak je pokażę wcześniej, to nikt się potem nawet nie uśmiechnie, a przecież nie po to szukaliśmy zabawnych zdjęć w Internecie, żeby teraz „spalić” wszystkie wymyślone dowcipne kwestie. Bo postanowiłam być zabawna, sympatycznie rozbroić towarzystwo i jako najmłodszy stażem z kierowników utrzymać konwencję luźną i niewymuszoną.

- Musisz pokazać.

- Słucham? - Jolka po raz pierwszy zmusza mnie do publicznego określenia stanowisk. - Nic nie muszę i nie pokażę.

- Ale ja nie życzę sobie być przedstawiana jak wszyscy!

Słyszę w głosie Jolki wyraźną nutę hysterii i już wiem, że powinnam się nazywać Bednarska. Od Bednarskiego, tego na kłopoty. Bo bez wątpienia kłopoty nadchodziły, niosąc ze sobą emocje godne kumulacji w totka.

- Co to znaczy, nie życzysz sobie?

- Chcesz zobaczyć moją wizytówkę, no chcesz? - Jolka nerwowo szarpie torebkę. - Ja jestem starszy referent, rozumiesz? Starszy! - Jolka krzyczy, wszelki ruch w okolicy zamiera,

zarówno pracownicy urzędu, jak i petenci przez otwarte drzwi obserwują zdarzenie z nieskrywaną radością. - Ja nie będę przedstawiana w jednym ciągu z innymi, co to popracują kilka miesięcy i mają fiu bzdziu w głowie!

Nie wiem, co mam zrobić. Nie ustąpię starej klempie, bo będzie po mnie jeździć do końca świata. Nie chcę też wdawać się w publiczne awantury, mówię więc najciszej, jak potrafię:

- Nie pokażę prezentacji ani tobie, ani nikomu innemu. Jest moja i zostanie przedstawiona wtedy, kiedy uznam to za stosowne. Odwracam się i wychodzę, zamykając za sobą drzwi najciszej, jak się da.

Jolka wylatuje za mną na korytarz.

- Co ty sobie myślisz! Ja tu pracuję od dwudziestu lat! Nie będą mi takie gówniary tutaj rozkazywały! Załatwię tę sprawę, bo tak nie może być! Ja tu nie jestem szeregowym pracownikiem!

Wychodzę z urzędu, idę do pobliskiej kawiarni i zamawiam mocną kawę. Bez sensu, bo normalnie nie piję kawy, a w tej chwili moje ciśnienie przekracza pewnie kilkakrotnie wszystkie dopuszczalne medycznie normy. Zamawiam ją jednak, i to najmocniejszą, jaka jest tu możliwa. Wypijam niemal duszkiem. Paradoksalnie uspokajam się. Czuję się jak średniowieczny rycerz walczący ze smokiem. Właśnie nałożyłam gruby stalowy pancerz, wykuty przez najlepszego płatnerza w okolicy, pod nim mam pułkił ukochanej, który ma mnie chronić przed jadem gadziny.

Co ja wymyślam. Jakiej ukochanej! Moje ukochanie jest ostatnio tak zajęte, że nie rozmawiałam z nim od prawie półtora tygodnia. Wychodzi bladym świtem, w ciągu dnia jest przez chwilę w domu, wtedy nie ma tam mnie, wraca późnym wieczorem. Jasno widać, że nie mamy kiedy ze sobą rozmawiać, bo prawie się nie widzimy.

Wracam do urzędu, spokojnie zdejmuję płaszcz, mając jednocześnie nadzieję, że ta marna jesionka z lekko wytartymi rękawami to nie jest to arcydzieło sztuki rzemieślniczej, które miało mnie chronić. Gdzie zatem mam tę zbroję?

Siadam na swoim miejscu. Nie komentuję, nie rozglądam się na boki, z nikim nie dyskutuję, po prostu siadam do swojej roboty. Atmosfera jest podgrzana, towarzystwo cichutko szepcze. Mają żer.

Po dwudziestu minutach dzwoni Anka i wzywa mnie do starosty. Tego mi jeszcze brakowało.

Szefwita mnie chmurnym obliczem.

- Proszę o pani wersję zdarzenia - mówi zamiast sztamowego „dzień dobry”.

Pokrótkie opowiadam mu, co się stało, nie mam nawet czasu w myśli skomentować kulturalnego przywitania. Starosta wysłuchał bez słowa, wcisnął guzik interkomu:

- Pani Aniu, proszę wezwać do mnie panią Jolantę Jabłkowską.

Zbieram się do wyjścia, starosta gestem zatrzymuje mnie w miejscu. Zapada cisza, ja siedzę jak na tureckim kazaniu, pan Jerzy przegląda jakieś papiery. Po dziesięciu koszmarnych minutach rozlega się pukanie. Pada krótkie „wejść”, w drzwiach staje Jolka. Nie patrzy na mnie, traktuje mnie jak powietrze.

Starosta ją też. Mówi krótko, nie podnosząc głowy znad papierów.

- Pani Jolu, słyszałem o dzisiejszym zajściu. Nie życzę sobie więcej takich zdarzeń w naszym urzędzie. Pani wyjazd na nasze spotkanie integracyjne jest odwołany. Pani pozostaje w pracy dzisiaj do końca dnia, po odjeździe autokaru proszę przejść na stanowisko w okienku podań przy wejściu do urzędu. Dobrze

się składa, ktoś musi przyjmować dokumenty od naszych pententów. Może pani wracać do swoich zajęć.

I dalej przegląda papiery.

Wcześniej panowała niezręczna cisza. To co zapada teraz?

Jolka stoi jak wmurowana, otwiera usta. Zanim wydobyła z nich dźwięk, starosta podnosi głowę.

- Proszę nie marnować czasu opłacanego przez podatników i oddalić się natychmiast do powierzonych pani obowiązków.

Ja nie otwieram ust, nie mam po co, nie mam nic do powiedzenia. Też zbieram się do wyjścia. Zanim dochodzę do drzwi, starosta osadza mnie chłodno:

- Musi pani nauczyć się zarządzać swoim personelem. To nie pierwsze wykroczenie pani Jabłkowskiej, dlatego też nie mam wątpliwości, kto jest jego prowodyrem. Niemniej takie zdarzenia są niedopuszczalne i w przypadku kolejnej awantury to pani będzie osobą administracyjnie ukaraną. Wejść! - To ostatnie było reakcją na kolejne pukanie w drzwi. - Dziękuję - starosta zwrócił się do Anki. A do mnie rzekł: - Proszę przeczytać i podpisać.

Czytałam więc i nic nie rozumiałam. Dopiero za trzecim razem dotarło do mnie, że trzymam w ręku naganę dla Jolki, podpisaną już przez naszą kadrową, a jako przełożona niesubordynowanego pracownika także i ja powinnam ową naganę podpisać. Co uczyniłam z prawdziwą przyjemnością, chociaż trzęsącą się ręką.

Dopiero kiedy wyszłam z tego gabinetu, pomyślałam, że jeśli do tej pory miałam z Jolką relacje trudne, to od teraz zaczniesz się gehenna.

Jolka nie daruje mi, że przepadł jej wyjazd, który tak pięknie się zapowiadał. Dotarły do mnie, nieoficjalnie oczywiście,

płotki dotyczące przygotowań poczynionych przez Jolkę. Nowa bielizna, bardzo mocno koronkowa, najnowszy zapach Thierry Muglera, trzy wizyty u krawcowej. No i, rzecz absolutnie obowiązkowa, nowe buty. Koszmarne jak sama Jolka; przyniosła je nawet do naszego pokoju, chwaliła się. Widziałam je, niestety, i ten widok pozostanie mi w pamięci na długo. Mają obcasy do nieba, cieniutkie jak niteczki, są białe, z marnej imitacji skóry, sięgają do kolan i mają złote aplikacje.

A teraz wszystkie zakupy na nic, w ten weekend na pewno się nie przydadzą.

Oprócz przygotowania odpowiedniego stroju, Jola włożyła dużo pracy także w poczynienie misternych planów towarzyskich. Odbyła mnóstwo rozmów, w czasie których poumawiała się z wieloma sympatycznymi osobami na dłuższe lub krótsze pogawędki. Z powodu wszystkich tych działań jej nieobecność nie pozostanie niezauważona ani nie będzie zauważona mimochodem. Jej nieobecność zostanie zauważona całkowicie i dogłębnie i będzie aż do cna przedyskutowana.

I do tego jeszcze Jolka musi przejść do biura podań!

Pewnie z czasem wszystko poszłoby w niepamięć, ale to ostatnie - na pewno nie.

No i jeszcze muszę wręczyć Jolce naganę.

I muszę cieszyć się wspaniałym wyjazdem integracyjnym. Bo będzie wspaniale! Odpocznę, lekko, niewymuszenie i swobodnie wygłoszę swoją dowcipną prezentację, na którą cały urząd w tej chwili czeka, i do tego jeszcze będę kwitnąco wyglądać do późnej nocy. Planowałam nie uczestniczyć w wieczornej zabawie i oddalić się od towarzystwa zaraz po kolacji, ale teraz już wiem, że tego nie zrobię. Mało tego! Jak tylko zakończę rozmowę z Jolką, cwałem udam się do domu i wyciągnę gdzieś

z dna szafy moją jedyną wizytową sukienkę. Szumnie nazywam ją wieczorową, bo ma dekolot kończący się między piersiami, ale tak naprawdę to raczej skromna sukienka koktajlowa. Ciemnobrązowa, wąska, do kolan, z owym dekoltem i kokardą fantazyjnie zamotaną na lewym rękawie. Miałam ją na sobie trzy razy, nie mam gdzie nosić takich ciuchów, dla mnie to nadmiar elegancji. Ale dzisiaj wiem, że mi się ta kiecka przyda, że muszę trzymać fason. A, i zabiorę jeszcze więcej kosmetyków. Wymaluję się jak ta lala.

A na razie - Jolka.

Idąc do naszego pokoju, zrobiłam kserokopię dokumentu, który otrzymałam od starosty. Trzymając w ręku kopię i oryginał, podchodzę prosto do biurka Jolki. Mówię głośno i wyraźnie, tak żeby wszyscy zainteresowani (a wszyscy są zainteresowani) słyszeli:

- Jolu, przeczytaj i podpisz na kopii, że otrzymałaś oryginał. Z dzisiejszą datą, proszę.

Jolka rzuca okiem i ostentacyjnie wzrusza ramionami. Składa podpis i z cynicznym uśmiechem wyciąga papierosa z torebki. Wychodzi, w urzędzie palić nie wolno, palacze urządzili sobie kącik tuż obok tylnego wyjścia. Śmierdzi tam zawsze tak, że przejść się nie da, ale nie mogę się czepiać - Jolka nie korzysta z przerwy na lunch, rozkłada ją sobie na kilka mniejszych, papierosowych. Gdyby nie fakt, że stoję blisko i widzę, jak drżą jej ręce, kiedy szuka zapalniczki, uwierzyłabym w jej luz, a tak wiem, że dzisiejsze zdarzenia nie są jej obojętne. I wiem też, że mi ich nie wybaczy.

Uprzejmi i życzliwi od niechcienia donoszą mi, że podczas papierosowej przerwy Jolka barwnie opowiadała o całym wydarzeniu, a że generalnie jest wredna i nie ma prawdziwie

życzliwych sobie ludzi w urzędzie, to jej wynurzenia przyjęto nienajlepiej. Głównym motywem jej relacji była moja słabość i fakt, że niewiele znaczę w pracy, bo przecież powinnam była ją zwolnić, a nie „tylko dać tę naganę, ha, ha, ha”.

Na razie jej nie zwolniłam i żałuję tego niezmiernie. Boję się następnych dni. Jestem słaba i się boję. Nie dam się, to na pewno, ale też nie mam ochoty się kłócić. Chociażby dlatego, że Jolka nie jest tego warta.

No tak, niby nie jest tego warta, ale widziałam przecież, że używa L'oreala. To jest czy nie jest?

A tam, kit z Jolką, teraz mam na głowie ten nieszczęsny wyjazd, na którym bez wątpienia będę pierwszoplanową bohaterką.

Szybka lista spraw do załatwienia:

- 1.Przejrzeć prezentację, ostatni szlif
- 2.Najpóźniej o 13.30 muszę wyjść do domu
- 3.Wieczorowa sukienka - jest chyba w pawlaczu, w prawej części. A jeśli nie? To nie zdążę jej znaleźć. W co się wtedy ubiorę? Może szara garsonka? Do kitu. W szarym nie będzie mnie widać. Potrzebuję czegoś wyrazistego, zdecydowanego. Czegoś czerwonego? Co ja mam czerwonego? Jakaś apaszkę... A nie, kiedyś dostałam od ciotki czerwoną bluzkę, ani razu nie miałam jej na sobie, ale jej nie wyrzuciłam, musi gdzieś być. Tylko gdzie? Pasowała-by do niej czarna spódnica, mam gdzieś czarne rajstopy? I szpilki. Nie mam szpilek, mam tylko czółenka na średnim obcasie. Nowych butów już nie kupię, muszą być te, które mam. Trudno. A może jednak znajdę moją sukienkę? Byłoby najlepiej.
4. Koniecznie muszę jeszcze przygotować Zbyszkowi listę zakupów, lodówka jest pusta. W niedzielę wrócę bardzo

późno, od poniedziałku znowu kierat, nie będę miała co zrobić do jedzenia. Zakupy są konieczne!

5. Nie wiem, jak to zrobię, ale najpóźniej o piętnastej dwadzieścia muszę być z powrotem pod urzędem. Autokar odjeżdża o piętnastej trzydzieści, nie mogę się spóźnić, ale też nie chcę być dużo przed czasem. Zdam w czasie wyjazdu wysłuchać wszystkich komentarzy dotyczących Jolki i mnie. Zresztą nawet gdybym bardzo chciała być wcześniej, to i tak nie zdążę.

6. A jak mi się to wszystko uda, to będzie nie koniec listy, tylko jej początek. Nie żadnej przemiłej, na wpół prywatnej integracji, tylko oficjalnego targowiska próżnych racji. Nieobecni racji nie mają, tyle mojej przewagi nad Jolką.

* * *

Cuda się zdarzają, zdążyłam ze wszystkim i nawet koktajlowa sukienka była tam, gdzie być powinna. Mam nadzieję, że w tym ośrodku będzie żelazko, cienka wełna sukienki jest pognieciona zupełnie tak, jakbym wyciągnęła ją z jakiegoś pawlacza. Nawet nie zdążyłam jej przymierzyć. Miałam ją na sobie ostatnio dwa lata temu, jeśli przytyłam ponad granice tolerancji czekoladowego materiału, to będę miała kłopot. Ale jeśli pójde na przyjęcie naga, to wszyscy mnie zauważą, prawda?

Wcale nie musiałam być naga, żeby wszyscy mnie zauważyli. Większość towarzystwa siedziała już na swoich miejscach w autokarze, bagaże mieli zapakowane i spokojnie mogli komentować wydarzenia. Korzystali więc z ostatnich chwil, bo przecież nie mogli swobodnie pogadać w mojej obecności. Kiedy więc załadowałam do bagażnika swoją torbę ze zwiniętą

w kłębek w ostatniej chwili sukienką i kiedy weszłam do autokaru, zapadła nagle cisza. Taka z gatunku niezręcznych.

Wszystkim może być niezręcznie, ale jak mnie jest słodko! Nie wiem, co ze sobą zrobić i jak się zachować, więc po prostu się uśmiecham i siadam na pierwszym wolnym miejscu. Większość grupy stłoczyła się z tyłu chyba dlatego, że z tyłu autokaru wódka lepiej smakuje. To prawda, którą znają już nastolatki, a teraz to już pewnie nawet dzieci z podstawówki. Tylko czy na pewno dzieci z podstawówki dzisiaj piją? Może raczej coś wdychają? Przód autokaru jest więc rzadko zaludniony, ja siadam zaraz za kierowcą, próbuję w ten sposób odciąć się od pozostałych.

Udaje mi się na jakieś pół godziny. Po tym czasie proporcje alkoholu we krwi stają się odwrócone, czyli w żyłach zaczyna krążyć alkohol, a krew mu w tym już nie przeszkadza, więc nawet i mnie towarzystwo zaprasza do swojego grona. Niech to licho, nie zabrałam ze sobą żadnej flaszki, kiepska ze mnie kandydatka do integracji. Towarzystwo jednak jest już na tyle rozbawione, że chwilowo mi to wybaczą, w drodze powrotnej będę musiała się wkupić.

Na razie tylko dostałam plastikowy kubeczek wypełniony przeźroczystym płynem. Po jego opróżnieniu, co komisyjnie sprawdza grono stłoczone nad moją głową, zostaję zaproszona „na salony”. Przyklejam uśmiech i maszeruję grzecznie na tył autokaru. Integracja się zaczęła.

Na miejsce przybywamy w szampańskich humorach, kierowca patrzy na nas bykiem, nas śmieczy każda szyszka w lesie, jego chyba nie. Ciekawe dlaczego?

W pokoju zerkam w lustro. Mam błyszczące oczy, zaczerwienione policzki. Dawno już nie piłam. Alkoholu w ogóle,

a wódki? Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek żłopała czystą wódkę. Nie podobam się sama sobie, wolę swoją spokojniejszą wersję, ale może przyda mi się trochę tej pijackiej odwagi? Na razie jeszcze mało towarzystwo mi powiedziało na wiadomy temat, ale to mnie nie ominie. Jak się zachować? I jak jutro zrobić prezentację? Na kacu?

Niech to szlag.

Co pomyślałam i właśnie wychodzę bawić się dalej. Mam wszystko gdzieś. Gdzieś daleko, gdzie zupełnie nie potrafię w tej chwili sięgnąć myślą.

* * *

Jest wieczór, cudnie spokojny nad brzegiem jeziora. Uciekłam z hałaśliwej sali bankietowej, tam strumieniami leje się woda ognista, rozmowy toczą się swoim bełkotliwym nierównym rytmem, a obecni tam ludzie nie wszystko robią i mówią świadomie. Tutaj jest cisza i mrok, i lśniące refleksy na gładkiej wodzie. Uciekłam stamtąd przed uśmiechniętą obłudą, podstarzałymi satyrami, przed potokiem głupot na każdy temat. Ja też lekko się upiłam, a nie chcę niczego żałować. Chociaż ten Adam z referatu zamówień publicznych jest całkiem do rzeczy... Och, głupoty wymyślam, wiem o tym, jednak ta myśl mnie rozbawia i sprawia grzeszną przyjemność. Zona, matka, kierowniczką, przez chwilę czuję się Kobietą. Taką przez duże K, adorowaną, pachnącą, elegancką. Z długimi paznokciami i na szpilkach. Miłe uczucie.

Jestem tym uczuciem tak zachwycona, że zzuwam ze stóp pantofelki i wchodzę do wody. Mam na nogach delikatne sandałki, na salę bankietową w sam raz, na marcową noc

niekoniecznie. Zapomniałam, że wiosna na razie króluje tylko w kalendarzu, na zewnątrz jeszcze zima nie dopuszcza jej do głosu. Stopy mi niemal zamarzły. Zupełnie nie jak elegancka dama wyskakuję z wody, siadam na brzegu i niezgrabnie próbuję rozmasować sobie palce u nóg. Równocześnie dochodzę do wniosku, że jest mi zimno i że powinnam wracać do budynku, bo inaczej ciężko odchoruję tę integrację.

Sympatyczne marzenia o świecie bez garów mijają, ogarnia mnie wręcz panika, kiedy obiekt adorujący pojawia się w zasięgu wzroku. Adam siada cichutko obok, chwytając moją stopę i zaczyna mi ją rozgrzewać. Jestem spięta, przerażona. Nie tylko nie mam ochoty na żadne romanse, ale do tego umieram z przerażenia, że ktoś nas tu zobaczy. Wystarczą mi perypetie z Jolką, i tak jestem ostatnio najpopularniejszym pracownikiem urzędu - romans, a nawet tylko podejrzenie o takowy, zrobiłby ze mnie pracownika dziesięciolecia. Niczyje nazwisko nie byłoby wymieniane tak często w kularowych rozmowach, nawet samego starosty.

Milczę, Adam też milczy, ja sztywno, Adam romantycznie. Kiedy przestajemy milczeć, różnimy się w każdym słowie. Mój kolega uważa, że jest bardzo miło, ja - że jest bardzo zimno. Ostatecznie próbuje być dżentelmenem i łaskawie zgadza się na powrót do oświetlonego, ciepłego wnętrza budynku. Rozczarowany, bo bez buziaka, bez macanek, o bardziej skomplikowanych działaniach nie wspominając.

Już mi się Adam nie podoba.

Nie mogę znaleźć mojego buta. Nie mogę znaleźć mojego buta!!! GDZIE JEST MÓJ BUT?!

Kuśtykam jednonogobosa po oszronionej trawie, jest mi nie do śmiechu, wspieram się na ramieniu Adama, który dokłada

do tego bezradnego gestu swoją interpretację. Myślę, że coś tu jest nie tak.

Bosa powinnam lekko i zwiewnie przemierzać zieloną, rozgrzaną całodziennym słońcem murawę, w świetle księżyca powiewając szyfonowym szalem.

Przytomnieję, kiedy na scenę naszego powrotu do hotelu, jakby na spektakl teatralny, wychodzi grupka kilkunastu rozsławianych osób. Nagle przestają się śmiać, przyglądają się nam w ciszy, a potem zaczynają chichotać.

Ale się wkopałam.

Jeszcze nie wiem, że za chwilę będę miała niebываły problem z pozbyciem się Adama. Uznał najwyraźniej, że dwadzieścia minut spędzone wspólnie nad brzegiem lodowato połyskującego jeziora to była gra wstępna. Różnimy się zasadniczo w harmonogramie zajęć na najbliższe godziny. Ostatecznie uciekam do swojego pokoju, zatrzaskuję mu drzwi dosłownie przed nosem. Opieram się o nie i dyszę z przerażenia. Faceta nie dało się tak po prostu odgonić, odpędzić, o spokojnym przyjęciu odmowy nawet nie mówię. Nie słyszał, nie rozumiał, lazał za mną.

Jest trzecia nad ranem. Nie śpię. Adam stoi pod moimi drzwiami i nieustannie w nie puka. Mam zadzwonić do recepcji, żeby ktoś przyszedł i go uspokoił?

Dzwonię.

W recepcji nikt nie odbiera. Za piątym razem pijany głos rozbudzonego portiera pozbawia mnie złudzeń. To nie Marriott, kochana, wyluzuj, mówię do siebie głośno, żeby usłyszeć czyjś życzliwy głos.

Rano otwieram nieśmiało drzwi, na korytarzu nikogo nie ma. Na moich drzwiach widnieje czerwony napis: Jesteś boska, chcę jeszcze".

W stołówce jestem jedną z pierwszych. Kelnerzy dopiero kończą sprzątanie po nocnej balandze, jem w spokoju śniadanie i chowam się do swojego pokoju. Po drodze zahaczam o recepcję, jest już kolejna, trzeźwa zmiana, proszę więc o umycie drzwi. Schodzę tuż przed dziewiątą, o tej godzinie ma się zacząć część oficjalna. Zagryzam zęby, spędziłam ostatnie czterdzieści minut przed lustrem tłumacząc sobie, że dam radę, że jestem dobrze przygotowana, że mi się uda. Wraz z zamknięciem drzwi od pokoju na moją twarz wskakuje uśmiech. Jestem wyluzowana, swobodna, nie poznaję siebie. Rozdaję uśmiechy, trzymam fason, trochę udaje mi się dzięki temu rozładować napięcie wynikające z milczącego oczekiwania. Kiwam Adamowi głową z daleka, siadam na swoim miejscu i zagłębiam się w lekturze jakichś notatek. Przezornie wzięłam je ze sobą, nie muszę dzięki temu z nikim rozmawiać. Starosta przyjechał bladym świtem, właśnie zaczyna. Potem po kolei prezentują swoje działy koleżanki i koledzy, mało kto radzi sobie z sytuacją. Trzeba przewijać jakieś slajdy, potem trzeba je zsynchronizować z gadką, towarzyszy temu nie do końca życzliwe grono słuchaczy, surowe ucho starosty, a do tego ogólnonarodowy kac. Ja nie mam kaca, po wyjściu z autokaru udało mi się niewiele wypić, mam za to niewyobrażalną tremę i jestem niezmiernie niewyspana. Wszystko to usiłuję przykryć uśmiechem z nadzieją, że nie jest to głupawy uśmieszek. Jestem w sumie wdzięczna Jolce, dzięki niej przeni-cowałam te kilka slajdów w każdą możliwą stronę. Teraz mówię prawie z pamięci, patrzę w oczy największym urzędowym plotkarom, nie muszę czytać tego, co sobie zanotowałam. Pamiętam nawet dwa z trzech dowcipów, które sobie na dziś przygotowałam, wygłaszam je niewinnym głosem, sala się śmieje, starosta uśmiecha się pod nosem. Dziękuję, siadam, cała się trzęsę.

Chciałabym wyjść - nie mogę. Kolana latają mi jak dwie gałęzie na wietrze, za chwilę spódnica zacznie łopotać. Siedzę więc grzecznie i udaję zasłuchaną w kolejne występy. Nie wiem, kto i co opowiada, byleby mnie nie kazano już nic dzisiaj mówić. Jestem zmęczona, chcę spać. Chcę być śpiącą królową, za sto lat nie będzie już ani Jolki, ani Adama.

Kiedy milkną ostatnie oklaski, z trudem zbieram obolałe gnaty z krzesła. Podchodzi starosta, gratuluje mi, robi to publicznie, nie podchodzi do nikogo więcej. Większej przysługi już zrobić mi nie mógł. Kiedy to się wreszcie skończy? Kiedy wydarzy się coś dobrego?

Popołudnie spędzam sama w pokoju. Jak to dobrze, że udało mi się mieć osobny pokój. Mogę odetchnąć z ulgą.

Zaraz, zaraz, nikt inny nie ma jedyńki. I nagle dociera do mnie, że nic mi się nie udało, tylko Adam wcześniej to zaplanował. Podpuścił sekretarki starosty, żeby właśnie tak rozplanowały pokoje; już przed wyjazdem miał swój plan. Raczył się nim podzielić z innymi pracownikami naszego urzędu - niestety, ze mną tego nie ustalił. Jestem wściekła, jestem zła, chcę stąd wyjechać natychmiast.

Nie mogę, ośrodek jest w środku lasu, chciałabym nie jechać autobusem ze wszystkimi, ale pójść piechotą. A jutro znaleźliby moje truchło na wpół pożarte przez wilki.

Uśmiech na twarz, wychodzę. Spotykam Adama. Jest zachwycony moim widokiem, łąsi się i przymila. Odsuwam się coraz dalej, on coraz bardziej napiera. W końcu mówię, że wolałabym, żebyśmy zachowali większy dystans. Adam nie pozwala mi skończyć, przytomnie rozgląda się na boki, szacuje obecność innych osób. Jest ich sporo, po poobiedniej drzemce

towarzystwo przyszykowało się już do dzisiejszej imprezy, rozmawiają po cichu. Adam krzyczy:

- To był błąd, że poszedłem z tobą do łóżka!

Odwracam się, nic nie mówię, odchodzę tak wolno, jak tylko potrafię. Nie idę do pokoju, kieruję się prosto na salę bankietową. Będę się dziś bawić do rana.

Dotrzymuję danego sobie słowa. Bawię się szampańsko aż do samego powrotu. Rozmawiam z każdym o niczym, czyli z nikim o wszystkim. Cały czas się śmieję. W drodze powrotnej wszyscy w autokarze śpią, ja też zamykam oczy. Nie udaje mi się zasnąć.

W domu zastaję pustą lodówkę, kartka z listą zakupów leży tam, gdzie ją położyłam. Zbyszek w ogóle nie był w domu? Cypriana zostawiłam u dziadków, tylko dlatego teraz nie muszę się martwić o jego los. Jutro odbiorę go z przedszkola, nie mogę się już doczekać.

* * *

Mam gdzieś bycie kierownikiem. Przychodzą petenci i uważają, że za uśmiech i kilka tanich komplementów załatwią ze mną to, czego nie udało im się uzyskać u szeregowego urzędnika. Ze „pani taka młodziutka, a śliczna taka”, to i załatwi coś, pomijając przepisy. Nie lubią mnie, bo nie zawsze układam sprawy po ich myśli. A już na pewno nie wtedy, kiedy coś jest jawnie niezgodne z obowiązującym mnie regulaminem. Nie wiem, dlaczego uważają, że brak niezbędnych dokumentów to nic takiego, jeśli się przyniesie czekoladki.

Nie lubię czekoladek, ale o tym nie wiedzą.

Więc otwieram je przy nich, częstuję pana petenta i zanoszę dziewczynom z komentarzem: „Popatrzcie, co pan wam przyniósł”.

Jest tylko jeden sympatyczny pan, który wprawdzie - niestety, każdy musi mieć jakieś wady - też czasami przynosi czekoladki, ale oprócz tego zawsze przedstawia prawidłowo skompletowane dokumenty i nie oczekuje cudów, a jedynie sprawnego działania. Nigdy nie prosił o nic wbrew przepisom, zależy mu tylko czasami na przyspieszeniu działań. A to da się zrobić, nawet pomimo czekoladek.

Nie lubię nie tylko czekoladek, nie lubię także swojej pracy, i to odkąd zostałam kierownikiem. Była to fajna robota, a teraz mam Jolkę, która mści się na każdym kroku, i mam - całe szczęście, że już w większości za sobą - aferę z Adamem. Nie było lekko, nawet mówić mi się nie chce. Do dzisiaj pracownicy urzędu są podzieleni w opiniach. Jedni uważają mnie za lafiryndę, inni za pokrzywdzoną. Ja milczę, raz tylko opowiedziałam staroście, co się stało - chciałam, żeby wiedział i żeby jakieś plotki, o ile takie do niego dotrą, nie sprawiły, że straci do mnie zaufanie. Poza tym nie komentuję tamtych zdarzeń, sami je sobie komentują. Większość uważa, że tłumaczą się tylko winni, więc się nie tłumaczę. Z referatem zamówień publicznych musimy współpracować, na szczęście szefem jest tam starszy pan, który nie popiera Don Juana Adama, więc jakoś nam się wspólne działania układają, chociaż bez fajerwerków.

Śmieszne, do niedawna uważałam, że moim największym problemem jest Mamusia, potem Jolka stała się numerem jeden, a jeszcze później Adam przyćmił kobiece osiągnięcia w dziedzinie utrudniania mi życia.

Hm, zaczynam tworzyć prywatny ranking upierdliwców. Kim jestem, żeby uważać, że świat skupia się na dokuczaniu mi?

* * *

Z okazji wielkanocnych porządków Zbyszek przewalił ster-tę papierów leżących na półce pod telewizorem. Znalazł tam ten śmieszny list z Anglii i blady przyszedł do mnie.

- Co z tym zrobiłaś?
- Nic, to jakiś żart.
- Gośka, to nie żart!
- Co ty opowiadasz, ktoś sobie robi jaja, nie będę się na po-śmiewisko wystawiać.

Zbyszek odchodzi, kręci głową, milczy. Nie wracamy do tematu przez całe święta, zresztą zajęci jesteśmy spełnianiem oczekiwań Mamusi.

- Cyprianowi przydałby się braciszek.
- Dziecko nie powinno chodzić cały czas w rajstopkach, mały powinien nosić spodnie.
- Chodź, Cyprianku, babunia zrobi ci soczku, nie możesz pić cały czas tej wody.

Woda jest już od dawna w naszym domu napojem, hm..., newralgicznym? W końcu posłużyłam się stomatologicznym autorytetem i po ostatniej wizycie u dentysty wprowadziłam zasadę, że sok dziecko może dostawać maksimum raz dzien-nie. Dentysta znalazł u Cypriana w zębie dziurę i musieliśmy leczyć u malucha próchnicę. Poza tym Cyprian ciągle dość chętnie, przynajmniej na ogół, pije wodę i godzi się na to - wła-ściwie zawsze z wyjątkiem sytuacji, kiedy babunia jest u nas

w domu. Muszę tylko dbać o to, żeby nie udało jej się dziecka długoterminowo do czystej wody zniechęcić.

- Ładne te firanki kupiłaś, ale zasłonki to już całkiem niepotrzebnie zmieniałaś. W ogóle niepotrzebne wam zasłonki, co wy tam macie niby do ukrycia?

- Nie za dużo kupujesz jedzenia? Lodówka pełna, tylko się to wszystko psuje.

- Takie ilości jedzenia szykujesz, że stoi po kilka dni i potem trzeba wyrzucać. Zapakowałam to nieświeże jedzenie do torby, dam sąsiadom dla psa, my już nie będziemy tego przecież jedli?

Pytanie jest oczywiście retoryczne, bo skoro Mamusia wrzuciła już do plastikowego wora zawartość z troską przygotowanych przeze mnie półmisek, to raczej z powrotem jej na talerze nie przełożę. W ten sposób mam znowu czystą, pustą lodówkę i mogę na nowo wykazać się kulinarnym talentem. W niedzielę spodziewam się gości i przygotowałam już prawie wszystko na imprezę. Mogę zacząć od początku.

Cyprian jak barometr wyczuwa problemy. Wyczuwa i odreagowuje na swój czteroletni sposób. Jest nieznośny. Tak nieznośny, że w przypływie furii daję mu klapsa. Cyprian zamiera w bezruchu, ja zamieram ze wstydu. Uderzyłam dziecko! Własne dziecko! Nawet jeśli to tylko delikatny klaps, to jest to przejaw własnej bezradności, a ja przecież od zawsze uczę Cypriana, że nikogo bić nie wolno. Ani rączką, ani żadnym przedmiotem. A tu taki... klaps. Klops-klaps. Cała moja bezsilność, wszystkie te sprawy, z którymi nie umiem sobie ostatnio poradzić, wszystkie smutki i zmartwienia, i wszystko to, co ostatnio u mnie niedobre, skumulowało się w tym jednym, fatalnym momencie.

Obiecałam sobie kiedyś, że nigdy nie uderzę własnego dziecka. Nie i już. Czuję się okropnie, a całą scenę komentuje Mamusia, która miała swój przyczynek w moim przedklapso-
wym stanie ducha.

Zaczęło się właściwie nijak. Jest sobotnie popołudnie. Zjedliśmy trochę wcześniejszy obiad i Cyprian ma iść z dziadkami na spacer. To znaczy, dokładnie tym razem mają iść na rynek naszego miasteczka, dzisiaj odbywa się jakiś festyn. Ma być tłum, baloniki, chorągiewki, małe trąbki, na których łobuziaki trąbią ludziom wprost do uszu. Po takim incydencie człowiek przez dłuższą chwilę nic nie słyszy, nie mówiąc o tym, że nie jest w stanie złapać takiego urwisa ani nawet zauważyć, jak taki nicpoń wygląda. Cyprian ostatnio na większość propozycji reaguje buntem. Nie, bo nie. Wytłumaczyć, o co mu chodzi, na razie jeszcze za bardzo nie potrafi i po prostu, chyba w dużej mierze dla sportu, buntuje się. A może nie dla sportu. Może po prostu próbuje zwrócić na siebie uwagę i powiedzieć nam wszystkim: hej, jestem tu, zwróćcie na mnie uwagę, popatrzcie, tu jestem! Robi to tak, jak umie. Poza tym ostatnimi czasy szczególnie nie lubi wychodzić z dziadkami na spacer. To znaczy, z dziadkiem jeszcze proszę bardzo, z babunią trochę gorzej. O tyle gorzej, że dzisiaj po obiadku powiedział, że nie chce iść na festyn, i zażyczył sobie oglądania bajki. Co oczywiście nie wchodziło w grę, bajek nie włączamy w ciągu dnia i Cyprian o tym doskonale wie. A jednak się uparł. Złapał jakiegoś misia, wtulił się w niego i krzyczy:

- Nie pójdę! Nie chcę iść! Nigdzie nie pójdę!

Mamusia też krzyczy, że dziecko nie może się tak zachowywać, że pozwalam mu na zbyt wiele, że kto to widział i że wreszcie trzeba z tym zrobić porządek. Na co Cyprian reaguje

już nie krzykiem, a wrzaskiem. Kopie, szarpie się, dostaje klasycznego szału. O włożeniu spodni nie ma mowy. Dziadek kurczowo trzyma go na kolanach, babcia próbuje naciągnąć Cypryanowi spodnie, a co założy mu jedną nogawkę, to mały już ściga drugą i tak w kółko. Nie wytrzymuję w tym momencie i robię to, czego przyrzekłam sobie nie robić.

A Mamusia tryumfuje.

I dobrze, należało mu się, dawno już trzeba było zrobić porządek z takim niegrzecznym dzieckiem. Co to jest, żeby dziecko tak rządziło rodzicami. Na wszystko mu pozwalasz. Zobaczysz, parę lat minie i dopiero zaczną się problemy, ja ci to mówię. Papierosy, narkotyki, koleisie, zobaczysz.

Reszta ginie mi w szumie, który jednostajnie zagłusza wszystko. Uderzyłam własne dziecko. Ze też mi ręka nie uschnie.

* * *

Zajęta Jolką i jej wiosenną seksualnością - znowu rzucił ją gach i szuka zaczepki w każdym słowie - ledwo zauważam, że Zbyszek jeszcze bardziej oddala się od rodziny. Już od jesieni w domu bywa, a teraz nawet i to coraz rzadziej. Któregoś dnia wracam do mieszkania i zastaję w nim Zbyszka. Trzyma w ręku ten angielski list.

- Małgośka, to nie jest żart - mówi zamiast „dzień dobry”.
- Nie rozumiem.
- Sprawdziłem to u znajomego adwokata.
- A my mamy jakiegoś znajomego adwokata? - wyrażam zdumienie nagłym poszerzeniem naszego grona znajomych.
- Ty go nie znasz, ja poznałem go u nas w firmie, prowadzi sprawy naszych dłużników. Czasami jeżdżę do nich z towarem,

muszę wtedy odebrać pieniądze i za bieżącą dostawę, i chociaż część długów, więc muszę z nim współpracować.

- No i?

- I ten adwokat sprawdził to i powiedział mi, że ten list jest jak najbardziej prawdziwy i że zostały ci jeszcze trzy tygodnie na potwierdzenie, że przyjmujesz ten spadek.

- A ja go przyjmuję?

- Twoja zmarła ciotka była zamożną kobietą. Miała apartament w Londynie i dwie spore posiadłości. Jedną rezydencję pod Londynem, z kilkuhektarowym parkiem, i drugi dom, przez nią traktowany jako letni, w Hiszpanii. W ostatnich latach rzadko w tamtym domu bywała, wynajmowała go właściwie przez cały rok, pieniądze z tego wynajmu są na specjalnym koncie. Cały swój majątek zapisała jednemu bratankowi, który na miesiąc przed śmiercią ciotki zginął w wypadku samochodowym. Był jedynakiem-sierotą, miał dwadzieścia cztery lata i nie miał ani żony, ani dzieci.

- Kim dla mnie była niby ta ciotka?

- Twoja prababka, matka ojca twojej mamy, miała siostrę. Była osobą dość postrzeloną, rodzina się jej wyrzekła za swobodny tryb życia i nie utrzymywali ze sobą żadnych kontaktów. Owa wyklęta siostra na koniec wojaży osiadła w Anglii, powiła pewnemu znanemu lordowi nieślubne dziecko, którego ów lord nie uznał, ale należycie zabezpieczył materialnie.

- Zaraz, zaraz, skąd ty to wiesz? Nawet ja nie mam takiej wiedzy o mojej rodzinie, skąd więc ty...? - Pytanie zawisło w powietrzu pomiędzy nami niczym gęsta mgła. Zbyszek uśmiechnął się z wyższością.

- Ów adwokat mi to sprawdził.

- I co ów adwokat radzi?

- Oczywiście przyjąć spadek.
- Oczywiście.

Wychodzę z pokoju, nie chcę dłużej w tej chwili o tym rozmawiać. Wcale nie chodzi o szok kulturowy i odnalezienie czarnej owcy w rodzinie. I wcale nie chodzi też o zawrót głowy przy przeliczaniu funtów na złotówki. Chodzi o to, że wyczuwam w moim mężu jakiś fałsz. Zbyszek nigdy nie liczył pieniędzy w taki sposób, nie był aż tak zaradny i - przede wszystkim - nie miał znajomych prawników, z którymi omawiał moje sprawy. W końcu to moja ciotka, czyż nie? Dlaczego więc Zbyszek nie pozostawił tej sprawy mnie? Nawet jeśli ten spadek by przepadł, to w końcu to mój spadek, mogę go zaprzepaścić, prawda?

Późnym wieczorem, leżąc już w łóżku, pomyślałam sobie, że to ja się tak zmieniłam. Zbyszek dba o pieniądze nie moje, tylko nasze, wspólne, moje, mojego męża i naszego dziecka, czyli całej naszej rodziny. To naturalne, nie powinnam mieć do niego o to żalu, tylko powinnam cieszyć się i dziękować mu za zapobiegliwość.

* * *

Dwa dni później idę do prawnika. Nie wiem dlaczego, ale nie tego od Zbyszka, znajduję jakiegoś innego, poleca mi go mama Kasi. Podobno niezły.

Opowiadam mu całą historię, kiwa głową, nie komentuje. Umawiamy się na kolejne spotkanie już za cztery dni. Pan mecenas oświadcza, że musi sprawdzić wszystkie informacje, ale potwierdza, że nie zostało mi dużo czasu, jeśli chcę przyjąć spadek.

Nie wiem dlaczego, ale nie mówię o tym Zbyszkowi.

Cztery dni później wychodzę z kancelarii, podpisawszy wcześniej pełnomocnictwo dla mecenasa i dokument przyjęcia spadku. Okazało się, że finanse ciotki były dość zaniedbane. Dom pod Londynem jest zadłużony, ale jego wartość przewyższa zadłużenie, można więc go sprzedać z długami i jeszcze zostanie jakaś w miarę sensowna sumka. Mieszkanie w Londynie ma czystą hipotekę i jest w bardzo dobrej dzielnicy, za to jest zapuszczone i pilnie wymaga remontu. Do tego stopnia, że sąsiedzi ciotki trochę już narzekają - i na nieporządek w jej części miniaturowego ogródka, i na trudności w przeprowadzeniu jakiegokolwiek modernizacji w ich części wspólnej, choćby instalacji, czy nawet w banalnym odświeżeniu elewacji. Za to dom w Hiszpanii - istne marzenie. Samonapędzająca się maszyna do robienia pieniędzy. Umowa najmu z aktualnymi mieszkańcami może być tak podpisana, że wszystkie remonty będą odbywały się na ich koszt - jeden tylko warunek: musi być zawarta na co najmniej dwadzieścia lat. Pytam, czy będę mogła chociaż obejrzeć ten dom i pozostałe nieruchomości, niech przynajmniej wiem, co sprzedają bądź wynajmują. Mecenas się uśmiecha.

- Proszę pani, na razie tylko sprawdziliśmy stan prawny i ekonomiczny spadku i wchodzących w jego skład nieruchomości. Na tej podstawie podejmie pani decyzję, czy spadek przyjąć. Decyzje o dalszych działaniach podejmie pani później. - Mecenas uśmiecha się szeroko. - Oczywiście, że może pani tam pojechać w dowolnym, wybranym przez siebie momencie. Może pani zamieszkać tam na stałe, jeździć na wakacje, może pani to sprzedać albo zrobić z tym, na co tylko przyjdzie pani ochota. Ale to następny krok. Moim zadaniem było sprawdzenie, czy spadek nie jest obciążony długami większymi niż jego wartość. Nie jest, nie ma więc się czego obawiać, może go pani przyjąć.

Podpisuję więc wszystkie niezbędne pełnomocnictwa i dokumenty, uiszczam skromną, choć dla mnie wcale niemałą opłatę za usługi pana mecenas a wychodzę z kancelarii z nieuchwytnym wrażeniem, że dzieje się koło mnie coś niezwykłego i że to na pewno jest jakaś podpucha, a ja właśnie podpisałam na siebie wyrok śmierci. No a przynajmniej wyrok długoletniego więzienia za długi, długi, i jeszcze raz długi.

Miesiąc później okazuje się, że to jednak nie była żadna podpucha i idę ulicą już jako pełnoprawna właścicielka apartamentu w Londynie, rezydencji na angielskiej wsi i letniego domu w Hiszpanii. Wiosna jest w pełni, słońce jak oszalałe rozświetla świat i życie, przyroda na dobre się obudziła, o czym szumią wściekle zielonymi listkami wszystkie drzewa i krzewy.

Idę, uśmiecham się, na twarzy maluje mi się szczęście, bo dlaczegoż to się smucić? Nie wypada wręcz się smucić, ukrywam się więc za przyklejonym uśmiechem, chowam się głęboko, gdzie nikt nie znajdzie mojego mroku i cienia. Wiosna przyszła, ale nie przegoniła z mej duszy jesieni, zimy nawet. U mnie ciągle jest listopad. Tylko Cyprian wlewa mi w zmarznięte serce odrobinę ciepła, poza tym - nie cieszy nawet gotowanie. Co z tego, że są cudnie pachnące świeże ogórki i piekący w oczy przy siekaniu szczypiorek, skoro nie chce mi się wkroić ich do twarożku, o robieniu prostej greckiej sałatki nie wspominając?

Chce mi się spać. Sen zimowy dla mnie się nie skończył.

* * *

Nie lubię czekoladek i nie lubię swojej pracy. I nie lubię swojego życia. Nie chcę być kierownikiem i nie chcę być najpopularniejsza w urzędzie. Dlaczego ciągle mam być oceniana - czy jestem puszczalska, czy też nie. Czy powiedziałam, co

powiedziałam, czego nie powiedziałam, co zrobiłam i którą ręką. Już nie chcę. I nie chcę widzieć Jolki, i nie chcę widzieć Mamusi. I nawet Zbyszka nie chcę widzieć.

Nieprawda, Zbyszka chcę widzieć, bardzo chcę widzieć, ale nie widuję, bo go nie ma.

Zima trwa.

* * *

Kupuję sobie wielki bukiet tulipanów. Piętnaście. Uwielbiam tulipany. Przynoszą ze sobą przekonanie i wiarę, że po nich zakwitną inne kwiaty, że będzie ciepło, nadejdzie lato, a ja jak Calineczka znajdę na łące swojego Księcia Elfów. Co roku kupuję wiosną tulipany, napełniam nimi wazon kilka razy w sezonie, uwielbiam je. Uwielbiam także i to, że rosną w wazonie. Udowadniają mi, że nawet w bardzo niesprzyjających, złych, fatalnych warunkach można się rozwijać. Przecież kiedy kwiaciarka podaje mi je ze straganu, zebrane w wielki bukiet i związane cienką rafią, i kiedy wstawiam je do wazonu, są już ścięte, czyli w zasadzie nie żyją, prawda? Jakież warunki mogą być trudniejsze? Te kwiaty już umarły, a dalej rosną. Ja też w środku nie żyję, a powinnam rosnać. I chyba tak naprawdę chcę rosnać. Pewnie dlatego kupuję tulipany, szczególnie teraz jest mi potrzebny optymizm związany z siłą ich wegetacji.

Mamusia patrzy na przyniesiony przeze mnie bukiet i mówi:

- Tulipany kupiłeś? Twarde te paki, nie rozwiną się.

Uprzejmy pan petent coraz częściej mnie zagaduje:

- A co pani Małgosia taka smutna?

Więc przywołuję na twarz uśmiech numer osiem, zarezerwowany na sytuacje mocno zabawne, bo przecież absolutnie, wcale, zupełnie, ani odrobinę nie jestem smutna, gdzieżby tam. Tak się tylko zamyśliłam.

Dzisiaj ów pan zadał mi to pytanie po raz ósmy. Jak dojdzie do dziesiątego, to zwariuję i w końcu odpowiem zgodnie z prawdą.

Tylko kto jest zainteresowany moją prawdą?

Ale nie dochodzi do dziesiątego razu, nawet do dziewiątego już nie dochodzi. Bo następnym razem uprzejmy pan petent, od tego momentu już pan Robert, mówi do mnie coś zupełnie innego.

- Pani Małgosiu, myślę, że pani się tu i marnuje, i męczy. Szukam do swojej nowej firmy kierownika, menadżera, który poprowadzi mi sprzedaż. Nic wielkiego, będziemy tam sprzedawać tylko kosmetyki drogeryjne ze średniej półki, ale ktoś musi się tym zająć.

Wybucham śmiechem, pierwszy raz od bardzo, bardzo dawna serdecznym.

- Panie Robercie, kompletnie się na tym nie znam! Dziękuję bardzo, sprawił mi pan ogromną przyjemność, dostrzegając we mnie kogoś więcej niż tylko urzędnika, ale myślę, że ja z kolei sprawiłabym panu zawód, gdybym tę propozycję przyjęła.

- Pani Małgosiu, na pewno musiałyby pani przejść kilka szkoleń i sporo się nauczyć, to oczywiste. Ale dostrzegam w pani potencjał, o którym pani chyba sama nie wie. Proszę się zastanowić. Będę tu w przyszłym miesiącu, da mi pani wtedy odpowiedź, do tego czasu nikogo nie szukam.

Pan Robert z kurtuazją się pożegnał i wyszedł, nie czekając na moje „ale”.

Skąd wiedział, że tylko w „ale” jestem naprawdę dobra? Kto mu powiedział, że dalszy ciąg zdania jest dla mnie niemożliwy do wypowiedzenia?

Zasiał ziarno i poszedł odpocząć przed żniwami.

Jakby zaczarował świat, który właśnie oszalał. Jolka nienawidzi mnie tak bardzo, że na jednym z popularnych portali internetowych założyła pod moim nazwiskiem bloga, bardzo krępującego i wstydlwego. W tymże blogu chełpię się tym, że usunęłam kolejną ciążę (jak ja chciałabym mieć drugie dziecko!), opowiadam o różnych perwersjach i obrażam wielu ludzi. Odkrywam ze zdumieniem, że Jolka trzyma sztamę z Adamem i właściwie nie mam już w urzędzie sojuszników. Tak mi się przynajmniej wydaje. Podobno nie znam się na swojej robocie, kierownikiem zostałam, bo przespałam się ze starostą, przypisuję sobie pomysły i inicjatywy moich twórczych pracowników (z Jolką na czele), tłamszę ich osobowość, jestem arogancka dla petentów i co tam jeszcze.

Wieczorem przeglądam Wikipedię i ponownie czytam:

Mobbing - to termin wywodzący się z angielskiego słowa „to mob” (szykanować grupowo), oznaczający celowe, systematyczne, powtarzające się przez dłuższy czas zachowania naruszające godność osobistą danej osoby.

Mobbing zazwyczaj ma na celu lub skutkuje: poniżeniem, ośmieszeniem, zaniżeniem samooceny lub wyeliminowaniem albo odizolowaniem pracownika od współpracowników.

Kierunki mobbowania w zhierarchizowanych strukturach organizacyjnych

- *mobbing ukośny - osoby mobbująca i mobbowana znajdują się na różnych poziomach;*

- *mobbing prosty — osoby mobbująca i mobbowana znajdują się na tym samym poziomie.*

Nie czytam dalej, bo po co. Mogę opowiedzieć, na czym polega mobbing i jakie niesie konsekwencje dla jego ofiary bez żadnej naukowej pomocy. Z praktyki wiem, na czym polega - doświadczam go w tej chwili na co dzień.

Taki to ze mnie szef, który jest mobbowany przez niemal wszystkich swoich i nie tylko swoich pracowników. Trzeba mi było siedzieć cicho, a właściwie głośno i gromko zakrzyknąć staroście „NIE”. Ale nie zrobiłam tego i teraz muszę się zastanowić, gdzie poszukać innej pracy, tutaj już dłużej nie wytrzymam.

Do tego jeszcze Cyprian. Mój cudowny, wspaniały synek, aniołek mój. Nie mogę z nim wytrzymać. Jest krańcowo nieznośny, nie mogę o nim powiedzieć, że zaczął pokazywać różki. Ma rogi jak przez całą Polskę wzdłuż i w poprzek, nie jestem w stanie ich spiłować. Nie mieliśmy buntu dwulatka, mamy bunt czterolatka. I - co najgorsze - jestem przekonana, że to nasza wina. Cyprian czuje, że coś jest nie tak. Na pewno.

Codziennie słyszę perorę na temat jego niewłaściwego zachowania. Fakt, potrafi zachowywać się „niewłaściwie”, trudno zaprzeczyć. I fakt, my, dorośli, nie potrafimy sobie z tym poradzić. Nie potrafimy pomóc temu maluchowi udźwignąć zbyt trudnych dla niego emocji.

Jak mamy mu pomóc, skoro sami nie potrafimy poradzić sobie ze sobą i z naszą codziennością? Ja warczę, teściowa warczy, teść zamienił się w milczącą ścianę, a Zbyszka na wszelki wypadek nie ma w domu.

Co najgorsze, warczę nie tylko tak ogólnie, ale przede wszystkim warczę na Cypriana.

Niedługo zamienimy się w wilki. *Homo homini lupus est.*
Wyrosną nam wszystkim wielkie, długie zęby. I pożremy się nawzajem, tak jak wilk pożarł Czerwonego Kapturka.

* * *

Zbyszek wpada do domu wzburzony.

- Nie powiedziałaś! Nic nie powiedziałaś!

- Ale o czym?

- O spadku!

- Aaaaa... Fakt, nie powiedziałam. Dostałam ten spadek. Nie ma rewelacji, w tej chwili raczej więcej z tym pracy niż pieniędzy. Trzeba uporządkować wszystkie sprawy.

- Co ty gadasz! Posiadłość pod Londynem! Apartament! Toż to majątek!

- Majątek, ale obłożony długami. Zbyszek, o co ci chodzi?

Mój mąż uspokaja się, jakby ktoś raptem podpiął go pod butlę z gazem wyciszającym. Równie nagle, co sztucznie.

O co chodzi?

* * *

Dwa tygodnie później już wiem, o co chodzi.

Ukochany przeze mnie ojciec mojego ukochanego dziecka znalazł sobie inną ukochaną i wymyślił, że jak już dostanę spadek, to będzie więcej do podziału. A figę. Spadek nie wchodzi w skład masy majątkowej podlegającej podziałowi w trakcie rozwodu. Jest moim spadkiem i już.

I moim kłopotem, ale to później.

Kiedy indziej.

Nie mam siły.

Jest maj, a właśnie przyszedł mróz.

* * *

Mama Kasi postanowiła mnie trochę pocieszyć i podnieść na duchu. Kupiła bilety do teatru. W naszej metropolii nie ma takiego przybytku, można co najwyżej skorzystać z dobrodziejstwa spektakli objazdowych. Wtedy dostanie biletu graniczy z cudem, a tym razem biletów nie było, zanim plakaty pojawiły się na mieście. Przyjeżdża teatr Jandy, z samiuteńkiej Warszawy, z samiuteńką Jandą w roli głównej. Spektakl głośny, okrzyczany, pół miasta chce go zobaczyć, a nawet jak ktoś nie chce, to wypada, więc rwanie po bilety przekroczyło siłę huraganu. Nie wiem, jak mama Kasi te bilety załatwiła, ale załatwiła i już.

Dobra z niej dusza, tak w ogóle. Wynajęła opiekunkę do Kasi, zaproponowała, że przecież w tym czasie owa opiekunka może też zająć się i Cyprianem, i właśnie przymierzam moją wizytową sukienkę. Nie miałam jej na sobie od czasu pamiętnej integracji, źle mi się kojarzy, ale nie mam żadnej innej, więc wybór mam taki sam - żaden.

Telefon.

Mama Kasi nie może pójść.

Jej teściowa znalazła się w szpitalu z wysokim nadciśnieniem i do jutra na pewno nie wyjdzie. Mam więc dwa bardzo poszukiwane bilety na jutrzejszy modny spektakl teatralny, starą i oklepaną wizytową sukienkę, zupełnie wolny wieczór, zarówno

ten, jak i następne, oraz całkowite, do cna przepełniające mnie poczucie nieatrakcyjności. I beznadziejności.

* * *

Kolejny smutny dzień. Bardzo słoneczny, bezchmurny. Dziewczyny biegają w kolorowych kwiecistych sukienkach, falbany okręcają im się wokół kolan, jasne pantofelki wysmuklają jeszcze nieopalone kostki, krótkie rękawki zasłaniają kolorowymi blezerami. Bajkowy świat, gdzie płatki wiosennego kwiecica unoszą się w powietrzu, jest, istnieje, wiruje tuż obok mnie, dlaczego nie mogę do niego wejść?

Wchodzę do urzędu, tu - jak zawsze. Listopad czy maj, tutaj jedyną obowiązującą pogodą jest urząd. Urząd jest odpowiedzią na każde typowe i nietypowe pytanie i na każdą kwestię wykraczającą poza procedury. Jest urząd.

Czy dzień jest słoneczny?

Jest urząd.

To jedyna polityczna odpowiedź, bo z za brudnych szyb trudno ocenić, jaka akurat jest pogoda.

Czy jest maj?

Jest urząd.

Bo czy ma znaczenie fakt, jaki akurat miesiąc rozpanoszył się w pozaurzędowym świecie?

Czy ta sukienka jest ładna?

Jest urząd.

To zawiera całą skalę oceny, bo może jest za krótka albo ma za duży dekolt, albo jest zbyt kolorowa. Urząd załatwia sprawę, ma w sobie wszystkie kryteria, które są tu niezbędne. Ładność do nich nie należy.

Wchodzę do naszego referatu i tutaj także jest urząd, w powietrzu unosi się zapach niewietrzonych ciał, okna otworzyć się nie da, bo Jolka od razu krzyczy, że chcemy jej choroby. Ja podobno chcę. Jolka siedzi pochylona nad swoim biurkiem, knuje coś przez telefon, szeptem kończy rozmowę na mój widok. Dwie pozostałe pannice ledwo widać zza stert papierów, mnóstwo roboty ostatnio nam przybyło. Wszystko przeze mnie. Po jesiennym szkoleniu zaangażowałam się w zdobywanie, a właściwie wydobywanie spod ziemi, funduszy unijnych, a pieniądze naprawdę trudno dostać. Wymaga to ogromnego nakładu pracy, mozolnej dłubaniny, bezmiaru straconego czasu i potężnej połaci wyciętego na papier lasu. Dziewczyny są zawalone papierkową robotą, ale pieniądze rzeczywiście udaje nam się pozyskać. Starosta jest zadowolony, dziewczyny mniej. Jolka kręci nosem na każdą dodatkową pracę i w efekcie swoich celowych, precyzyjnie wymierzonych działań w ostateczności nie wykonuje nic ponad to, co wykonywała do tej pory, czyli robi wiele hałasu o nic.

Patrzę na te dwie pochylone głowy i wołam do siebie jedną z dziewczyn. To impuls.

- Dagmara, mam jeden wolny bilet na dzisiejszy spektakl teatralny. - Nie muszę mówić jaki, całe miasto nim żyje. Dagmara w lot łapie, o jakie przedstawienie mi chodzi. Oczy robią się jej jak dwa spodki UFO. - Czy masz ochotę pójść ze mną? Mój mąż jest w delegacji, przyjaciółce zachorowała matka, a kuzynka wyjechała. - Brzmi to przekonująco, nawet jeśli nie mam kuzynki.

Dagmarę aż zatchnęło.

- Oczywiście!

Ani chwili nie zastanawiała się nad odpowiedzią, jest w tym momencie ucieleśnieniem radości. Jak ja chciałabym ciągle jeszcze umieć się tak z czegoś cieszyć.

- W porządku. W takim razie jesteśmy umówione pod teatrem kwadrans przed dziewiętnastą. Do zobaczenia.

Kończąc audyencję bladym uśmiechem, co mi przyszło do głowy?

A, trudno, przynajmniej nie będę znowu spędzać samotnego wieczoru. Mama Kasi niani nie odwołała, sama spędza wieczór i pewnie część nocy w szpitalu, więc Kasia musi mieć opiekę, a ja mam z kim zostawić Cypriana, nie prosząc o łaskę teściowej.

Idę.

Idę do teatru!

Chyba się jednak cieszę. Jak to dobrze, że wciąż jednak umiem się cieszyć.

Dagmara wychodzi, niemal równocześnie dzwoni moja komórka.

Mecenas przypomina mi, że angielskie sprawy wymagają załatwienia. Nie chce się (podobno) narzucać, ale majątek musi zostać zagospodarowany.

Jakbym mało miała spraw.

Jakbym dużo miała chęci na zajmowanie się czymkolwiek.

* * *

Wieczorem przeżywam olśnienie. Janda jest Boska. Boska jest boska. Spektakl jest od A do Z mistrzowskim popisem i reżyserii, i aktorstwa. W aktorstwie Jandy tragicznie śmieszna Boska jest człowiekiem, nie tylko postacią, to odkrycie

porusza w ostatnich minutach aż do trzewi. Wychodzę z teatru wstrząśnięta.

Pytam Dagmarę, czy przyznała się w biurze, że zaprosiłam ją do teatru. Zapomniałam poprosić ją o dyskrecję.

Niestety, dyskrecja nie jest wpisana w osobowość młodej dziewczyny.

* * *

Cyprian wita mnie zasmarkany, niania jest nieprzytomna, tak dał jej w kość. Kasia podobno cały wieczór grzecznie bawiła się lalkami w dom, Cyprian natomiast wykazał się twórczą inwencją. Wymyślał różne ciekawe zabawy, na przykład:

- 1) zabieranie lalek Kasi
- 2) ciągnięcie Kasi za włosy
- 3) tłuczenie Kasi pięściami
- 4) tłuczenie niani pięściami
- 5) latanie po mieszkaniu rodziców Kasi w tempie odrzutowca
- 6) rzucanie przedmiotami na odległość, ze szczególnym uwzględnieniem prób trafienia w szyby okienne
- 7) nie pamiętam. Niania też nie pamięta. Ta dziewczyna nie pamięta już chyba nawet, jak się nazywa.

Wstyd mi za moje dziecko, nie sądzę, żeby mama Kasi chciała się jeszcze z nami przyjaźnić.

Co gorsza, następnego dnia Mamusia odbiera Cypriana z przedszkola, spotyka tam mamę Kasi i ta z niepokojem dopytuje się o małego. Mamusi więcej nie trzeba. Wiadomo teraz już na pewno, że mój syn w przyszłości będzie złodziejem, narkomanem, alfonsem i kim tam jeszcze.

Chce mi się wyć.

Po porannych, standardowych ostatnio przepychankach z Cyprianem i histerii w przedszkolu wchodzę do urzędu jak zwykle szara. Bura mysz przychodzi do brudnego biura i nikt jej tam nie widzi. Po fantastycznym wieczorze nie zostało nawet mgliste poczucie zadowolenia. Dagmara jest roześmiana od ucha do ucha, śmieją się jej oczy, uśmiechają usta. Wygląda na młodzieńczo szczęśliwą. Jak ja jej zazdroszczę.

Ile ona może mieć lat? Dwadzieścia trzy, cztery? To tylko ja-kieś pięć, może sześć lat mniej niż ja, a czuję się starsza o epokę.

Przez uchylone drzwi słyszę inwigilację Jolki:

- No jak to, nic od ciebie nie chciała? O co cię pytała? No chyba głupia jesteś, nawet nie wiesz, o co cię pytała? Przecież nie zaprosiła cię towarzysko! Towarzysko? Głupia jesteś. Chciała się dowiedzieć, co na jej temat mówimy w pracy!

Zapada cisza, nie zaglądam tam, ale wiem, że Dagmara już się nie uśmiecha.

Wczoraj w zasadzie nie rozmawiałyśmy. Ze mnie marny ostatnio kompan do konwersacji, na szczęście w trakcie spektaklu pogadać się nie da, a w przerwie Dagmara poszła do toalety, gdzie zakręcająca w wiele spiralek kolejka zatrzymała ją niemal do dzwonka. Po spektaklu pożegnałyśmy się i pojechałyśmy każda w swoją stronę. Tyle naszej aktywności towarzyskiej dnia wczorajszego.

A dzisiaj? A dzisiaj żałuję swojego chwilowego impulsu, co mnie podkusiło? Zachciało mi się bratać z pracownikami. To ja jestem naiwna, nie Dagmara. Mam ochotę wyjść i przeprosić to dziewczę, ale mogłabym jej tym jeszcze bardziej zaszkodzić. Muszę się trzymać jak najdalej od niej.

W efekcie skomasowanych działań Jolki, w kolejnych kilku dniach, właściwie przyjmuję propozycję pana Roberta. On w to chyba nie do końca wierzy, a ja już na pewno w to nie wierzę. Mówię mu, że rozważyłam jego propozycję i chciałabym omówić szczegóły. Umawiamy się na następne popołudnie w kawiarni w centrum miasta.

Chyba zwariowałam.

Ale widocznie wariatom żyje się lżej, bo mam tego popołudnia gdzieś Jolkę i jej podłe knowania. Uśmiecham się do niej serdecznie, co słusznie odczytuje jako kpinę i kipi nienawiścią.

Pod sam koniec roboczego dnia wzywa mnie do siebie starosta.

- I jak, pani Małgosiu?

- W porządku.

Cóż innego mogę odpowiedzieć?

- Ułożyła sobie pani stosunki z pracownikami?

- Niezupełnie. Powinnam politycznie odpowiedzieć, że tak, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, ale tak nie jest i nie będę panu bajek opowiadać.

Zasępił się nasz pan starosta, ale ja już przekroczyłam Rubikon. Nie mogłam się zatrzymać i obrazowo naświetliłam faktyczny stan rzeczy. Zakończyłam wnioskiem, który spowodował, że zrobiło mi się lżej na duszy.

- W świetle wszystkich tych wydarzeń uważam, że dla morale zespołu, i to nie tylko zespołu tego jednego referatu, ale wszystkich pracowników urzędu, lepiej byłoby, gdyby pani Jolanta zmieniła miejsce pracy. Jest doświadczonym urzędnikiem, na pewno poradzi sobie na rynku pracy; tutejsze uwarunkowania

i zależności międzyludzkie pozbawiają ją możliwości całkowitego wykorzystania jej potencjału.

Co za bełkot. Starosta jest jednak inteligentnym facetem i rozumie, co mu chcę przez to powiedzieć.

Nie skończyłam jeszcze.

- Panie starosto, jeszcze jedno. Jak najbardziej rozumiem, że mój wniosek może być postrzegany jako odwet. Aby uniknąć takich skojarzeń, a wręcz od razu uciąć tej hydrze podejrzeń głowę, rozważam możliwość złożenia wypowiedzenia. Na moje miejsce na pewno znajdują się kompetentni chętni, a miejsce Joli zajmie ktoś mniej konfliktowy.

Starosta milczy.

Ja właściwie skończyłam. Co mnie napadło? Nie mam żadnej konkretnej propozycji pracy, tylko jakieś mrzonki poparte czekoladkami i promiennym uśmiechem. Nie mam pracy, mam za to małe dziecko na utrzymaniu.

Nie mam też w zasadzie męża i mam dość.

Chcę odetchnąć i wreszcie ucieszyć się tym, czym cieszą się normalni ludzie.

Ciekawe, co starosta chciał mi powiedzieć?

- Pani Małgosiu, ciekawe rzeczy pani opowiada. Nawet jeśli ma pani problemy z pracownikami w swoim zespole, to nie wpływa to na wydajność pani referatu. A to dobrze świadczy. W związku z dobrymi wynikami pracy chciałem nagrodzić panią i pani pracowników. W tej chwili przyjmuję, że nie słyszałem wcześniejszej wypowiedzi. Mamy do wyboru: dla pani ludzi wspólny wyjazd na trzy dni w dowolne miejsce w Polsce. Mogłybyście robić tam, co się wam żywnie podoba, byle nie przekroczyć określonego budżetu. Druga możliwość to tenże budżet przeznaczyć na premie dla pracowników. Budżet nie

jest mały, wynosi pięć tysięcy złotych, w przypadku wykorzystania go na premie jest do pani wyłącznej decyzji, kto i w jakiej kwocie te pieniądze otrzyma. Dla pani z kolei propozycje są dwie, zupełnie niezależne. Przyznałem pani premię uznaniową, myślę, że kwota się pani spodoba. Proszę sobie łaskawie sprawdzić ją w kadrach. I druga rzecz, jeśli będzie pani chciała, mogę przenieść panią do innego działu. Ale o szczegółach tej propozycji porozmawiamy innym razem. Zakładam, że jeśli w ciągu tygodnia nie przyjdzie pani do mnie z dokumentem potwierdzającym wcześniejsze słowa, to wracamy do naszej rozmowy.

Starosta wyraźnie skończył.

- Dziękuję - wybąkałam i cichutko wyszłam.

Niech to szlag.

* * *

Pani Albina jest niesamowita. Dzięki niej może i ja stanę się chociaż trochę mądrzejsza. Jest cicha i taktowna, życzliwie nic nie mówi. Po prostu przyniosła mi dzisiaj prezent. Album z ilustracjami Salvadora Dalego do *Boskiej Komedii* Dantego. Niesamowite. Drzeworyty, które wyglądają jak akwarele, są przepiękne. Skąd pani Albina wiedziała, że uwielbiam Dalego?

Oglądam sobie i oglądam, chociaż omijam *Piekcło*, w zbyt kiepskim jestem nastroju. Zaczynam od *Czyścica*, to i tak ciężkie dla mnie przeżycie. Na deser dla przyjemności zostawiam sobie *Raj*. I tu zdumienie. Patrę na kolejne rysunki do pieśni i widzę anioła. Zaklęty w ilustracji pieśni XXII *Anioł z Siódmego Nieba* stąpa lekko po chmurze, sam będąc w nią spowity. Jest piękny,

cudnie błękitny, a jednak jest w nim smutek. No tak, ten anioł jest jak współczesna modelka. Wysoki, chorobliwie chudy, o wyostrzonych rysach i wydłużonych skrzydłach. Nawet anioł, jeśli jest za chudy, nie może być szczęśliwy.

Biegnę po Cypriana do przedszkola. Teściowa się zbiesiła, odkąd Zbyszek nas opuścił. Robi mi łaskę, że w ogóle czasami zajmie się małym. Trudno, muszę sobie poradzić. Trudniej, bo Cyprian przeżywa brak taty na swój czteroletni sposób i dostaję od niego niezły wycisk. Co i rusz mam powtórkę z wyjścia na festyn. Dostaję w kość w każdy możliwy sposób: krzyki, histerie przy ubieraniu w przedszkolu, przy rozbieraniu w przedszkolu, przy ubieraniu w domu, przy rozbieraniu w domu, w sklepie, na ulicy. Cyprian potrafi rzucać przedmiotami, kopać, wierzcgać nogami, drapać, tłuc pięściami dookoła siebie. Często to „dookoła” to jest moje posiniaczone już ciało. Nie mogę mieć dość własnego dziecka, chociaż bardzo bym czasami chciała. Nie chce się ze mną bawić, nie chce czytać ze mną książeczek, nie chce wychodzić ze mną na spacer. Chce czekać w domu na tatę. Jedyne, co go jeszcze choć trochę wciąga, to wspólne gotowanie. Decyduję się na nie często, chociaż kuchnia wygląda potem jak po wizycie goblinów, ale przynajmniej potrafię wtedy Cypriana czymś kreatywnie zająć. Druga czynność, która Cypriana zachwyca, to oglądanie telewizji, ale na to z kolei ja patrzę nieprzychylnie. Ogłupiające kolorowe obrazki nie rozwiążą naszych domowych problemów.

* * *

Cyprian wychodzi z przedszkola spokojnie, bo wie, że dzisiaj ma przyjść do niego tatuś. Nie może się już doczekać, podskakuje na ulicy, dawno już nie widziałam mojego dziecka tak roześmianego. Szczęśliwego? Co jest ze mną nie tak, że nic nie potrafię zrobić dobrze? Małżeństwo się rozpadło, dziecko nie potrafię wychować w harmonii i radości życia, w pracy awans potrafię zamienić w piekło. Nawet niespodziewany uśmiech przewrotnego losu, spadek po bogatej ciotce, przyniósł jak dotąd więcej kłopotów niż korzyści. O co chodzi?

Wiem, o co chodzi.

Jestem po prostu do niczego.

Mało budujący nastrój na nieromantyczne spotkanie z w zasadzie już byłym mężem.

* * *

A kicha, właśnie że wcale nie byłym. Zbyszek pojawia się w drzwiach odpicowany jak woźny w Boże Ciało, przed sobą targa wiecheć żółtych tulipanów. Zanim zdołałam głębiej odechnąć, od razu w progu rzuca się na kolana i mówi skruszony o popełnionym życiowym błędzie.

Ładny mi błąd. Mam ochotę walnąć go w nos i więcej na swoje oczy już nie oglądać. Widziałam ten błąd. Sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, wymiary 85-65-85 i burza jasnych loków do pasa. Nie wierzę w jego skruchę, wierzę w bogatszego adoratora, który zajął miejsce Zbyszka. Ale Cyprian przygląda się scenie z szeroko otwartą buzią, muszę trzymać fason.

- Wejdz, proszę.

Niesłusznie obaj panowie uznają, że oznacza to powrót naszych normalnych stosunków rodzinnych, Cyprian rzuca się więc ojcu na szyję, no i panuje sielanka, radość, żyli długo i szczęśliwie.

I niech to szlag.

Zbyszek zostaje w domu, przynosi z samochodu swoją walizkę i jeszcze jedną, i jeszcze dwie wielkie torby, skąd on ma tyle rzeczy? Nawet nie zauważyłam, że tyle mi z mieszkania ubyło.

Radośnie świergocze, musiało być ci ciężko, przepraszam. Od jutra mama będzie ci znowu pomagać, jak ona mogła cię tak zostawić? My to my, ale przecież Cyprian to zawsze będzie jej wnuk, nie może go tak po prostu przestać widywać, już ja z nią porozmawiam... Mówi dalej, ale nie słucham. Patrzę, jak myje ręce, jak wyciera je w czysty ręcznik, jak rzuca go byle gdzie. Patrzę, jak wyjmuje sobie z lodówki jedzenie, rozkłada je na dwa, nie, trzy talerzyki, woła Cypriana, roześmiani zaciągają mnie do stołu, nie chcę jeść. Nie uśmiecham się, nie jestem szczęśliwa, nie chcę tu Zbyszka. Jest już obcy. Złamał mnie, uświadamiam sobie, że jestem pokaleczona i wyblakła. Jego odejście w bolesny sposób mnie otworzyło, ale to dobrze, nie jestem już zamknięta na niego i nasze wspólne sprawy. Zaczęły istnieć także moje sprawy. Czyżby był dla mnie kimś aż o tyle mniej istotnym, niż sądziłam? Bez słowa zamykam się w łazience, a potem za-grzebuję w pościeli. Słyszę tylko, jak Zbyszek z Cyprianem zaśmiewają się w kuchni, słyszę, jak lekko Zbyszek tłumaczy naszemu synkowi: mamusia jest zmęczona, źle się czuje, musi odpocząć. Nie przychodzi do mnie porozmawiać. O czym?

Sprawa została załatwiona. Wróciłem, jestem, już wszystko dobrze, daj jeść. Zorganizujemy znowu życie po dawnemu, będzie dobrze, tak jak było, dobrze.

Komu było dobrze?

Rano Zbyszek ubiera Cypriana i odprowadza go do przedszkola. Wielki gest, mam dla siebie dwadzieścia minut. Dzisiaj akurat bardzo mi się przydadzą, maluję się wyjątkowo starannie przed spotkaniem z panem Robertem.

* * *

Jego propozycja jest dla mnie nie do przyjęcia. Owszem, pieniądze bardzo dobre, nawet niewyobrażalne jak dla mnie, dobra pensja plus astronomiczne premie, do tego samochód służbowy i telefon. I mogłabym tego samochodu i telefonu używać też prywatnie, oczywiście w rozsądnych granicach. Ale praca do osiemnastej i dużo wyjazdów, na początku lokalnych, ale po kilku miesiącach pewnie częściej wymagających noclegu poza domem. A dla mnie to niemożliwe. Nie chcę nie móc wycałować i wyściskać Cypriana wieczorem ani utulić go do snu. Nie wyobrażam sobie, kto mógłby to za mnie zrobić. Zbyszek? Wykluczone, więcej go nie ma, niż jest. Teściowa? Tym bardziej wykluczone, więc nie mogę przyjąć propozycji pana Roberta.

Chwilowo nic nie mówię, umawiamy się na ostateczną rozmowę dokładnie za cztery dni, w następnym poniedziałek.

* * *

Wieczorem Zbyszek zaczął mówić. Zaklinanie rzeczywistości, czyli logika usprawiedliwień? Może to i prawda, a może i najprawdziwsza prawda, że ciężko żyje się pod jednym dachem z dwiema nieustannie skonfliktowanymi kobietami. Jest to pewnie prawda, że tamta, której imienia nie chcę nawet znać,

zapewniała mu ciszę i spokój, chociaż nie umiała gotować. „Była jednak w środku pusta jak puszka po zjedzonym tuńczyku”.

Nie wiedziałam, że mój mąż ma skłonność do poetyckich porównań.

I to ma mnie pocieszyć? Jestem niezjedzonym tuńczykiem? Z obietnicą smacznego?

Sama wiem, że czasami między nami, Zbyszkowymi babami, jest jatka, a stan wojenny trwa w naszym domu permanentnie. Lecz skoro my, niedojrzałe emocjonalnie kobiety, nieustannie się kłócimy, to może Zbyszek mógłby побыć przez chwilę facetem? Przykrócić Mamusię na przykład? Wydorosłeć i odciąć pępownikę? W końcu jest ukochanym syneczkiem Mamusi, na pewno mu wybaczy. Zony przykrócić się tak łatwo nie da, może dlatego próbował mnie po prostu wymienić?

Mam mu ponownie uwierzyć? I dobrze się z tym czuć? I uszami klaskać, że mąż marnotrawny?

A może to jest bardziej tak, że Zbyszek nie zdołał się jednak uwolnić od wpływu matki? Może tak naprawdę ona wcale nie jest toksyczną teściową, tylko toksyczną matką? Pępownina nie została odcięta, niewidzialna matczyna więź zamknęła syna w więzieniu. Więzieniu czego? Małżeńskiej samotności, rodzicielskiego egoizmu, heroizmu dorosłego dziecka? Myślę sobie, że matka Zbyszka, pewnie w najlepszych intencjach, chcąc ulepszać i poprawiać świat, nieustannie sączonym jadem zniszczyła nasze stadło. Może powinnam być i bardziej wyrozumiała dla teścia? Kochany to on nie jest, ukryć się jego serdeczności do świata nie da, ale może po prostu pił przez teściową? Można by powiedzieć, że widziały jego gały, jaką białogłową brały, ale cóż, może życie zmieniło teściową w obecnego potwora? A teść nie umiał się z tym pogodzić, więc poradził sobie, jak umiał?

Butelka kompan cierpliwy. Wysłucha do końca, do kropli ostatniej i do ostatniego chrapnięcia.

A może zupełnie odwrotnie? Mamusia zrobiła się Mamusią obecną przez to, że tatuś zagłuszał alkoholem codzienność? Nie dojdę kolejności, cud jednak, że w tym wszystkim Zbyszek jest normalny, chociaż z problemami. Żałuję, że te problemy to nasze wspólne życie, Zbyszka i moje. W ten sposób picie teścia i jad sączony przez teściową są moimi ważkimi problemami; wyslizgnęły się z ich domu węzowym ruchem i po naszych śladach dotarły aż tutaj. Nasze problemy są jak gady: założyły gniazdo, rozmnożyły się i teraz syczą z każdego kąta. A my boimy się ich dotknąć, bo mogą przestać syczeć, a zacząć kąsać.

I co po tym strachu? I tak kąsają.

Pozostaje mi już chyba tylko żal. Żal i tęsknota za ukochanym.

I życiowe doświadczenie, że dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane. I rodzicielskie, i małżeńskie.

* * *

A może to i lepiej, że Zbyszek wrócił? Moje życie nie jest twórcze, za to jest ciut łatwiejsze. Co z tego, że chodzę od rana do wieczora wściekła? Może tak właśnie powinno być? Teściowa znowu przestawia gary w mojej kuchni i słyszeć znajomy jazgot:

- Po co ty tyle gotujesz? Przecież się jedzenie marnuje!

Ugotowałam rosół z kury i zrobiłam zapiekankę z makaronu. Jak mam zrobić zapiekankę tylko w połowie foremki? I dlaczego rosół na dwa dni to ma być za dużo?

- Cyprian znowu nie zjadł obiadu, na pewno ma robaki. Dziecko nie może nie jeść, trzeba mu zrobić badania.

- Gdybym to ja decydowała, to Cyprian chodziłby wcześniej spać. Dziecko nie może się tak męczyć wieczorami.

Cyprian chodzi spać o dwudziestej pierwszej, tak jest od lat. Daje nam to czas na chwilę zabawy z synkiem przed snem. Rano zawsze się spieszymy, chcę się nacieszyć jego obecnością, chociaż ostatnio ta radość jest mocno posiniaczona i lekko utyka.

- No naprawdę, to już chyba z chytrości schowałaś tego batonika przede mną.

Batoniki od zawsze leżą w wiszącej szafce w kuchni, nie wiem, o co chodzi.

- Sama zjadłaś, widziałam papierek, nawet mnie nie poczęstowałaś!

- Tyle prasowania u ciebie, mogłabyś się wreszcie wziąć w tym domu do roboty! U mnie nigdy nie było takiej sterty nieuprasowanych rzeczy. Ja zawsze prasowałam na bieżąco.

- Jeśli dziecko tak nie je jak Cyprian, to powinno dostawać jakieś lekarstwa. Jak to co? Nie wiem. Lekarza zapytaj!

- Takie zachowania jak u Cypriana to trzeba leczyć. Dyscyplina by mu się przydała, ot co! Jest rozpuszczony i tyle, klapsa by dostał i od razu by chodził jak w zegarku!

* * *

Wychodzę z siebie, wychodzę z domu, idę do pracy. Woła mnie starosta.

- Słyszałem, że brata się pani z personelem?

Nie wiem, o co chodzi, jestem jednym wielkim znakiem zapytania.

- Pani Małgosiu, czy prawdą jest, że zaprosiła pani jedną z pracownic do teatru w celu uzyskania od niej nieoficjalnych informacji o prywatnym życiu pracowników działu?

A to cholera jedna, zołza pieprzona.

- Nie, panie starosto. Prawdą jest, że miałam jeden wolny bilet na atrakcyjne przedstawienie teatralne, gdyż ze względu na niesprzyjający zbieg okoliczności osoba, z którą wybierałam się do tegoż teatru, musiała nagle zmienić plany. Zaproponowałam więc wspólne wyjście jednej z pracownic. Nieprawdą natomiast jest, że celem tego wyjścia było podstępne wyciągnięcie informacji o prywatnych sprawach naszych współpracowników.

- Niemniej potwierdza pani fakt wspólnego wyjścia?

- Tak, panie starosto.

- Pani Małgosiu, jak pani mogła?

Pierwszy raz od dawien dawna pan Jerzy przemówił do mnie tak osobiście. Czuję się głupio, coraz głupiej, bo nie rozumiem, co się takiego stało.

- Przy tak skomplikowanych relacjach międzyludzkich, jakie panują w pani dziale, bratanie się z pracownikami zawsze obraca się przeciwko kierownikowi. Nie mam wyjścia, muszę przyjąć pani wypowiedzenie.

O do diaska!

Niech mnie.

Właśnie straciłam pracę.

Właśnie straciłam swoją zniechęconą robotę.

Kiwam grzecznie głową, nie rozumiem swojej reakcji. Przepełnia mnie radość. Znowu cichutko zamykam drzwi od gabinetu starosty. Po namyśle jednak wracam.

Starosta patrzy pytająco.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam. Czy mogę zakomunikować moim pracownikom, kto będzie ich przełożonym?

- Pani Jabłowska.

Uśmiech gaśnie mi na twarzy, ale tak naprawdę serce rozpiera radość.

Pieprzyć Jolkę. Wolność!

Wchodzę do swojego referatu. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów jestem uśmiechnięta. Szczerze i serdecznie, prosto z brzucha, prosto z serca. Nie można tego uśmiechu pomylić z żadną atrapą. Dziewczyny najwyraźniej coś już wiedzą, bo spoglądają na mnie niepewnie.

- Za dziesięć minut zapraszam do siebie - mówię roześmiana i znikam w swoim pokoiku.

Te dziesięć minut pozwala mi na poprawienie makijażu i szybkie uprzątnięcie biurka.

Dziewczyny pojawiają się we dwie, mocno załężnione. Nie pytam, kiedy przyjdzie Jola, przecież spóźnia się celowo, to tylko próba sił, nie muszę się już nią przejmować, nic mnie ona nie obchodzi. Nawet nie wspominam o jej nieobecności.

Zaczynam w sposób, jakiego dziewczyny najmniej się spodziewały.

- Dziewczyny, przez ostatnie kilka miesięcy bardzo ciężko pracowałyście. Byłam często zdumiona, jak wiele spraw potrafiłyście skutecznie załatwić, jak wiele dobrych wniosków przygotować i jak bardzo pomóc naszym petentom w ich formalnych trudnościach. Od strony zawodowej spisywałyście się bez zarzutu. Jestem także pod ogromnym wrażeniem waszych osobowości, ten ogrom pracy potrafiłyście bowiem wykonać w godzinach pracy, wykorzystując czas pracy na rzeczywiście efektywną realizację zadań i nie marnotrawiąc go na inne zbędne czynności. Jestem pod naprawdę ogromnym wrażeniem.

Na słowa „Od strony zawodowej” wchodzi Jolka, ma na ustach złośliwy uśmieszek, ignoruję ją, natomiast zdanie o marnotrawieniu czasu jej specjalnie dedykuję, co w pozostałych pracownikach wzbudza lekkie popłoch.

- Jak wiecie - kontynuuję - kończymy naszą wspólną pracę. Przez kilka następnych dni będę jeszcze pełnić swoje obowiązki, od pierwszego czerwca idę na urlop i nie wrócę już do poprzednich zajęć. Na zakończenie swojej przygody z wami mam jednak przyjemność oznajmić, że wasza praca została doceniona nie tylko przeze mnie, ale także i przez naszych wspólnych przełożonych. Z ogromną satysfakcją mogę zakomunikować, że zostały wam przyznane premie w wysokości po dwa i pół tysiąca dla Dagmary i dla Joasi. Koleżanki, gratuluję. Jola oczywiście poradzi sobie w inny sposób. Jak zapewne wiecie, Jola będzie waszą nową przełożoną. Oficjalnie od pierwszego lipca, na początku, przez pierwsze trzy miesiące, jako pełniąca obowiązki. Jolu, wynegocjujesz sobie bez wątplenia podwyżkę, premia więc nie jest ci potrzebna.

Dziewczyny, życzę wam dużo, dużo pomyślności i powodzenia. Z pewnością dacie sobie radę i, czego wam serdecznie życzę, będziecie odnosiły coraz więcej i bardziej spektakularnych sukcesów. Razem spowodowałyśmy, że temat dotacji unijnych w ogóle w naszym urzędzie zaistniał, a referat ochrony środowiska, dzięki waszej pracy, miał największą liczbę zrealizowanych projektów, a co za tym idzie, pozyskał najwięcej pieniędzy. Myślę, że wszystkie możemy być dumne z tych wyników.

Ściskając je serdecznie, odnoszę wrażenie, że dotykam skamieniałych brył. Chyba sprzedałam im za dużo informacji na raz. Hi, hi, muszę zapamiętać ich miny. Szczególnie Jolki, jest wściekła do sześcianu. Po pierwsze, zabrałam jej premię i nie może tego zakwestionować ani zmienić tej decyzji. Dotyczy okresu przeszłego i jest moja, i tylko moja. Poza tym zmiana tej decyzji oznaczałaby, że zostałyby zabrane pieniądze dziewczynom, a teraz, kiedy już usłyszały kwoty, Jolka nie może tego

zrobić. W końcu od tej chwili ona będzie nimi orała, jak jej się zbuntują, będzie musiała wziąć się do roboty sama, a na to nie ma oczywiście ochoty. Po drugie, podałam do publicznej wiadomości jej awans. Ja, nie starosta, bez żadnej pompy, w taki sposób, że właściwie przestał być istotny. Teraz w oczach swoich pracownic Jolka jest kimś, kto przejmuję dział sukcesów. Będzie musiała się wysilić, żeby utrzymać pozycję lidera chociażby w skuteczności realizacji projektów unijnych, o innych sukcesach nie mówiąc. No i na koniec, będzie tylko pełniącą obowiązki, czyli będzie miała dokładnie moją pozycję sprzed kilku miesięcy... Oj, może być wesoło.

Jolka szybko wychodzi, atmosfera od razu robi się przyjaźniejsza. Chwilę jeszcze rozmawiamy, po czym przeganiem dziewczyny do pracy obietnicą spotkania na kawie gdzieś poza biurem.

Czemu mam teraz w duszy wiosnę? Teraz, kiedy naprawdę mam kłopoty? Nie mam pracy, nie mam pracy, nie mam pracy, śpiewam sobie w duszy i jest mi zadziwiająco dobrze.

Wiosna

Kolejne dni są fantastyczne. Wyciągam z dna szafy czerwoną garsonkę, którą kupiłam niedawno w chwili zaćmienia umysłu. A może był to przebłysk przewidywania. Może przez moment widziałam wtedy przyszłość? Nie wiem, ale ten kostium teraz wydaje mi się idealnym strojem do pracy. Widać mnie więc z daleka i raptem okazuje się, że cały czas miałam w urzędzie mnóstwo popleczników, tylko jakoś tacy pochowani byli. Jak to jest, że ludzie nabierają odwagi dopiero wtedy, kiedy nic ich to nie kosztuje?

Chodzę sobie zatem po korytarzach w makowej garsonce, widoczna z daleka, i rozdaję uśmiechy niczym gwiazda filmowa. Kiwam ze zrozumieniem głową na każde: ja zawsze z tobą, bo wiesz, gdybyś kiedyś potrzebowała... i tak dalej. Na pewno będę potrzebowała, i to mnóstwo, i na pewno nie od tych ludzi.

Właściwie nie za bardzo mam już co robić. Nowych spraw nie rozpoczynam, nie podejmuję żadnych nowych decyzji, kilka projektów właśnie się kończy, ale wszystko wokół nich jest już zrobione, a większość ma rozpoczęty swój wielomiesięczny bieg i nic w nim nie jestem w stanie przyspieszyć. Jolka zbierze pochwały, niech jej będzie.

Jak pięknie jest na świecie!

Nawet Cyprian trochę mniej mi udowadnia, że jestem złą mamą czterolatka. Na pewno wystarczy mi dla niego cierpliwości i na pewno się na niego znowu nie zezłoszczę.

Ciągle jest pięknie.

Weekend też jest piękny. Naprawdę jest wiosna i znowu ruszamy we trójkę na rowerową wycieczkę. Tym razem kończy się bez kleszcza, ale i tak znów jedziemy na pizzę. Bardzo przyjemna tradycja zwalnia mnie z niedzielnego szorowania garów.

Żeby nie było tak różowo, wieczorem słyszę w telefonie oburzony głos. Oburzenie jest tak wielkie, że nie mieści się ani w słuchawce, ani w moim ręku, wypływa poza pokój, zalewa całe moje jestestwo i okoliczne mieszkania. Jak to, w niedzielę nie było domowego obiadu????

Jak to dobrze, że zobaczą się z teściową dopiero jutro. Do rana uda mi się jakoś to monstrualne niezadowolenie sprowadzić do wielkości dającej się objąć rozumem. Może nawet uda mi się zmieścić je na kartce papieru? To by było dopiero coś! Oburzenie teściowej, które mieści się w głowie!

* * *

A właściwie dlaczego wieczorne pomysły miałyby być złe? Jak wymyśliłam, tak robię. Wyrzuty Mamusi sprowadzam do białej kartki papieru, którą zostawiam na blacie w kuchni.

Mamo, muszę dziś wyjść wcześniej, proszę tylko, załóż Cyprianowi na spacer te granatowe spodnie. Do zobaczenia po południu, oczywiście zrobię zakupy. Pozdrawiam, M.

Mam nadzieję, że zadziała. Na wierzchu, w przedpokoju zostawiam granatowe spodnie, a w szafie, ale pod ręką, brązowe.

Dziś jest odpowiedni dzień na te brązowe, granatowe mają grubą podpinkę i byłyby za ciepłe, ale przecież nie mogę poprosić teściowej o ubranie Cyprianowi brązowych, bo założyłby dzieciakowi granatowe. Trochę to karkołomny zabieg, ale już od dłuższego czasu ta metoda bezbłędnie działa i Cyprian nosi to, co powinien. Życie jest wprawdzie piękne, ale czasami jednak dość skomplikowane.

Wcale nie muszę dziś wychodzić wcześniej, ale chcę. Po południu mam kolejną rozmowę z panem Robertem, czuję się jak przed ważnym egzaminem. Nie chcę się spieszyć. Nie wyprowadza mnie z równowagi nawet informacja z urzędowych kularów, jak to zostałam wyrzucona z pracy za niesubordynację wobec starosty. Mam to gdzieś.

I chociaż tłucze mi się gdzieś w zakamarkach umysłu, że przecież naprawdę zostałam wyrzucona z pracy i przecież można by uznać, że za niesubordynację wobec starosty, to jednak zupełnie nie przejmuję się tym niezycliwym przeciekiem. Skupiam się wyłącznie na przyszłości. Na dziś nadałam sobie taki kierunek, który pozwala mi nie wypaść przypadkiem z roli i uśmiechać się cały czas.

Rozmowa z panem Robertem przebiega jak po maśle. Jedyne, co mnie niepokoi, to to, że muszę nauczyć się nieprawdopodobnie wielu rzeczy. Ustalamy cykl szkoleń dla mnie, dogadujemy szczegóły pensji i premii oraz rozliczenia samochodu. Proszę o możliwość rozpoczęcia pracy od pierwszego sierpnia i to jest jedyny punkt sporny. Pan Robert nie chce czekać dłużej niż do pierwszego lipca. Przez chwilę mam ochotę negocjować z nim ten termin, bo przecież jeśli nie osiągnęlibyśmy porozumienia, musiałyby szukać kogoś innego i pewnie potrwałoby to dłużej niż miesiąc lub dwa, ale po chwili namysłu rezygnuję.

Miesiąc odpoczynku musi mi wystarczyć. Proszę jeszcze tylko o możliwość wcześniejszego wykorzystania urlopu, jeśli pojawi się taka potrzeba. Nie chcę się tłumaczyć, ale muszę pozałatwiać angielskie sprawy; spadek zaczyna mi już ciążyć tym, że wciąż jeszcze nie uporządkowałam związanych z nim formalności.

Dogadujemy się więc, pan Robert wręcza mi druk umowy, a ja od tej chwili znowu mam pracę i dalej jestem szczęśliwa. Może w opozycji do ostatnich miesięcy, kto wie? Może mój osobisty zimowy mrok musiał potrwać dłużej niż kalendarzowy po to, żebym teraz długo, długo, bardzo długo miała już wiosnę?

Taką przynajmniej mam nadzieję.

* * *

Idę z Cyprianem do psychologa. Dojrzałam do tej decyzji. Nie mogę akceptować tego, że nie potrafię rozmawiać z własnym dzieckiem. Czuję, że zawodzę jako mama, że nie potrafię temu maluchowi pomóc, że powinnam lepiej go rozumieć. Więc idę do psychologa z Cyprianem po to, żeby pomóc samej sobie w wychowywaniu Cypriana.

Logiczne, czyż nie?

A pani psycholog wysłuchuje mnie spokojnie, zadaje pytanie, gdzie jest tata dziecka. Nie komentuje odpowiedzi. Ogląda Cypriana i jego zabawy z ciepłym, życzliwym zainteresowaniem i tak puentuje nasze spotkanie:

- Cyprian jest żywym dzieckiem, bez wątplenia, ale nie wykracza poza właściwe dla jego wieku normy. Zachowania, o których pani opowiedziała, nie są, moim zdaniem, niepokojące. Proszę pamiętać, że Cyprian nie robi pani na złość, tylko

próbuję poradzić sobie ze swoimi emocjami. To pani musi mi w tym pomóc. Musi pani wprowadzić zasady, których zawsze, bezwarunkowo będziecie przestrzegać. To pani jest mamą Cypriana i nie może pozwolić teściowej decydować o wychowaniu dziecka.

Pani psycholog także uświadamia mi coś, co oczywiście wiem, że klaps, czy też jakakolwiek inna forma agresji fizycznej bądź słownej, jest objawem bezradności. Niczym nieuzasadnionym czynem, i zawsze niepotrzebnym. Jest rozwiązaniem najgorszym z możliwych. A przecież istnieje tyle różnych innych możliwości. Na przykład próba porozmawiania z dzieckiem w zrozumiały dla niego sposób o trudnych sprawach. O tym, że jest złe, smutne, że się denerwuje.

Może mu podpowiedzieć, co je tak denerwuje? Może wtedy ono samo, dziecko, Cyprian, coś mi opowie?

Wychodzę od pani psycholog wcale nie mądrzejsza. Wszystko już wcześniej wiedziałam. Albo co najmniej przeczuwałam.

Nie wiem, czy to bardziej śmieszne, czy bardziej tragiczne - sprowokowana codziennym wmawianiem mi wizerunku złej, zbyt łagodnej, zbyt kochającej i za mało wymagającej matki poszłam do psychologa po to, żeby upewnić się, że dobro jest dobre.

* * *

Wiosna. Pierwsze truskawki. Uwielbiam truskawki. Najbardziej ze wszystkich owoców uwielbiam truskawki. Wracam z Cyprianem z przedszkola i oczywiście kupuję truskawki. Jeszcze astronomicznie drogie, ale już pachną jak truskawki. Teraz właściwie przez cały rok można kupić te owoce, są duże

i śliczne, ale pachną i smakują plastikiem. A w maju i czerwcu są prawdziwe. Uciekam ze śmiechem przed Cyprianem, który negocjuje ze mną zjedzenie kilku z nich.

- Nie można, Cyprianu, nie są umyte.

- Ale ja bym tak bardzo chciał, mamusi. - Moje dziecko potrafi być przesłodkie, jeśli tylko chce.

- Będą dla ciebie. Ile tylko zechcesz i ile zmieścisz w brzuszku, ale kiedy je umyjemy.

Cyprian dogania mnie i błyskawicznie sięga do torebki pełnej czerwonej słodyczy.

Śmiejemy się razem i zjadamy po jednej nieumytej truskawce. Są przepyszne. Oprócz smaku słońca i wiatru, i prawdziwego smaku truskawek mają też posmak grzechu, wyjątkowo słodki.

- Cyprianu, ale więcej już nie można.

- Ale dlaczego? - Mój synek zaczyna marudzić.

- Bo mógłby rozboleć cię brzuszek! A potem musielibyśmy jechać do pana doktora.

- I co by robił ten pan doktor?

- Dałby ci bardzo, ale to bardzo niedobre tabletki i kropelki.

- Takie poważne?

- Tak. Takie poważne, bardzo dorosłe i niesmaczne.

- A małe dzieci mogą jeść takie niesmaczne tabletki i kropelki?

- Oczywiście, że nie. To byłyby superniesmaczne tabletki i kropelki dla dużych dzieci.

- A ja nie jestem już małym dzieckiem?

- Nie, nie jesteś. Jesteś już dużym chłopcem.

- No to skoro jestem dużym chłopcem, to przecież mogę jeść nieumyte truskawki, prawda?

* * *

W progu domu Mamusia wita nas marsem.

- Truskawki kupiłaś? Niedojrzałe takie?

- Ach, mamo, pierwsze, a sezon krótki. Trzeba się nimi nacieszyć!

Godzinę później, po obiedzie.

- Pyszne te truskawki, prawda, mamo?

- Kwaśne takie.

* * *

Jadę do Anglii. Nie przejmuję się nic a nic miną mojego męża tylko jadę do Anglii. Muszę zobaczyć na własne oczy te apartamenty i rezydencje, zanim je sprzedam. Decyzję o sprzedaży już podjęłam i Zbyszek mnie od niej nie odwiedzie. Zamierzam kupić za te pieniądze ziemię tutaj, w Polsce i tutaj wybudować dom. Mój dom, bo z mojego spadku. Nie ufam już mężowi, tym bardziej nie ufam teściowej i teściowi. Zbyszek zawiódł mnie raz, może to zrobić kolejny, a potem jeszcze kolejny, a oczywiście teściowie zawsze wezmą jego stronę. I chociaż to on byłby winien rozpadu rodziny, to jednak mieszkanie kupili nam teściowie, nie chcę zostać bez dachu nad głową, a szczególnie nie chcę być poddana szantażowi, w którym na szali leżałoby bezpieczeństwo bytu Cypriana. Bytu mojego i Cypriana, bo przecież doskonale wiedzą, że nie zostawię im dziecka. Gdzie ja, tam i Cyprian, i nie podlega to dla mnie żadnym negocjacjom.

No a poza tym wizja małego białego, a może żółtego domku co i rusz nawiedza mnie w snach i nie daje mi spokoju. Może

ten do znużenia powtarzający się sen przepędzę, kiedy go zrealizuję.

* * *

Londyn, Londyn... To już nie te czasy, kiedy w zestawieniach kas biletowych widniał tylko Łądek Zdrój. Londyn dzisiaj istnieje, bilety są dostępne i wcale nie kosztują majątku, a smak obczyzny nie jest już tak wyraźny. Jestem w innym mieście, po prostu.

Niby to miasto mgieł, ale dla mnie to przede wszystkim miasto metra. Może i odziedziczyłam całkiem spory majątek, ale na codzienne rozbijanie się londyńskimi taksówkami mnie nie stać. Zresztą tu jest tak przyjazna i dobrze zorganizowana kolejka miejska, że zupełnie nie ma potrzeby szukać innych środków lokomocji. No, może w ramach atrakcji przejadę się piętrowym autobusem, ale to będzie turystyczna niska rozrywka, nic więcej. Z równie niskich pobudek odwiedzę także Tower i Madame Tussaud. A może znajdę czas na więcej?

Nie, chyba nie. Chłonę atmosferę tego miasta, jest niesamowita. Na ulicach tłum jest różnokolorowy i różnojęzyczny, polski także, ale dużo tu przybyszy z innych kontynentów. Wielonarodowościowa mieszanka mieni się różnymi barwami, jawi mi się jako Świat przez duże Ś. Niesamowite. Z odwiedzenia Madame Tussaud chyba zrezygnuję na korzyść jakiegoś innego muzeum. Poszukam sztuki wysokiej. Przybytków kultury jest tutaj tyle, że nie jestem w stanie nawet przeczytać o wszystkich w przewodniku. Całe szczęście, że zatrzymałam się w apartamencie ciotki, inaczej nie dałabym rady finansowo. Tanio tu nie jest. Apartament jest niby mój, ale przecież nie czuję się w nim

jak u siebie. Zresztą nie chcę się tak czuć. Po co? Skoro zamierzam go sprzedać, nie będę się do niego przyzwyczajając.

Mój prawnik ciut-ciut mnie oszukał. To nie skromne mieszkanie wymagające remontu, ale ogromny apartament w Chelsea. Do tej pory to słowo kojarzyło mi się wyłącznie z imieniem córki byłego prezydenta USA, nie miałam pojęcia, co to znaczy w Londynie. Dopiero kiedy zobaczyłam ten arystokratyczny przybytek, z jego staroświeckim, spatynowanym luksusem, kiedy zobaczyłam ekskluzywne sąsiedztwo i poczytałam, że to dzielnica, w której mieszkali między innymi Margaret Thatcher, Mick Jagger czy Freddie Mercury, a także moja ukochana Aghata Christie, wtedy zrozumiałam, dlaczego ów prawnik tak tajemniczo się uśmiechał. Ceny nieruchomości w Chelsea są najwyższe w Londynie i chociaż mieszkanie cioci nie należy do najpiękniejszych i najdroższych, to jednak warte jest pokaźną kwotę. Dla mnie niewyobrażalną fortunę.

Po długim namyśle postanawiam nie jechać do podmiejskiej rezydencji. Mój mecenas zaopatrzył mnie w zamiar na dobrą tutejszą kancelarię od spraw majątkowych, w której serwis jest także po polsku. Okazuje się, że tak liczna emigracja polska to nie tylko przysłowiowa biedota, ale także i ludzie ze swoim dorobkiem, i umysłowym, i materialnym, który wymaga prawnej opieki. A że życie próżni nie znosi, to angielskie kancelarie dostosowały się do popytu i tak skontaktowałam się z przemiłym rodakiem z Podkarpacia, który poprowadzi dla mnie sprawę owej rezydencji. Jej zadłużenie wynosi właściwie tyle, ile jej wartość. Zostanie mi po sprzedaży tysiąc, może dwa tysiące funtów. Nie chcę jej nawet oglądać, chociaż może to i głupota. Pokonałam szmat drogi, żeby te sprawy uporządkować, więc chyba powinnam tam pojechać. Ale nie chcę. Boję się, że zakocham

się w tamtym miejscu, tak samo jak czuję, że zakochuję się w tym mieście i w tym wymagającym remoncie mieszkaniu. Nie chcę się tu poczuć za dobrze, bo jeszcze przyjdzie mi do głowy zmienić swoje życie bardziej, niż nawet jestem w stanie w tej chwili sobie to wyobrazić.

* * *

Ostatecznie oczywiście jadę do rezydencji. Może i nie chcę, ale ciekawość mnie zżera. Brighton to taki angielski Sopot, tylko moło jest większe. Na samym jego końcu kręci się wielka karuzela - ulubiony napęd wymiotny wszystkich dzieci. Żadna to wyprawa, przez osiemdziesiąt angielskich mil pociąg cicho sunie po torach; ledwo wsiadłam, już jestem na miejscu i rozglądam się za taksówką.

Posiadłość jest wspaniała. Niedaleko Brighton, ale na uboczu, z przepięknym widokiem na morze; zachwycała mnie. Wcale nie mam ochoty jej sprzedawać. Ale muszę, nie utrzymam takiej rezydencji, choćbym nie wiem jak wielkie premie dostawała w nowej pracy.

Po całodziennym wyprawie wracam do Londynu smutna, żal mi urokliwego domu w pięknej okolicy. Postanawiam wieczorem pojechać do centrum, na Piccadilly Circus, zobaczyć słynne reklamy i poczuć ducha miasta, które nigdy nie zasypia. Może nie będę zapuszczać się w odludne rejony chińskiej dzielnicy, ale przynajmniej posmakuję wielkiego świata. To niby tylko cztery stacje metra, począwszy od South Kensington, mogę przejść je piechotą, ale boję się, że zabłądzę. Zresztą co mi tam. Zapłaciłam za tygodniowy bilet, będę korzystać, a co.

A jutro pójdę do Harrodsa. Ten angielski luksus, którym oddycham w mieszkaniu po cioci, trochę mi chyba uderzył do głowy. Co ja kupię w tym Harrodsie? Czekoladkę?

* * *

Jestem pijana. Nic nie piłam, a jestem pijana. Tłum pod figurką Anterosa i gwar wielu języków oszołomiły mnie. Ludzie rozmawiali, śmiali się, gestykulowali, machali rękami, jeśli się nie rozumieli. Wszyscy byli równi, chociaż stukały tam szpilki i cicho poruszały się otulone w turbany ciemnoskóre piękności. Cekiny i błyszczące koraliki, eleganckie czernie, długie letnie płaszcze i zwiewne bluzki. Było nawet cudne sari, złotopomarańczowe jak słońce, i właścicielka tegoż sari też była uśmiechnięta, tak jakby nosiła słońce w sobie.

Co ja tam robiłam? Ja, szara? Ja, Polka? Język polski też tam było słyhać, a jednak nie zbliżyłam się do rodaków. Byłam sama, chciałam być sama, a ten przyjazny tłum mi to umożliwił. Widziałam tulących się młodych ludzi, bezwstydnie całujących się całym swoim jestestwem, widziałam ślepca, który grał na ustnej harmonijce, byłam nimi wszystkimi i byłam nikim. Jak łatwo było w tamtym tłumie zrozumieć, że nie chcę dłużej żyć tak jak do tej pory. Niestety, ten tłum nie dał mi żadnej odpowiedzi, pomógł sformułować tylko wiele pytań, a co jedno, to trudniejsze.

I chociaż jestem tymi pytaniami teraz obarczona, i chociaż jestem głupsza o ich świadomość, to jednak jestem pijana szczęściem. Cokolwiek się nie zdarzy, już wiem, bo widziałam na własne oczy, że można inaczej.

Kładę się spać na ciocinej poduszce i mam angielskie sny. Nierealne marzenia senne, w których zostaję w Anglii i w których jestem tutaj szczęśliwa.

* * *

Postanowiłam nie sprzedawać mieszkania po cioci. Rodak z Podkarpacia wynalazł mi takich najemców, którzy zgodzili się pomieszkać kilka miesięcy bez remontu. Wywnioskowałam, że kilka miesięcy może spokojnie zmienić się w rok, a jeszcze lepiej dwa lata, ze wskazaniem nawet na trzy. Oczywiście chodzi o pieniądze. Wyremontowane mieszkanie będzie znacznie droższe, a ci młodzi ludzie mają głowy pełne szalonych i fantastycznych pomysłów, ale pustą sakiewkę. Polubiłam ich, miło mieć kontakt z takimi osobami. Kiedy podliczyłam całą transakcję, okazało się, że po kilku miesiącach wynajmu może będzie mnie stać na remont, wtedy będę mogła podnieść czynsz. W sumie układ bardzo mi odpowiada. Jeśli zacznę w Polsce budowę, to będę ogromnie potrzebowała tych pieniędzy, nie w głowie mi wtedy będą jakieś remonty. A jeśli nie, to wyremontuję ciociny przybytek i będę zbierać większymi garstkami na mały biały.

* * *

W Harrodsie czuję się głupio. Kupuję pudełeczko kolorowych figurek z marcepanu, chociaż nie cierpię marcepanu, a potem zwiedzam kolejne piętra niczym muzeum. Sprzedawcy zapewne są do tego przyzwyczajeni, bo nie reagują na moje oglądactwo. Chyba nie wyglądam na potencjalną klientkę.

Wyjeżdżam z Anglii bogatsza o wrażenia i uboższa o kilkaset funtów. Ostatecznie postanowiłam odreagować polską zimę i ruszam w zakupowe tango. Nowymi ciuchami zaklinam powodzenie w nowej pracy.

* * *

Siedzę w samolocie tanich linii lotniczych i kręci mi się w głowie. Nie mogę uwierzyć. Nie jestem biedniejsza o kilkaset funtów. Znienacka stałam się bogatsza o niewyobrażalną dla mnie kwotę blisko osiemdziesięciu tysięcy funtów. Tuż przed odlotem zadzwonił do mnie rodak z Podkarpacia i poinformował mnie, że suma zadłużenia posiadłości w Brighton była obarczona błędem. Mocno zakłopotany tłumaczył mi, na czym ów błąd polegał, ale nie słuchałam. Tym razem wysiądę z samolotu na pewno do cna pijana, najwyżej nie trafię do taksówki.

Zbyszek oczywiście nie czeka na mnie na lotnisku i mam to gdzieś. Wybuduję sobie mały biały domek, który będzie żółty, wiem to już na pewno.

* * *

Kiedy wchodzę do domu, Cyprian już śpi. Czego bardzo żałuję, bo niestety teściowa nie śpi i może się wypowiedzieć pełną piersią, nieopróżnioną z żalu nad życiem swojego jedyne-go wnuka przez cały tydzień mojej nieobecności.

- Cyprianowi trzeba wreszcie wprowadzić trochę dyscypliny. Co to jest, żeby dziecko nie słuchało się od pierwszego razu?!

- Zepsuły ci się jabłka w koszyku. Po co tak dużo kupujesz warzyw? I tak nie jesteś w stanie tego przerobić!

Kręci z dezaprobatą głową i przecież wiem, co tak naprawdę chciała powiedzieć. Moja ukochana Mamusia właśnie po raz kolejny jasno dała mi do zrozumienia, że nie umiem gotować, że marna ze mnie gospodyni i że nie nadaję się na matkę. A już jako żona jestem po prostu beznadziejna.

A może tylko jestem zmęczona.

Tak, jestem zmęczona i nie doceniam wysiłków teściowej.

- A poza tym nie powinnaś wyjeżdżać na tak długo. Dzieci, które są zostawiane przez rodziców, nie mogą rozwijać się harmonijnie.

Nie rozpakowuję walizki, idę spać.

* * *

Jak to jest, że w mglistym Londynie słońce potrafi przebić się przez angielski smog, a w słonecznej Polsce panuje ciągle zachmurzenie?

E tam, zaraz zachmurzenie. Mam jeszcze półtora tygodnia do rozpoczęcia pracy u pana Roberta. Ten czas zamierzam poświęcić Cyprianowi, Cyprianowi i jeszcze raz Cyprianowi. Cieszę się z tego, bo moje dziecko przez cały czas wysyła niepokojące sygnały. Zwraca na siebie uwagę wszystkimi siłami. Pani w przedszkolu tuż przed moim wyjazdem powiedziała mi, że ostatnio dwa razy zdarzyło się, że Cyprian zsikał się w majtki, a raz wypełnił je czymś bardziej stałym. Jest podobno smutny, nie chce się bawić z innymi dziećmi, a jeśli już dołącza do grupy, to jest agresywny. Matko Boska, jak nie ma być agresywny, skoro w jego domu panuje nieustanny terror? Ja mam być pod

linijkę, mój dom ma być pod linijkę, dziecko ma być pod linijkę, nawet lodówka ma być pod linijkę. Linijka na szczęście się trochę krzywi, kiedy to ja pilnuję jej miarowej równowagi.

* * *

Zdarzenie z dzisiaj.

- Cyprianu, załóż kapciuszki - mówię.
- Cyprianu, załóż kapciuszki - powtarzam.
- Cyprianu, załóż kapciuszki - proszę po raz ostatni.
- Cyprian, jeśli nie założysz kapci, będziesz musiał wyjść z kuchni. Tu jest niebezpiecznie, jest gorący czajnik, różne rzeczy się gotują, a ty bez kapci możesz się przewrócić i zrobić sobie krzywdę.

- Cyprianu - teściowa na to - chodź, pomieszasz twarożek.
- Mamo, Cyprian musi najpierw założyć kapcie.
- Och, jak stanie tutaj na stołeczku, to nic mu nie będzie.

Chodź, chodź, Cyprianu.

Na scenie zostają Cyprian i teściowa, ja wychodzę z siebie i staję obok.

* * *

A teraz idę z Cyprianem do przedszkola i zamierzam spędzić tam cały dzień. Tak się umówiłam z wychowawczynią. Cyprian ma poczuć moją obecność i być przekonany, że jestem dla niego zawsze. Będę się z nim bawić, ile tylko będzie chciał, i z innymi dziećmi też, jeśli tylko mały będzie miał na to ochotę. A potem oddamy się całkowicie i totalnie niewychowawczemu, nie obarczonemu żadnymi warunkami, rozpuszczającemu

moje dziecko do imentu, ba! demoralizującemu je, bezwstyd-
nemu szaleństwu. Zabiorę Cypriana kompletnie bez powodu
i bez żadnych wychowawczych sztuczek na wielkie, ogromne,
największe, jakie tylko znajdę, LODY. Będą miały wszystkie
znane nam smaki i będą prawdziwe, najprawdziwsze, bo w pu-
charku, a nie w żadnym wafelku, co to się go trzyma w ręku
i zjada na ulicy. Będą miały posmak luksusu, zapach świeżo
mielonej kawiarnianej kawy i będą prawdziwie dorosłe. Nie
chcę uczyć Cypriana bylejakości, nawet lody mają być dobre,
a nie takie byle po prostu, lizane na ulicy. Do tych lodów trzeba
usiąść w kawiarni, zamówić je, poczekać, a cała ta oprawa doda
im szczypty magii. Dzięki temu lody w pucharku mają zupełnie
inny smak, i dlatego właśnie są niepowtarzalne, zarezerwowane
na wyjątkowe okazje. No bo są prawdziwe.

Mamusi się nie przyznam, bo za takie wykroczenie jak lody
bez szczególnego powodu (mogą być tylko nagrodą!) musiałabym
chyba zostać jakoś przykładnie ukarana. A może w ramach
kary nie odzywałaby się do mnie przez kilka dni?

To może jednak jej powiem.

* * *

Idziemy z Cyprianem na lody, wygłupiamy się na ulicy, mój
synek jest zachwycony, a ja jestem szczęśliwa. Śmiejemy się,
Cyprian znajduje w parku koło przedszkola jakiś patyk i robi
z niego miotłę. Zamiatą ulicę i okoliczne płoty, opowiada mi
o mijanych drzewach. Dużo już ich zna, pani w przedszko-
lu wyraźnie lubi rośliny i dużo dzieciom o nich mówi. Lubię
jego panią i lubię tę chwilę, i nawet lubię przez tę chwilę swoje
życie.

Lody są ogromne, tak ogromne, jak na szaleństwo przystało. Nie dajemy rady zjeść całych, uśmiechamy się do ledwo napoczętych pucharków i do pani w lodziarni, i ona też się do nas uśmiecha.

W domu zamierzałam zrobić szybki obiad, dzisiaj naleśniki z serem, Cyprian je uwielbia, a potem razem włożylibyśmy w marynatę kupione mięso. Wieczorem trafiłoby do piekarnika. Taki schab to чудо i na obiad, i na kanapki. Przynajmniej jest to taki rodzaj wędliny, która nie zawiera ani glutaminianu sodu, ani benzoesanu, ani innego E.

I zamierzam razem z Cyprianem upiec ciasto - cytrynową babkę.

* * *

Dzisiaj na obiad nie będzie naleśników. Wchodzimy do domu i nie jesteśmy w nim sami. Teściowa grasuje w kuchni, podaje nam obiad na stół, bardzo zresztą pyszny, to trzeba przyznać. Cielęcinka w śmietanowym sosie, zapiekane ziemniaczki. Ale po tych lodach nie będziemy w stanie jeść jeszcze przynajmniej przez półtorej godziny.

Mamusia odmowy nie znosi.

Już boli mnie brzuch.

* * *

Zbyszek wraca z delegacji dopiero jutro, jak kja to wytrzymam?

- A właśnie, zapomniałam Ci powiedzieć, ustaliłam ze Zbyszkciem, że ponieważ jesteś tak bardzo zajęta w tym tygodniu, no wiesz, przygotowania do nowej pracy i w ogóle, to przez ten tydzień pobędę u ciebie, pomogę ci.

Zamieram z radości i dziękuję z uśmiechem.

Idę do łazienki i zaczynam się śmiać. Odkręcam wodę i zaczynam się głośno śmiać. Śmieję się już tak serdecznie, że ze śmiechu zaczynam płakać. W końcu rozbieram się i wchodzę do wanny, pełnej już teraz ciepłej wody. Dolewam płynu do kąpieli, robię sobie luksusową pianę. Moja rodzina uznała, że nie może mnie zostawić na kilka dni z moim własnym dzieckiem, że sobie nie poradzę. A mój mąż nawet nie omówił tego ze mną.

Czuję się jak wariatka.

* * *

Przez cały tydzień spędzam z Cyprianem maksymalnie dużo czasu. Zbyszek wrócił, ale jakby go nie było. Wraca do domu wieczorem jak do noclegowni. W myślach odszczekuję to wszystko, co również w myślach wcześniej wykrzyczałam i w łazience wyśmiałam po powrocie z Anglii. Teściowa jest do rany przyłóż. Gotuje, nie marudzi za bardzo, narzeka tylko trochę. Jest pomocna i nieuciążliwa.

Ktoś mi podmienił teściową?

* * *

Jutro wielki dzień. Stoję przed lustrem w swojej małej, zaparowanej łazieneczce i nie wiem, jak mam się jutro zachowywać. Jak skromna urzędniczka wymagająca gruntownego przeszkolenia czy jak doświadczony pracownik? Jestem tą pierwszą, a powinnam zachowywać się jak ta druga - do takiego twórczego wniosku dochodzę i postanawiam nałożyć na twarz nową maseczkę. Przywiozłam ją sobie z Anglii. I już drugi raz w tym tygodniu robię sobie gorącą, pachnącą kąpiel.

Luksusów mi się zachciało i mnie pokarało. Nowa maseczka okazała się przecudnie pachnącą trucizną. Skóra na mojej twarzy ciągnie, piecze, drażni mnie nawet powiew powietrza, o dotyku nie wspominając. Wyglądam jak skrzyżowanie muchomora z biedronką. Z bólem nakładam na twarz jakiś podkład, trochę tuszuje to uczulenie, ale podkład się warzy. Próbuję z pudrem, jest jeszcze gorzej. W panice nakładam na skórę grubą warstwę panthenolu, nic innego nie przychodzi mi do głowy. Czuję się jak po oparzeniu słonecznym, na to podobno najlepsze jest zsiadłe mleko, ale akurat nie mam. Jem śniadanie, wyglądając jak kosmita, ubabrana grubą warstwą maści, Cyprian, widząc mnie, śmieje się do rozpuku, Zbyszka nie ma, teściowej jeszcze też nie. Śmieję się razem z Cyprianem, cóż innego mi pozostaje, i wymuszam na nim obietnicę, że nic babci nie powie. A potem leżę do łazienki kombinować, jak by tu ukryć swój prawdziwy wygląd. Udaje mi się tylko częściowo, ale trudno, czas już wychodzić. Odprowadzam Cypriana do przedszkola, cały czas zaśmiewamy się z angielskiego cudu przemysłu kosmetycznego i idę na stracenie.

Całe szczęście, że przedszkole Cypriana jest czynne w wakacje. Nie muszę zostawiać go na całe dni pod opieką teściów, którzy z całą pewnością chcieliby zabrać małego na działkę.

* * *

W firmie wita mnie pan Robert, od dzisiaj dla mnie Robert.
Uwielbiam pierwszy dzień w pracy.
Nienawidzę pierwszego dnia w pracy.

Pierwszego dnia w pracy nic nie musisz. Niczego jeszcze nie zdążyłaś zepsuć, żadnej sprawy zawalić, więc na razie nikt nie ma do ciebie żadnych pretensji. Wszyscy się uśmiechają, bo jeszcze nie wiedzą, kto ty jesteś, przyjaciel czy wróg? Nie wiedzą też, co umiesz, kogo znasz i jak się będziesz zachowywać, więc są mili na wyrost. Uśmiechają się sztucznie.

Pierwszego dnia w pracy nikt jeszcze nie wie, ile potrafisz, i na ogół twoi przyszli współpracownicy zakładają, że umiesz więcej niż jakikolwiek człowiek. Tego dnia jesteś alfą i omegą, skrzyżowaniem Kaszpirowskiego i dalajlamy, znakomicie muchy łapiesz i najpiękniejsze masz ubranie.

Spodziewałam się, że jakaś kadrowa mnie wyhaczy, że będę musiała spowiadać się ze swoich szkolnych lat, kursów, stanowisk, dat i innych takich. Tymczasem nic takiego. Robert dał mi do wypełnienia formularz, w którym muszę wpisać tylko podstawowe dane, do tego dołączyć dyplom i tyle. Oddaję podpisaną umowę o pracę. Czytałam ją w domu, jest prosta, bez żadnych skomplikowanych punktów. Kto, od kiedy, co, w jakim zakresie i za ile. Tak prosto, że to aż niemożliwe.

Najważniejsze w tej chwili jest to, że ustaliśmy z Robertem harmonogram szkoleń dla mnie. Na pierwszy ogień idą indywidualne konsultacje w zakresie oprogramowania stosowanego w firmie. Nie mogę znać tego programu, jest autorskim dziełem zaprzyjaźnionego informatyka. Proszę także o konsultacje w zakresie Worda, Excela, Power Pointa i Windowsów. Coś tam wiem, ale „coś tam” może tutaj nie wystarczyć. Zaczynam od jutra. A poza tym - negocjacje handlowe, radzenie sobie z konfliktem w zespole - to w przeciągu najbliższych dwóch miesięcy. I na razie tyle. Samochód mam dostać do końca tygodnia, odbieram nową komórkę, numer zostaje ten sam co

mój prywatny. Po prostu Robert zgodził się na dokonanie cesji. Idziemy jeszcze na obiad i tyle wrażeń na dziś. Mam jeszcze chwilę na ochłonięcie, zanim pójdę po Cypriana.

W zasadzie to życie nie jest takie złe. Słońce wprawdzie świeci trochę za mocno, samochody śmierdzą spalinami, a chodnik jest nierówny, ale za to Cyprian przez ostatnie dwa dni nie dostał żadnej uwagi od pani w przedszkolu, właśnie zaczęłam nową pracę, z którą wiązę nowe nadzieje, no i - oto odkrycie, którego dokonałam wczoraj - idę do pracy, bo chcę! Nie muszę! Finansowe wsparcie od nieznaney cioci pozwoliłoby mi żyć sobie, ot tak po prostu, bez szaleństw wprawdzie, ale też i prawdopodobnie bez większych trosk. Do garnka w każdym razie miałabym co włożyć. Nie muszę więc pracować, czyli chcę to robić, a takie przeświadczenie od razu daje mi wiarę, że to będzie naprawdę fajna praca.

Wchodzę na teren przedszkola, Cyprian biegnie do mnie z wyciągniętymi rączkami. Płacze. Przytulam go najmocniej jak umiem i zbieram się przed rozmową z wychowawczynią. Nie, myliłam się, ta praca z pewnością nie będzie taka fajna, a poza tym na pewno coś by się niedobrego stało i muszę do niej pójść, bo nie będę miała jak wyżywić dziecka.

Ciekawe, dlaczego zupełnie nie biorę pod uwagę w swoich planach Zbyszka. Przecież wrócił i jest?

Z ciężkim sercem wchodzę do przedszkola. Ku mojemu zdziwieniu dyrektorka nie ma swojej zwyczajowej surowej zmarszczki pomiędzy brwiami. Ze zdumieniem słucham, jak mnie przeprosza. Jeden z chłopców, który koniecznie chciał bawić się w chowanego z grupą innych chłopców, został przez nich odtrącony. Ze złości chwycił drewniany samochód i zaczął nim okładać Cypriana. Ten dłuższą chwilę stał jak

oniemiały, a potem tamtemu oddał. No i zaczęła się bójka na całe przedszkole, dobre dwadzieścia minut trwało, zanim wychowawczynie opanowały sytuację. Najbardziej poszkodowany jest Cyprian, ma parę siniaków i dwa spore rozcięcia na skórze. Nic poważnego, na szczęście, a ja uśmiecham się szeroko. Choć raz to nie moje dziecko jest winne! Dyrektorka patrzy na mnie z miną spaniela. Czeka jak na wyrok, będę robić problemy czy nie? Nie była ostatnio dla mnie miła, mam okazję, żeby się odegrać.

Ale mówię:

- Tak bywa, trudno, raz Cyprian, raz Cypriana, to też nauka. Rozmówczyni rozpromienia się.

- No tak, właśnie, właśnie, Cyprianowi też się to zdarzało. Nie o to mi chodziło, więc prostuję:

- Tak jak i innym dzieciom. Nie róbmy z tego problemu, tak jak i nie będziemy robić w sytuacji odwrotnej, prawda?

- Prawda. - Dyrektorka się nie uśmiecha.

Jednak miałam rację. To na pewno będzie fantastyczna praca. Dla przyjemności.

Mocno ściskam Cypriana za rękę, kiedy wychodzimy za bramę przedszkola. Buźkę ma już rozradowaną, bo obiecałam mu na pocieszenie lody. ZNOWU. Rozpieszczam swoje dziecko, bez wątpienia.

* * *

Dzisiaj rano zadzwonił przemiły rodak z Podkarpacia. Sfinalizował wynajem mieszkania po cioci. Zakładam oddzielne konto na te pieniądze, nic o nim nie mówię Zbyszkowi. Dlaczego?

Minął już miesiąc, odkąd tu pracuję. Sprzedaję kosmetyki, których sama nie używam. Między innymi markę, którą przywiozłam sobie z Anglii. Trudno mi przekonywać kogokolwiek o świetnej jakości maseczki, która zrobiła ze mnie biedronkę. A właściwie coraz łatwiej. Poprosiłam o szkolenie z technik prezentacji i sugestii, wprawdzie jeszcze się nie odbyło, ale praktyka czyni mistrza. Kiedy pierwszy raz pokazywałam nasze produkty, trochę się jąkałam. Jak miałam przekonywać, że są dobre? Łatwiej było mi mówić, że mają dobre ceny, ale na następnym spotkaniu mówiłam już o „dobrym stosunku jakości do ceny”, a teraz oddzielam swoje przekonania od wypowiedzianych słów. Produkt jest dobry i już. Może nawet któregoś dnia zacznę w to wierzyć?

Ciągle jeszcze mam kredyt zaufania u współpracowników. Ciągle jeszcze nie udało mi się niczego spartaczyć. Na razie za to mam na koncie same sukcesy. Po pierwszych dwóch spotkaniach sprzedaliśmy sporą partię towaru do dwóch marketów. Zapropnowałam klientom promocje, obydwie wypaliły i towar sprzedał się w zasadzie w całości. Przygotowujemy w tej chwili kolejne akcje, jeśli i one zakończą się powodzeniem, jest szansa, żeby część asortymentu wprowadzić na stałe do oferty tych sklepów. Łatwo nie jest, ale coś się dzieje. Zresztą trudno mówić o sukcesie. Przy wcześniejszym wyniku - zero - nawet jedna sztuka to nieskończenie wiele.

* * *

Świat zwolnił. Od trzech miesięcy pracuję w firmie Roberta, buduję ją właściwie od podstaw; sprawia mi to satysfakcję.

Cyprian nie zaliczył ostatnio w przedszkolu ani jednej uwagi, nie uczestniczył też w żadnej bójce. Zbyszek mieszka z nami, tworzymy podobno rodzinę. Teściowa pyszczy w granicach normy, nie dzieje się nic szczególnego. Do tego udało się znaleźć kupca na posiadłość w Brighton. Wprawdzie większą część kwoty uzyskanej ze sprzedaży przeznaczam jednak na odnowienie mieszkania w Chelsea, więc nie zobaczę tych pieniędzy na oczy, ale za to dzięki temu remontowi prawie dwukrotnie zwiększy się rata za wynajem, która będzie spływać na moje konto. A do tego, za w sumie niewielką opłatę, wszystko załatwia za mnie londyńska kancelaria, więc nie mam nawet z tym specjalnie kłopotu. Wybrałam przez internet płytki i inne materiały, mailem i telefonicznie określiłam zakres prac, umowy z wykonawcami podpisała kancelaria na podstawie mojego pełnomocnictwa i zatwierdzonych przeze mnie kosztorysów. Wiem, że ta kancelaria potężnie na mnie zarobiła przy sprzedaży Brighton, teraz więc chwilowo nie próbują mnie ogołocić. Dom w Hiszpanii wynajęłam już dwa miesiące temu, staję się zasobną kobietą.

I, cholera, naprawdę lubię tę pracę!

*A w filmie polskim, proszę pana, to jest tak: nuda... Nic się nie dzieje, proszę pana. Nic. Tak, proszę pana... Dialogi niedobre... Bardzo niedobre dialogi są. W ogóle brak akcji jest. Nic się nie dzieje. **

*Słowa wypowiedziane przez Mamonia granego przez Zdzisława Maklakiewicza w filmie *Rejs* w reżyserii Marka Piwowskiego (przyp. red.).

No żeby mnie pokarało, w złą godzinę pomyślałam. Nie może być w życiu nudno. No po prostu nie może. Odbierając pierwszą premię od Roberta, zrobiłam przysłowiową rybkę. Takich pieniędzy to ja w urzędzie nie widziałam przez rok! Fakt, że to premia za cztery miesiące, ale przecież co miesiąc dostaję pensję, też w sumie niezłą. Za co ja do tej pory prowadziłam dom? Nareszcie mogę kupić sobie drugą koktajlową sukienkę! I nowe szpilki! Wow!

Nie, nie kupię sobie nowej sukienki. Musi mi wystarczyć to, co mam w szafie. Sukienka może poczekać, marzenia nie mogą czekać. Bo ja ciągle śnię o małym domku i o słonecznym tarasie. Jadę szukać ziemi.

I chociaż czasami staje mi przed oczami Stefa Prosowa, starsza od samej siebie o dwadzieścia lat, to jednak wymazuję jej wizerunek wizją dobrego kremu pod oczy i marzę dalej. Mały. Biały. Mój.

Jestem szczęściarą. Jak do tej pory wszystkie promocje, jakie zrobiłam w kolejnych sieciach, kończą się powodzeniem. Zaczęliśmy odbierać telefony od niezależnych detalistów, którzy też chcą handlować naszym produktem. Ale mam farta!

Tak przynajmniej, rozmyślając o świątecznych prezentach, sądziłam aż do dziś.

* * *

Szanowna Pani Małgorzato,

nasza strona z całą pewnością nie odpowiada za zaistniałe nieporozumienie (choć jest to właściwie zbyt łagodne określenie,

bo Państwa nieprofesjonalizm powinniśmy nazwać po prostu kpiną). W dniu 6.09 br. uzgodniliśmy wspólnie zasady współpracy z Państwem na bieżący kwartał. Obie strony przedstawiły swoje warunki i zgodziły się na nie bez żadnych zastrzeżeń, zatem nie widzę powodu, dla którego można by było uznać umowę (nawet jeśli została zawarta ustnie) za nieważną. My ze swojej strony przez ostatnie dwa miesiące (tj. październik i listopad) dołożyliśmy wszelkich starań, aby jak najlepiej wypełnić warunki wiążącej nas umowy i ponieśliśmy koszty związane ze wzmocnionymi zakupami oraz dystrybucją. Uzналиśmy Państwa za poważnego kontrahenta, a tymczasem próba zmiany warunków współpracy na tym etapie jest nie tylko nieprofesjonalna, ale i nieuczciwa.

Jedyne, co w tej sytuacji pozostaje nam zrobić, to (chcąc nie chcąc) zgodzić się na Państwa propozycję zorganizowania pod koniec grudnia bądź na początku stycznia spotkania, którego celem będzie ponowne uzgodnienie warunków sprzedaży produktów marki **GALA**. Jeżeli nadal zamierzacie Państwo zachowywać się w tak karygodny i nieodpowiedzialny sposób i zwlekać z wypłatą zaległych należności, będziemy zmuszeni podjąć odpowiednie kroki ze swojej strony. Już w tym momencie musimy zastosować pierwszy środek ostrożności, tj. wstrzymać zakupy u Państwa do czasu wyjaśnienia sytuacji. Ten stan rzeczy zamierzamy utrzymać do grudnia bądź stycznia, czyli do czasu zorganizowania przez Państwa ustalonego spotkania. Jednakże według nas taka rozmowa jest bezcelowa, gdyż wszystkie warunki współpracy zostały jasno uzgodnione 6.09 br.

Zatem jeżeli nie złączą Państwo dotrzymywać ustalonych wtedy warunków, to na styczniowym spotkaniu w ogóle nie będzie już sensu rozmawiać o tzw. sprawie **GALI**, gdyż uznamy

ją za nieważną, a jedynym istotnym dla nas tematem będzie kwestia, o ile zredukujemy nasze zakupy u Państwa (rzecz jasna, przy utrzymaniu obecnego poziomu bonusów). Myślę, że nie muszę nawet dodawać, iż wszystkie konsekwencje zaistniałej z Państwa winy sytuacji będzie musiała ponieść Wasza strona. Dlatego odradzałbym zbyt długie utrzymywanie obecnego stanu rzeczy.

Z poważaniem,

Paweł Drwal

Prezes Sieci Marketów „WSPÓLNIE”

Tego samego dnia, po południu:

Szanowna Pani Małgosiu,

muszę przyznać, że jestem zaskoczony nadeśłaniem przez Panią oferty (niemniej dziękuję za nią), gdyż wydaje mi się jasne, że w interesie naszej firmy nie jest promowanie produktów marki **GALA** w naszej Gazecie Handlowej, dopóki nie zaczniecie Państwo respektować naszych wcześniejszych ustaleń (mam na myśli, rzecz jasna, umowę z dnia 6.09 br.). Oczekujemy, że podejmiecie Państwo odpowiednie działania, czyli że w umowie pojawią się uzgodnione przez nas na wrześniowym spotkaniu warunki współpracy.

Myślę, że nie będzie specjalnym zaskoczeniem fakt, iż od dnia dzisiejszego aż do odwołania zaistniałej sytuacji nasza firma wstrzymuje wszelkie zakupy produktów marki **GALA** oraz innych dystrybuowanych przez firmę **FORTNAM**.

Pozdrawiam,

Czesław Razmus

Kupiec Artykułów Przemysłowych „WSPÓLNIE”

Umarłam i poszłam do piekła. To na pewno to. To nie może dziać się naprawdę. Mamy koniec listopada, najgorętszy okres handlowy, mam magazyny zapakowane towarem pod zaplanowane promocje. Dzwonię do Roberta, to zbyt poważna sprawa.

- Nie chcę o tym rozmawiać, Małgośka, poradzisz sobie.

- Nie, Robert, musimy się spotkać i dokładnie omówić tę kwestię.

Robert przyjeżdża około piętnastej.

- Robert, nie było cię na tym spotkaniu, musisz mi uwierzyć na słowo. Temat raportów za sprzedaż Gali był na spotkaniu we „WSPÓLNIE” na początku września wałkowany w prawo i w lewo. Każdy z marketów określił swój współczynnik procentowy, dla jednych to było 30%, dla innych 15%, dla jeszcze innych 50%. Problem w tym, że Gala ma najwyższy współczynnik bonusowy, za żadną inną markę nie płacimy klientowi aż tyle, bo też na żadnych innych produktach nie mamy takiej marży. To oczywiście powoduje, że każdy z marketów ma ochotę „lekką” zaokrąglić swoją sprzedaż Gali, bo przecież z tego ma największe pieniądze. Na spotkaniu stanęło na tym, że uznamy pewien procent jako obowiązujący i na tej podstawie będziemy się rozliczać. Twierdzą, że to zostało na spotkaniu powiedziane i zaakceptowane przez wszystkich kupców. Drwal twierdzi, że nie. Mail Drwala to wprawdzie jakiś słowotok, treść jest żenującym kłamstwem, ale może być dla nas fatalny w skutkach.

- W ubiegłym tygodniu podpisaliśmy umowę za poprzedni kwartał - kontynuuję - tam kwestia Gali nie była tak paląca,

ten temat wypłynął tak naprawdę dopiero teraz. Galę zaczęliśmy im sprzedawać we wrześniu, dopiero po tym, jak dostali za tę markę dodatkowe pieniądze. Wcześniej w ogóle nie chcieli jej kupować, dlatego właśnie zaproponowaliśmy im dodatkowy bonus. Kończy się najlepszy kwartał w roku, wiedzą doskonale, że jeszcze nie mamy rozbudowanej sieci sprzedaży i że na razie są u nas na uprzywilejowanej pozycji lidera w zakupach. Mamy towar w magazynie ściągnięty specjalnie pod ich promocje, o tym też wiedzą. Nie sprzedam go szybko nikomu innemu, a jak zostanę z taką masą towarową na styczeń, to tę ilość będę sprzedawać przez cztery miesiące. Składowanie kosztuje za dużo, płynność finansowa też nam się zachwieje, grają z nami mocno, stawiają mnie pod ścianą i przystawiają rewolwer do skroni. Z drugiej strony nie stać mnie na to, żeby im ulec, wtedy nie zarobilibyśmy na tej sprzedaży, nie wystarczyłoby marży nawet na pokrycie naszych kosztów.

- Robert - pytam swojego szefa - masz większe doświadczenie, co powinnam zrobić?

- Małgosiu, przyjechałem do ciebie, bo o to prosiłaś, ale musisz sama sobie poradzić. Nie widziałem nigdy pana Drwala ani z nim nie rozmawiałem. Wygląda mi wprawdzie na lekko niespójnego na umyśle, ale trudno to ocenić, jeśli się nie zna człowieka. Musisz sama go okiełznać. Pamiętaj tylko, na co się umówiliśmy. Premia tak, ale tylko wtedy, kiedy będą wyniki.

Pamiętam. Oczywiście, że pamiętam. W myślach już nawet wydałam tę premię. Poprzednia leży na tym nowym koncie razem z pieniędzmi z wynajmu w Anglii i Hiszpanii. Leży i pęcznieje. Ma wypączkować w tysiąc metrów kwadratowych ziemi i mały biały o powierzchni stu pięćdziesięciu metrów kwadratowych.

Szanowna Pani Małgorzato,

nie możemy zmienić podjętej wcześniej decyzji dotyczącej wstrzymania współpracy z Państwem, gdyż najzwyczajniej w świecie nie leży to w interesie naszej firmy. Zmiana tej sytuacji zależy w tym momencie tylko i wyłącznie od Państwa, to znaczy jedyną szansą na kontynuowanie współpracy jest to, że zaczniecie Państwo respektować warunki umowy z dnia 6.09 br.

W obecnej sytuacji ubolewam jedynie nad tym, że tamta umowa była zawarta ustnie i zwlekaliśmy z jej sformalizowaniem, ale na szczęście we wrześniowym spotkaniu uczestniczyło tyle osób, że nie będziemy mieć problemu z udowodnieniem naszych ówczesnych ustaleń.

Zatem jedyne, co w tej sytuacji pozostaje Państwu zrobić, to:

1) sporządzić i dostarczyć do naszej firmy podpisaną umowę, zawierającą wszelkie nasze wcześniejsze ustalenia (przede wszystkim: bezwarunkowy parametr 5% wynagrodzenia za sprzedaż marki GALA).

2) przelać na nasze konto zaległe należności.

Liczę, że wykażecie się Państwo przyzwoitością i rozwiązacie tę nieprzyjemną, zaistniałą bynajmniej nie z naszej winy sytuację.

Z poważaniem,

Paweł Drwal

No cóż, nie zamierzam odpowiadać. Jak to w życiu bywa, albo wygram, albo nie. Przez skórę czuję, że Drwal gra ostro, ale wcale nie ma poparcia lokalnych kupców. A jeśli jest tak, jak myślę, to tydzień milczenia z naszej strony i będzie po sprawie.

Swoją drogą, jak można być tak bezmyślnym i okrutnym kłamcą? Ważny mi Pan Prezes. Taki ważny, a oszczerstwami rzuca jak kwiatami. Niech go. Muszę szybko znaleźć jakąś alternatywę dla tej firmy, muszę mieć innego, dużego i poważnego klienta, z którym będę mogła racjonalnie planować biznes.

Nie wiem jeszcze co, ale na pewno coś wymyślę.

Droga Pani Małgorzato,

Nie ukrywam, że przesłana przez Panią umowa nie jest dla nas satysfakcjonująca. Jednakże, biorąc pod uwagę Pani ograniczone kompetencje w tym zakresie, uznaję przedstawione warunki za tymczasowe porozumienie. Robię to tylko dlatego, żeby umożliwić Państwu bezzwłoczną wypłatę/rozliczenie moim dystrybutorom i centrali „WSPÓLNIE”, którzy (w przeciwieństwie do Państwa firmy) wywiązali się ze swoich zobowiązań bez zastrzeżeń.

Z poważaniem,

Paweł Drwal

Szanowny Panie Pawle,

dziękuję bardzo za podpisanie kontraktu.

Uważam zatem naszą współpracę za wznowioną, ze wszelkimi tego konsekwencjami.

Łączę pozdrowienia,

Małgorzata Stankowska

Czy ja jeszcze żyję?

Mam śmiać się, płakać czy paść ze zmęczenia?

Wygrałam i nawet się za bardzo nie zbłaźniłam, wręcz przeciwnie, ale nerwów ten gość zjadł mi tyle, że niech mu w gardle staną.

Straszył mnie, straszył, a wystarczyło tylko puścić plotkę, podszytą pewnymi, lekko tylko zarysowanymi elementami prawdy, że cały ten sporny towar właśnie kończymy sprzedawać do sieci „OSIEDLOWY”. To ścisła konkurencja „WSPÓLNIE” i kiedy uzyskała informację o naszym konflikcie, natychmiast zapragnęła wykorzystać sytuację. W ten sposób, dzięki głupiej zagrywce Drwala, zyskałam jeszcze jednego klienta, i to właściwie bez wysiłku.

Teraz mam za to inny problem - skąd ja wezmę tyle towaru? Muszę ściągnąć dodatkowe dostawy, nie ma co.

Tylko czy Robert da mi na to pieniądze? Za dostawy trzeba zapłacić!

* * *

- Sprzedałaś? Jak to sprzedałaś?

- Oczywiście, że sprzedałam! - zaczęłam się irytować.

- Sprowadziłam do Polski, to i sprzedałam, a teraz chcę więcej sprowadzić i więcej sprzedać.

- Nie możesz!

- Słucham???

- Eee.... - Czy ja słyszałam kiedyś, żeby Robert się jękał?

— No bo widzisz... ja też ten towar sprzedałam.

- Co zrobisz?

- No... wiedziałem, że są kłopoty ze „WSPÓLNIE”, że ten tam prezesuńcio nie ma najlepszej opinii, wręcz nawet mówią o nim, że jest niespełna, nie chciałem więc, żebyśmy zostali z towarem, no i zaproponowałem go jako nagrody w programie lojalnościowym pewnej sieci stacji benzynowych.

- To mamy klops. Bo ja w końcu dogadałam się z łaskawym prezesuńciem, ale ponieważ mnie też martwił jego stan ducha i umysłu, to równocześnie podjęłam rozmowy z „OSIEDLOWYM”. W rezultacie sprzedawałam dwa razy tyle i na szczęście ostatecznie udało mi się to tak ustalić, że „OSIEDLOWY” i „WSPÓLNIE” mają w promocjach inny towar, nie zdublują się, przynajmniej tyle dobrego. Ceny też dobrze dopasowałam. Teraz tylko dostarczyć! Niestety, musimy ściągnąć dodatkową partię, i to szybko!

- O cholera...

Robert zafrasował się, a ja po raz pierwszy poczułam, że opary absurdu przytłumiły moje zmysły, w tym także zmysł śmiechu.

Całe to zamieszanie i kłopoty skończyły się tak, że będę miała potrójną premię!

A święta tuż-tuż. Uwielbiam Boże Narodzenie. Tłum ludzi na ulicach, każdy spieszy się, żeby wybrać coś na prezent dla swoich bliskich. Może ciut mniej cieszą się karpie, one jakoś tak smutno patrzą, chyba im ciasno w małych korytkach z brudną wodą. Odwracam wzrok od karpie, żal mi ich. Mam dla nich zdecydowanie mniej współczucia, kiedy leżą już na talerzu.

Ludzie spieszą się przedświątecznie, a ja nie. Wszystkie prezenty już kupiłam, czekają pięknie zapakowane w kolorowe świąteczne papiery, przewiązane wielkimi błyszczącymi kokardami. Nie mam ich gdzie trzymać w domu, wszystkie pochowałam do szafy w moim gabinecie w pracy.

Tak, właśnie! Mam swój gabinet! I mogę trzymać w nim świąteczne prezenty dla rodziny! Prawdę mówiąc, mogę tam trzymać także wiele innych rzeczy, na przykład teczki z dokumentami, ale w większości trzyma je u siebie moja sekretarka. Precyzyjnie rzecz biorąc, będzie trzymać.

Po słynnej aferze z Drwalem, którą oczywiście wrednie nagłośniłam, gdzie się dało, w grupie „WSPÓLNIE” nastąpiła ekspresowa zmiana na stanowisku prezesa. Ciekawe dlaczego?

Nie wiadomo jeszcze, kto będzie następcą Drwala, ale ten wyleciał w trybie przyspieszonym i mam z tego niemałą satysfakcję. Zmieniam się chyba w harpię. Wieceeeelkąjędzę. No, nie taką wielką, schudłam ostatnio.

No więc mam własny gabinet. Robert stwierdził, że sam nie korzysta z prezesowskiego biura, ma swoje (cztery razy większe) w siedzibie swojej głównej firmy, więc to może oddać. Prawdę mówiąc, określenie „gabinet” jest trochę na wyrost. Pomieszczenie ma osiem metrów kwadratowych, znajduje się w nim biurko, dwie szafy na dokumenty, jedna szafa na ubrania (żebym nie musiała płaszcza na widoku zostawiać), dwa fotele. Dla mnie jednak to tak, jakbym raptem znalazła się w innym świecie. Nigdy do tej pory nie miałam własnego pokoju! W dzieciństwie miałam kąt w pokoju rodziców, ledwo to pamiętam. Potem wspólny pokój w domu dziecka, trzyosobowy pokój w akademiku. Zawsze z kimś, nawet kiedy wyprowadziłam się z akademika, wynajmowałam pokój z koleżanką, a potem mieszkaliśmy

już razem ze Zbyszkiem. Teraz mamy mieszkancko, w którym moje miejsce jest w kuchni, miejsce Zbyszka przed telewizorem, a miejsce Cypriana w naszej wspólnej sypialni. Skłamałam. Moje miejsce jest w łazience, pod wanną, no chyba że akurat sprzątam, to mogę sobie wyjść na salony, popatrzeć i ścierką pomachać. W kuchni przecież rządzi teściowa. Ech, życie.

A teraz mam własny miniaturowy gabinet i wczoraj przygotowałam ogłoszenie o rekrutacji na stanowisko sekretarki. Sekretarki dla mnie! Ale jaja!

W Boże Narodzenie nawet teściowa mi na ogół nie przeszkadza. W tym roku dostałam niespodziewany prezent od Roberta, bo i ten gabinet, i jeszcze dodatkową premię mi kapnął, niemałą, niemałą... Fajnie to w sumie w tej pracy wyszło. Żeby jeszcze tak fajnie w domu było.

* * *

- Cyprian dzisiaj nic nie zjadł.

To zamiast „dzień dobry”. Cyprian w ubiegłym tygodniu przywłókł z przedszkola jakąś francę, leżał przez trzy doby z gorączką, już chciałam go do szpitala wieźć. W końcu leki i cztery wizyty lekarskie pomogły. Cyprian jest już zdrowy, ale jeszcze w tym tygodniu nie posyłam go do przedszkola, bo z doświadczenia wiem, że jeżeli zaraz po chorobie dołączy do dzieci, to następny tydzień znowu spędzi w łóżku. A tenże następny tydzień to są akurat święta i wyjątkowo nie chcę, żeby w Boże Narodzenie dzieciak był chory i marudził. Chcę z małym i ze Zbyszkiem pojechać do lasu, porzucać śnieżkami i ulepić bałwana. Może uda nam się znaleźć to, co ostatnio zgubiliśmy? Nie wiem tylko, czy Zbyszek też chce to odnaleźć, nie jestem

tego pewna. Nie zawsze mi na to wygląda. Zbych zachowuje się w kratkę, raz bardzo chce powrotu naszego ciepła, tak bardzo, że aż landrynkowo, a raz zapomina o tym, że tego chce. To chyba nie chce? Sama już nie wiem. Jestem zajęta pracą, jestem zmęczona, chcę mieć w domu ciszę i porządek. Chcę wejść do domu, w spokoju odgrzać zupę dla rodziny i ugotować coś na obiadokolację. Z uśmiechem powitać moje dziecko powracające do domu z babunią. Po czym chcę, aby ta babunia poszła sobie do swojego domu, a ja razem z moim dzieckiem będziemy robić bałagan i hałas i będziemy się przy tej okazji bardzo głośno śmiać.

Kicha, nic z tego.

- Cyprian dzisiaj nic nie zjadł!

Głośniej.

- Rozumiem, mamu, dzieciom to się czasami zdarza.

- Dzieciom to się nie może zdarzać! Dzieci powinny jeść regularnie!

- Mamu, widziałaś kiedyś dziecko jedzące regularnie?

- Uśmiecham się figlarnie. Mama się nie uśmiecha.

- Oczywiście! Zbyszek jadał regularnie! Dbałam o to bardzo sumiennie!

No oczywiście, cholera, że też języka za zębami nie trzymałam. Wiadomo, że u Mamusi wszystko było dobrze, regularnie, o czasie i w ogóle pod linijkę, a u mnie jest be, bałagan, brud nieomal, dobrze, że szczury nie latają. Jedzenie u mnie niesmaczne i na pewno nieświeże, co się dziwić, że dziecko nie je.

- Mamu, rozumiem. Porozmawiam o tym z pediatrą.

- No oczywiście, szkoda, że dopiero teraz! I kup mu jakieś tabletki na apetyt! Dziecko nie może jadać tak nieregularnie!

- Dobrze, mamu, porozmawiam o tym z pediatrą.

Przy ostatnich słowach odcedzam ziemniaki - chyba jednak jestem trochę wkurzona, bo oblewam się wrzątkiem. Nie mocno, ale wystarczająco, żebym rękę miała poparzoną. Mamusia kręci głową z politowaniem i słyszę lekceważące:

- Daj, ja to zrobię.

Odwracam się zatem, wydaję z garnka wołowe zrazy. Lekko się przypaliły. Zabieram półmisek z mięsem i wychodzę z kuchni.

Wychodzę? Wybiegam!

* * *

Jestem naprawdę zmęczona, wykończona emocjonalnie. Nie jestem odporna na ciosy siekierą, a takim narzędziem przecież operuje drwal w lesie. Mamusia też jest drwalem, chociaż nazywa się trochę inaczej. Mam ochotę wejść do mojego podwannowego miejsca, zaszyć się tam i nie wychodzić, nawet ze ścierką. Łykam łzy i nakrywam do stołu. Uśmiecham się do Cypriana, dla niego warto żyć i warto się uśmiechać.

Co najgorsze, w pełni zgadzam się z teściową. Dziecko powinno jeść regularnie i powinny to być zbilansowane posiłki, przygotowane z najlepszych, pełnowartościowych składników pochodzących z ekologicznych upraw. Dziecko powinno jeść wyłącznie posiłki przygotowywane w domu, bez żadnych sztucznych dodatków, polepszaczy smaku, barwników czy, broń Boże, konserwantów. Też tak uważam. I co, mam małemu obiad wepchnąć do gardła przez rurkę jak tuczony kaczce? *Foie gras* mam z niego później robić?

Codziennie dowiaduję się, że życie nie jest jednoznaczne. Nie jest ani czarne, ani białe, nie jest nawet mieszanką tych

barw. To mieszanka szarości, mistrzowska kompozycja różnych odcieni tej nijakiej barwy. Te zestawienia bywają szokujące, bo przecież na świecie nie powinno być takich Drwali, co to wpe- dzają człowieka w stan zbliżony do schizofrenii. Nie powinno być takich gości, którzy rozdwiają twoją osobowość, spłaszczają ją i spłaszczają całego ciebie. Inna rzecz, że tenże Drwal właśnie przyczynił się do tego, że dostałam własny gabinet, sporą pre- mię i sekretarkę. No i dużo dowodów życzliwości od otoczenia, o uznaniu pracowników nie wspomnę. Nie powinno też być na tym najlepszym ze światów tak, że zgadzam się z własną teściow- ą! Teściowe nie są od tego, by się z nimi zgadzać! Chociaż, jak widać, nawet posiadanie takiego samego zdania nie oznacza jeszcze możliwości porozumienia się. No i nie powinno być tak, żeby przypalał mi się garnek przy odgrzewaniu zrazów.

* * *

- No wiesz, odgrzanie gotowego dania to nie jest jakaś szczególnie trudna kulinarna sztuka, prawda? - słyszę.

- Prawda, mamó, zamyśliłam się.

- Oj, będziesz teraz miała szorowania. Szkoda na to czasu i pieniędzy, tyle wody się zużywa, lepiej pilnować garnka.

- Tak, mamó.

* * *

Czy kiedyś będę miała dość odwagi, żeby powiedzieć wszyst- ko, co myślę?

Panie Boże, spraw, żeby taki dzień nie nadszedł, bo sprowa- dzę na nas wszystkie możliwe plagi egipskie, zrobię w domu

Sodomę i Gomorę, a wszystkie moje meble zamienią się w krzywe wieże. Nie mogę posunąć się do tego, żeby teściowej powiedzieć szczerze, co myślę! Nigdy w życiu! Szczerość tego rodzaju jest niehigieniczna i niech mnie ręka boska broni, bym się kiedyś na nią zdecydowała!

Lepiej już buzię w ciup i milczeć jak grób.

Rymów nie planowałam, ale w nich zasmakowałam.

Niech to licho, co mi odbiło? Chyba odreagowuję stres.

Do świąt zostały cztery dni. I będę mogła wreszcie przez chwilę odpocząć!

* * *

- Coś ty powiedziała mojej mamie?

- Ja??? Kompletnie nic. No, w każdym razie nic takiego, co mogłoby ją urazić.

Jest dwudziesta druga trzydzieści. Zbyszek kwadrans temu wszedł do domu. Udaję, że wierzę, że oczywiście był w pracy. Tak jest o wiele wygodniej.

- Mama dzwoniła do mnie zapłakana. Dużo mówiła, ale jej nie rozumiałem. Coś o Cyprianie, że jest zagłodzony i że nie chcesz jej widzieć w swoim domu, i że święta w domu starców. O co jej chodzi?

- Mnie pytasz? To twoja mama.

Nie krzyczę, ale mam ochotę. Ziewam od ucha do ucha, a tu jeszcze takie rozmowy.

- Oczywiście zgodziłem się, że na Wigilię będziemy u nich. W pierwszy dzień świąt także, na pewno mama zrobi coś pysznego do jedzenia.

Odechciało mi się spać.

- Jak to, u nich na Wigilię? Ja mam pół zamrażalnika żarcia na święta i całą lodówkę produktów. Poza tym chciałam odpocząć, z tobą i z małym, i żebyśmy mogli wreszcie pobycć chwilę sami. Ciebie całymi dniami nie ma w domu, ja spotykam się z twoją mamą, i to bynajmniej nie na chwilę, codziennie. Jak mogłeś podjąć taką decyzję beze mnie?

Zbyszek wzrusza ramionami.

- To powiedz jej, że zostajemy w domu.

Stoję w drzwiach łazienki, jestem w drodze pod wannę.

W uznaniu Zbyszka dla mojej kuchni zawiera się chyba cała jego miłość? Do kogo?

- Idź sprawdź stan zagłodzenia Cypriana.

- No właśnie, o co chodzi?

Ale ja już jestem pod wanną. Nie słyszę, nie widzę, nie chcę mówić. Idę spać do swojego świata. Nikogo tam nie wpuszczę.

* * *

Cyprian jest już w zasadzie zdrowy, ja nie. Czuję się fatalnie. Zarządzam w domu kwarantannę. Nie idę do pracy, wzięłam zwolnienie na te trzy dni, które pozostały do świąt. Cyprian zostaje ze mną, zakładam, że skoro to on mnie zaraził, to powinien być już odporny na to paskudztwo. Teściom chwilowo wstęp wzbroniony, pretekst jest bardzo wiarygodny. Przecież nikt z nas nie chce, żeby się zarazili, prawda? Pomiędzy kichnięciem a prychnięciem mam więc czas dla Cypriana i korzystamy z tego, ile tylko mam sił. Rano szalejemy na łóżku, przewracamy się i wyprawiamy dzikie brewerie, przy czym pojęcie „rano” uelastyczniliśmy i naciągnęliśmy jak gumkę w zbyt ciasnych majtkach. Wychodzimy do kuchni i do łazienki dopiero wtedy,

kiedy znudzą nam się już wszystkie książeczki, a głód kończy właśnie pierwszą część koncertu symfonicznego. Nie spodziewam się gości, nie muszę szykować wigilijnej wieszery, nie muszę sprzątać na błysk. Czy to właśnie jest wolność?

* * *

Święta, święta i po świętach. Teściowa rzeczywiście zrobiła dużo jedzenia, i to smacznego jedzenia. Nie pobyla z Zbyskiem, a i z Cyprianem nie tyle, ile bym chciała. Zamiast śnieżek i bałwana w lesie mieliśmy kablówkę i programy o Saharze, poza tym suchość mentalną w moim gardle, no i miłośność rodzinnych dyskursów. Nie odzywałam się i nikomu to nie przeszkadzało. Dziwnym trafem nikomu nie brakowało moich błyskotliwych uwag.

Po co tu jestem?

Cyprian bawi się pod stołem, jakoś nie wadzi to Mamusi, kiedy mały jest u nich. Tylko u nas w domu to jest problem; u nas dziecko jest niewychowane. Tutaj jest OK.

Czuję, że jestem głupia, głupsza i mam coraz większe wszy.

* * *

I niech je mam. Muszę mieć mój biały z żółtymi ścianami, inaczej zwariuję. To jest mój cel na najbliższe miesiące i lata. Muszę mieć jakiś inny cel niż omijanie stanu wojny z teściową. Praca jest niezła, ale ciut niedoceniana przez najbliższe otoczenie. Budowa domu zamknie wiele konfliktów. Nie będę mogła przecież rozważać słuszności zastosowania czerwonej galaretki

w pasztecie z dziczyzny, skoro będę musiała zweryfikować we wszystkich okolicznych hurtowniach ceny cegieł.

Przynajmniej mam nadzieję, że nie będę musiała tego rozważać. Chociaż właściwie pasztet z dziczyzny jest OK.

Ale fajny gość został następcą Drwala! Nazywa się Karol Fojtysik i jest jednym z najsympatyczniejszych moich kontrahentów. Może dlatego, że jest nowy, zobaczymy.

* * *

Podobno przedwiośnie to nie jest dobry moment na kupowanie ziemi. Przyroda jeszcze śpi, pogoda jest smutna, powietrze szare. Ale ja znalazłam miejsce, które pokochałam nawet z jego szarością. Zbyszek twierdzi, że jest na końcu świata i właściwie to prawda, ale mnie się tam podoba i już.

- Jak zamierzasz dowozić Cypriana do przedszkola? Palicho przedszkole, zaraz będzie szkoła, dziecko nie może tak daleko dojeżdżać!

- Przecież tu nawet sklepu żadnego nie ma!

- I co, chcesz się zaszyć w takim ostępie? To może się do Puszczy Białowieskiej wyprowadź!

To wszystko teściowa.

- I zmień nazwisko na Cimoszewicz - to Zbyszek.

A ja nic. Zaparałam się jak ta głupia. Przy mojej działce nie ma stacji kolejki ani przystanku autobusowego i pewnie nigdy nie będzie. Nie będzie też, na co mam nadzieję, autostrady ani drogi szybkiego ruchu. Ostęp to przesada, niemniej do lasu

mam czterysta metrów. Lotnisko wojskowe, jedyne, jakie tutaj mamy, jest z drugiej strony miasta, wreszcie samoloty nie będą mi brzuchem sufitu zdejmowały. No i powierzchnia. Tysiąc metrów kwadratowych! Idealna, o takiej marzyłam. Wystarczająco duża, żeby założyć ładny ogród, wystarczająco mała, żeby nie był potrzebny sztab ogrodników.

Zbyszek się odcina, nie chce słyszeć o tej działce. Ale Zbyszek się ostatnio od wielu rzeczy odcina. A ja już widzę zieleń w tym miejscu. Już widzę taras, czuję fakturę poduszek na fotelach i aromat świeżo zaparzonej kawy. Nawet dym z grilla mi nie przeszkadza.

A że pieniądze są w większości moje, ze spadku po cioci i wynajmu spadku po cioci, to nikogo nie słucham.

- Zawsze uparta jak osioł.

Tym razem, wyjątkowo, zgadzam się z teściową w całej rozciągłości.

I jestem ze swojego uporu dumna, i nie ustąpię.

I już.

* * *

Ale awantura, Jezus Maria. Zbyszek zdał sobie wreszcie sprawę, że nie tylko nie zamierzam go pytać o zdanie, ale także nie muszę. Wreszcie dotarło do jego świadomości, że mam własne konto. Tylko moje, o zawartości którego Zbyszek nie ma pojęcia. A trafił go już zupełny szlag, kiedy uświadomiłam mu, że zakupiona ziemia będzie moja i tylko moja, bo pieniądze pochodzą ze spadku, więc nie wchodzi w skład majątku wspólnego. Nie zamierzam się ze Zbyskiem rozwodzić, chociaż właściwie nie żyjemy już razem.

Może rzeczywiście jestem zbyt konfliktowa. Nie ustępuję Mamusi we wszystkim, a przecież szacunek dla starszych i w ogóle... No i jej wiecznie szwankujące zdrowie... Kręgosłup boli, biodro boli, wysypka na całym ciele swędzi i piecze, ciśnienie skacze, serce słabe... Akurat. Fantastyczny sposób, by zwrócić na siebie uwagę. Teściowa ma końskie zdrowie, więc może to Zbyszek jest zbyt słaby psychicznie. I nie wytrzymuje rozbieżności zdań na linii frontu pomiędzy swoimi dwiema kobietami.

Właściwie dlaczego dwiema? Przecież powinnam być tylko ja jedna? Ja, żona, nie Mamusia.

A może on po prostu mnie już nie kocha?

Czy jest w tym głębsza wina? Nie, nie moja. Wina losu, życia, zbiegu okoliczności. Wina wypadku moich rodziców, domu dziecka i umierającej z tęsknoty Dorotki. Może dlatego nie umiem ułożyć sobie relacji z teściową. Nie mam wzorców?

No cóż, jakby nie było, Zbyszka nie ma, poszedł swoją drogą, a ja pomalutku, drobnymi kroczkami, przemierzam samotnie otchłań własnych dni. Niemniej Cyprian potrzebuje ojca. Ma ze Zbyszkiem dobry kontakt, nie zmarnuję tego ani nie zabiorę tego Cyprianowi. Dopóki się da, dopóty będziemy razem, nawet jeśli tylko pozornie.

A może po prostu się da? Może powinnam myśleć pozytywnie? Nie patrzeć na Zbyszka jak na faceta, który mnie zawiódł, ale jak na człowieka, który jest omylny i popełnił błąd? Może powinniśmy naprawić nasze życie i stworzyć znowu wspólny byt?

Może?

Tylko jak?

Może po prostu powinnam się bardziej postarać. Nie liczyć na to, że zrobi to Zbyszek, tylko pokazać mu, że MNIE na nim zależy, że mnie na NAS zależy. Nie zostawiać go w nieustannie jazgoczącej paszczy teściowej, tylko przygarnąć pod ciepłe żonine skrzydła. Poszukam, może gdzieś znajdę w sobie jeszcze te skrzydła i może znajdę dość sił, żeby je ponownie rozwinąć. Postaram się.

* * *

W ramach szukania skrzydeł dzisiaj po pracy wybieram się do sklepu z bielizną. Wczoraj kupiłam piękne, czerwone świece o zapachu jabłkowo-cynamonowym. Jak już będę w centrum handlowym to kupię też butelkę jakiegoś dobrego białego wina. Wprawdzie wolę czerwone, ale Zbyszek najbardziej lubi białe, a ja przecież staram się dla niego. Tak więc myślę, staram się myśleć jego kategoriami i przygotować nasz wieczór tak, żeby Zbyszkiowi sprawić przyjemność. Kolację przyrządziłem już wczoraj, dzisiaj tylko nakryję pięknie stół, zapalę czerwone świece, postawię na podgrzewaczu wszystkie dania i wyjmę butelkę schłodzonego wina z lodówki. No i na koniec, mam taką nadzieję, zdejmę ze Zbyszka ubranie. Na koniec, bo moje ubranie Zbyszek zdejmie chwilę przedtem.

Ale bielizna! Jak ja dawno nie kupowałam sobie takich koronkowych fatałaszek! Czas najwyższy nadrobić zaległości. Wybieram od razu dwa komplety - jeden jest czarny, w haftowane czerwono-zielone kwiaty. Jest piękny, mocno wycięte majtki są na tyle wysokie, że trochę ukryją mój brzusek, biustonosz idealnie leży, trochę zbiera biust do przodu, przez co piersi wydają się większe. Na randkę z własnym mężem w sam raz.

Drugi komplet jest z delikatnej, zwiewnej koronki w kolorze prawie żadnym, niby kremowej, a niemal zupełnie przezroczystej. Coś pięknego. W takim pięknym czymś zamierzam czasami chodzić do pracy, przecież tam też mogę poczuć się od czasu do czasu Kobietą.

I właśnie teraz czuję się Kobietą do kwadratu. Piękną, mądrą i w ogóle fantastyczną. Kiedy wychodzę ze sklepu z bajecznie zapakowaną bielizną w przepięknie zdobionej torbie, muszę mieć na twarzy wyraz rozanielenia. Nawet gdybym nic nie kupiła, to samo mierzenie, ba!, nawet tylko oglądanie tych cudniek spowodowałyby u mnie chwilowy uraz głowy, to znaczy rozsądku. A ja kupiłam, i to nawet dwa komplety, i jestem po prostu szczęśliwa. Szczęściem Spełnionej Chwilowo Kobiety.

I do tego wszystkiego spotykam przed sklepem Dagma-rę. Lepszego momentu wymarzyć sobie nie mogłam. Jestem rozpromieniona i radosna, niosę w ręku torbę z drogiego, ekskluzywnego sklepu, wyglądam pewnie jak jeden wielki uśmiech, a czuję się jak tysiąc dolarów. Czegóż chcieć więcej?

Dagmara to superdziewczyna, ale została w urzędzie, więc muszę uważać na każde wypowiedane słowo. A właściwie to nie muszę, bo mówi głównie Dagmara. Ale jak mówi! Miód wlewa mi się w duszę, takie słodkie historie opowiada.

Jolka nie została kierowniczką, chociaż bardzo tego chciała; nie wyszła poza pełniącą obowiązki. Zrobiła mi wielką, wielką przysługę. Starosta podobno przy świadkach powiedział, że bardzo żałuje mojego odejścia. Kilka już prawie zamkniętych projektów Jolka zdołała wywrócić - ani razu nie zdarzyło się to podczas mojej kadencji! Nie stworzyła żadnej nowej oferty, w referacie poza zamykaniem spraw rozpoczętych przeze mnie nie działało się praktycznie nic. A i to wszystko pół biedy, Jolka

wywinęła jeszcze lepszy numer. Pod pretekstem, że dziewczyny mają tyle pracy udało jej się wywalczyć dodatkowy etat. Zgrabnie przedstawiła sprawę, że niby ten ich dział taki babski, i zatrudniła faceta. Nie byłoby w tym nic złego, w końcu faceci też potrafią pracować, przynajmniej niektórzy, ale niestety okazało się, że Bogdan Kragalski był świetnym pracownikiem tylko do czasu. Do czasu mianowicie, aż postanowił dzielić z Jolką i pracę, i łóżko, a jak znużyła mu się despotyczna szefowa w łóżku, to i w pracy zaczęły się problemy. Któż to zresztą wie, kto się komu znudził. Równie dobrze mogło być tak, że to Jolce Boguś się opatrzył, w końcu znam ją nie od dziś i wiem, jaki ma w sobie potencjał i potrzebę zmian. Nie znam gościa, ale żal mi go, chociaż w duszy radośnie mi gra. Docenili mnie! Hurra! Poniewczasie wprawdzie, ale jednak. Docenili. To miłe.

Dla Jolki może mniej, szczególnie że rzecz dotarła do starosty. Nie wyrzucił Jolki z pracy, po prostu zabrał jej możliwość awansu, pewnie na kilka lat, jeśli nie dożywotnio, wpisał kolejną naganę do akt, no i jeszcze zablokował podwyżkę na pięć lat. Podobno umieścił taką adnotację w teczce osobowej Jolki, nie wiem, czy to prawda i czy rzeczywiście ma takie prawne możliwości, ale brzmi nieźle. Co tam nieźle. Brzmi bosko!

Starosta za mną zatęsknił! Starosta mnie docenił!

Teraz dopiero uświadomiłam sobie, jak bardzo zabołało mnie to, że tak się z panem Jerzym rozstaliśmy. Cenię tego człowieka, mam dla niego poważanie i szacunek, a poczułam się przez niego skrzywdzona i jedno z drugim nie bardzo się zgadzało. A teraz... ulżyło mi. Starosta też człowiek, ma prawo popełnić błąd, pomylić się, źle zinterpretować fakty. Czy będzie w stanie się do tego przyznać? Nie wiem, ale i tak już mi lepiej. A jeśli jeszcze kiedyś uda nam się porozmawiać i sam mi

to powie, to cóż, odzyskam wiarę i w tego człowieka, i pewnie w siebie też będzie mi łatwiej wierzyć.

Żał mi tylko Dagmary, no i Marty też. Jolka nie da im żyć.

I najwspanialsza chyba dzisiaj wiadomość. Joanna wraca do zdrowia i postanowiła wrócić do pracy. Korzystanie z życia na skromnej rencie nie zadowoliło jej na dłuższą metę. W tym momencie rozumiem, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Gdybym została w urzędzie, nie byłoby co ze mną zrobić. Jolka nie zostałaby utemperowana, a Joanna czułaby się niezręcznie, powracając na należne jej miejsce. A tak? Wszystko poukładało się niejako samo, logicznie jak puzzle. Muszę zadzwonić do Joanny i jej pogratulować. A może uda mi się wyciągnąć ją na kawę?

Opowiadam Dagmarze o swojej obecnej pracy, nic nawet nie upiększam, ale i tak chyba mi nie wierzy. Właściwie to jej się nie dziwię. Kiedy sama słucham tego, co mówię, brzmi to nieprawdopodobnie. Jednak torba pełna markowej bielizny, promienny uśmiech i prześwitujące przez skórę ogólne zadowolenie pasują do moich słów, więc Dagmara sama nie wie, co ma myśleć.

Mam to gdzieś, dzisiaj na wieczór zaplanowałam randkę z mężem, wszystko inne jest tylko dodatkiem.

W domu szaleję z przygotowaniami. Cypriana dziadkowie zabrali dzisiaj do siebie, spełniam swoje fantazje dotyczące wystroju stołu i mojego stroju też.

Po dwudziestej trzeciej gaszę świece, jestem po kąpieli, nie muszę się już nawet myć; od razu idę spać. Nie zasypiam aż do piątej, kiedy to Zbyszek wsuwa się w nagrzaną przeze mnie pościel. Układa się jak najdalej ode mnie, nie wie, że czuвам. Normalnie o tej godzinie śpię jak suseł, ale dzisiaj nie jest normalnie. Przez chwilę Zbyszek patrzy na mnie. Nie ma w tym spojrzeniu ani ciepła, ani czułości. Po prostu sprawdza, czy śpię i czy rano będą kłopoty.

Nie wiem, kiedy oddaliliśmy się od siebie aż tak bardzo. Co takiego zrobiłam, co zaniedbałam, że mój mąż patrzy na mnie jak na utyskującego producenta żarcia. Gdzie się podziały moje skrzydła?

Rano Zbyszek budzi mnie o siódmej.

- Hej, hej, wstawaj!

Jestem oczywiście nieprzytomna, spałam godzinę. Zanim rozbudzam się na dobre, Zbyszek wraca do sypialni z kawą.

- Nie chciałem cię budzić, spałaś tak smacznie. Skończyliśmy wczoraj trochę później rozładunek, miałem ciężką trasę, dopiero tuż przed północą dotarłem do domu.

Nic nie mówię, bo i po co.

Zastanawia mnie, skąd Zbyszek wiedział, o której zgasiłam światło.

* * *

Z tygodnia na tydzień trudniej godzić mi obowiązki domowe i służbowe. Mam coraz więcej wyjazdów, firma się rozrasta; Robert ostatnio sam przyszedł z propozycją, żebym powiększyła dział handlowy. Faktycznie, każdy ze sprzedawców ma już tylu klientów, że trudno mi nawet mieć do nich pretensje, kiedy nie wyrabiają się ze wszystkimi bieżącymi sprawami. Mam coraz więcej podwładnych i coraz więcej zadań. Stałam się chyba szefową i kierowniczką z prawdziwego zdarzenia. Przynoszę też do domu coraz więcej pieniędzy. Nie wszystko pokazuję Zbyszkowi, czasami część premii zachowuję na tajnym koncie. Nie za dużo, troszeczkę. I tak zarabiam w tej chwili ponad dwa razy tyle co Zbyszek w najlepszych miesiącach.

Trudno, tak czasami musi być. Jesteśmy rodziną i będziemy nią, wiem, że Zbyszek też tego chce. Wierzę w to. I trochę gubi się w tym, że zamieniliśmy się rolami; nie zawsze tak jest, że czekam na niego z obiadem w domu - czasem jestem na drugim końcu Polski, jem kolację w eleganckiej restauracji i opowiadam mu o wykwintnym menu. Kiedyś ryczeliśmy ze śmiechu przez telefon, gdy opowiadałam Zbyszkowi o przystawce, jaką jadłam tego dnia. Były to, ni mniej, ni więcej, tylko bycze jądra w sosie malinowym. Dało się zjeść, ale żeby coś więcej... No cóż, był to dobry powód do tego, żeby trochę, no... poświntuszyć przez telefon. Jest różnie. Czasami się nie dogadujemy, milczymy i wyrasta między nami mur kompletnego niezrozumienia. A czasami wracają najlepsze, najcieplejsze i najpiękniejsze wspólne chwile. Wtedy przypominam sobie, jak bardzo kocham mojego męża, jak bardzo jest dla mnie istotny i jak bardzo jest potrzebny Cyprianowi. I mnie. Jesteśmy rodziną. Jesteśmy Rodziną. Kochamy się i muszę walczyć o to, żeby nic się w tym zakresie nie zmieniło.

* * *

Kupiłam. Kupiłam moją działkę. To znaczy, działka jest oczywiście nasza, ale jest moja wymarzona. A poduszki na fotelach będą miały ciepły, beżowy odcień.

Właśnie zdałam sobie sprawę, w co się pakuję. Spotkałam się z architektem. Nie stać mnie na indywidualny projekt, kupię coś gotowego.

Lato

Weekend to ostatnio jedyny czas, kiedy mogę o czymkolwiek pomyśleć. Goniłwa zawodowych spraw zaczyna mnie wyprzedzać. Firma się rozrasta, Robert jest zadowolony, a nawet chyba superzadowolony, sądząc po wszystkich dodatkowych apanażach, jakie od niego otrzymuję. To jest fantastyczne. Ale zawsze jest jakieś „ale”. Nie mam czasu dla Cypriana i nie mam czasu dla Zbyszka. A szczególnie dla Zbyszka muszę go mieć. Zaczęło się między nami ocieplać, moje życie jakoś ostatnio wbrew porom roku się układa. Lato minęło, za oknem znów coraz chłodniej, u nas coraz cieplej. Dzisiaj mamy chyba jeden z ostatnich w tym roku taki pogodny dzień. Tradycyjnie więc wybieramy się na rowery. Jest cudnie. Już nie gorąco, ale ciągle ciepło, chociaż wiatr potrafi trochę przedmuchać. Wszyscy mamy na sobie grube swetry, w plecaku wiozę termos z gorącą herbatą, Zbyszek ma resztę prowiantu. Zatrzymujemy się na polanie, jest południe, cisza i spokój. O tej porze roku, w połowie września, już mało kto wybiera się na rowerowe wycieczki. A my tak i jest nam z tym dobrze. Cyprian wcina kanapki, czeka na obiecany deser. Niepostrzeżenie staram się wsunąć mu do kieszeni kurtki Kinder Bueno, ale oczywiście to zauważa i jest mnóstwo śmiechu. Śmiejemy się wszyscy, śmiejemy się głośno

i razem, jak już dawno nam się nie zdarzyło. Śmieję się nie tylko dlatego, że rozbawiła mnie mina Cypriana, śmieję się przede wszystkim dlatego, że jest mi dobrze, że poczułam ulgę. Jednak potrafimy ciągle być razem, tak naprawdę razem i ze sobą, i po prostu cieszyć się wzajemnie swoją obecnością. Zbyszek, Cyprian i ja. Moi dwaj wspaniali mężczyźni. Co mnie tak wzięło na wzruszenia? Nie byłam do tej pory płaksa, ale teraz mi się nabierało i płaczę, udając, że to łzy ze śmiechu. Niby to rozbawiona jestem do łez, ale tak naprawdę jestem wzruszona odkryciem, że głęboko w zakamarkach naszych dusz ciągle należymy do siebie i ciągle potrafimy tworzyć sobie wzajemnie świat. Nie mogłam ostatnio odnaleźć w to wiary, a teraz spadła na mnie zniecka i po prostu wiem, że nasza wspólność istnieje.

Co za cudny dzień.

- Wiesz, chciałabym, żeby ten dom był cały w jasnych kolorach. Dużo światła i wszystko jasne. Będzie świetlisty.

Złudzenie wspólności pryska.

- Wiesz przecież, że ja go nie chcę. Nie chcę się w niego angażować i ogólnie jestem mu przeciwny.

- No cóż, myślałam, że ci przejdzie. Mamy na niego w tej chwili pieniądze, będzie nam potrzebny w sumie niewielki kredyt, chciałabym, żeby Cyprian nie chował się w bloku.

Milczenie nie zawsze jest zgodą, niestety.

- Dobrze jest stworzyć dziecku świetne warunki, ale rodzicom też się coś należy, prawda?

- To już od nas zależy. Co sobie zaplanujemy, liczbę pokoi, liczbę sypialni, wystawę naszej sypialni, wielkość salonu... wszystko zależy od nas. Możemy tam spełnić swoje marzenia.

- Ten dom nie jest moim marzeniem, więc nie spełni moich pragnień. Mów o swoich marzeniach.

I już dzień nie jest cudny. Jednak posiana dziś wiara zaczęła kiełkować i ciągle wierzę.

Będzie dobrze.

Musi.

* * *

Udało mi się spotkać z Joanną. Dawno jej nie widziałam ani nie słyszałam i żałowałam tego coraz bardziej z każdym wypowiedzianym przez nią słowem. Tylko pani Albina, ewentualnie, mogłaby się z nią równać. Pogoda ducha, pogoda, pogoda... Tak pięknie mówi o życiu, o szukaniu sensu i jego gubieniu, o chorobie, refleksji, odpoczynku i nudzie.

Zadzwoiłam do Joanny któregoś dnia - wydawało mi się, że się ucieszyła. Wydawało, bo czyż można być tego pewnym przez telefon? Obawiałam się, że nie będziemy miały o czym rozmawiać. Obawiałam się, że urząd znów rozgości się w mojej duszy i cieniem przykryje słoneczną perspektywę tarasu z widokiem na las.

Nic takiego. Umówiliśmy się w kawiarni wybranej przez Joannę - chciałam, żeby ona wybrała najdogodniejsze dla siebie miejsce. Trochę wstyd mi to przed sobą przyznać - ale obawiałam się, żeby nie wybrać miejsca zbyt drogiego, w którym Joanna czułaby się zobligowana do zapłacenia. Była moją kierowniczką i cały czas może czuć się za mnie odpowiedzialna niczym kura za swoje pisklęta. Kurczaczek to oczywiście ja - zdążyłam już trochę porosnąć pierzem, ale Joanny przy tym nie było; mogłaby nie chcieć wziąć tego pod uwagę.

A ja pamiętałam urzędnicze pensyjki i zapomniałam o tym, że mąż Joanny bardzo dobrze zarabia, a ona sama jest przyzwyczajona do wysokich standardów. Głupio mi za moje nowobogackie myśli, bo Joanna wybrała najelegantszą kawiarnię w mieście - i oczywiście uparła się, żeby zapłacić. Cóż miałam zrobić? Poddałam się, chociaż umówiliśmy się, że następnym razem ja stawiam.

Nie wiem, czy będzie następnym razem, ale bardzo bym chciała.

Z Joanną rozmawia mi się jak z ciut starszą przyjaciółką. Mądrą i bardziej doświadczoną, ale pełną uśmiechu i wewnętrznej światłości.

Opowiadała mi o wypadku. Kierowca samochodu trafił do więzienia, ale tylko na dwa tygodnie. Teoretycznie ma wyrok, praktycznie chodzi na wolności i nie stroni od dotychczasowych uciech. Nazywa się to wyrok w zawieszeniu, ale w tym przypadku to akurat sprawiedliwość została zawieszona na kołku. Ten człowiek to sąsiad ciotki Joanny, starszej pani, która mieszka w starej części Sopotu. Drewniane schody w jej kamienicy skrzypią, odnowiona elewacja pamięta czas sprzed stulecia, a drzewa zimą pozbawione liści odsłaniają widok na morze. Urok tego miejsca zburzył na kilka miesięcy remont poddasza - bardzo gruntowny, ze zdejmowaniem dachu włącznie. Trwał długo, a kiedy się skończył, wprowadził się nowy sąsiad; właśnie ten człowiek, który niewiele później, pijany, próbował wyprawić Joannę na tamten świat. Ciotka kręci z dezaprobatą głową, ale nic nie może zrobić; opowiada tylko z wypiekami na twarzy o kolejnych wybrykach sąsiada.

Człowiek bogaty może kupić sobie nie tylko strych w zażytkowej kamienicy; człowiek bogaty może kupić sobie spokój i prawo do życia na cudzy rachunek.

Pochyliłyśmy się w zamyśleniu nad tą sentencją, aż zrobiło się zbyt melancholijnie.

- Czas chyba na następną kawę. - Joanna odzyskała rezon.

- Nie dam rady - wymamrotałam przepełniona kofeiną.

- Może herbatę. Albo jeszcze lepiej wodę.

- I ciastko, obowiązkowo. Ma pan szarlotkę na ciepło?

- Joanna zmierzyła kelnera podejrzliwym spojrzeniem, jakby szarlotkę nosił w kieszeni, wśród kłaczków kurzu i zmiętolo-nych rachunków.

- Życzy pani sobie z lodami?

Pani łaskawie kiwnęła na to głową.

- To dwa razy poprosimy. - Joanna uśmiechnęła się do kelnera promiennie, tym razem tak, jakby zamierzała go namiętnie wyczałować za sam fakt posiadania szarlotki nie w kieszeni, a w kuchni.

- Teściowa znowu będzie patrzeć na mnie wilkiem, bo nie dam rady zjeść obiadu - jęknęłam. Joanna znała moje problemy z Mamusią, niczego nie musiałam jej objaśniać.

- Dalej ci tak dokuca?

Pokiwałam głową; o tym akurat nie chciało mi się mówić.

- Wiesz, kiedy leżałam w szpitalu i kiedy bolało mnie całe ciało, każda kostka, mięsień, oczy, skóra, głowa, stopy, wszystko, kiedy nie mogłam zamknąć oczu, bo piekły, ani ich otworzyć, bo łzawiły, kiedy nie mogłam podnieść szklanki ani przełknąć bez bólu łyka wody, ani wytrzymać z pragnienia, kiedy chciałam krzyknąć i nie mogłam szeptać, doszłam wtedy do wniosku, że chciałabym móc powiedzieć wszystkim ludziom, że są dobrzy. Tylko tyle. Niekoniecznie przeproszać ich za swoje przewinienia; niekoniecznie wszystko od razu wybaczać. Nawet niekoniecznie chciałabym wszystkich widzieć. Wręcz przeciwnie, są tacy,

których nie chcę nigdy więcej oglądać, a nawet żałuję, że ich kiedykolwiek spotkałam. W szpitalu myślałam o tym, żeby przekazać im jakoś to, że na pewno są dobrzy, tylko o tym nie wiedzą. Nikt im nie powiedział, gdzie można szukać dobra, nikt im go nie pokazał. Może ktoś wyśmiał, skrzywdził, zabrał godność, ale ludzie są dobrzy. Trudno to czasem zrozumieć, trzeba, być może, przejść się po cienkiej linii życia i zajrzeć na drugą stronę, żeby to pojąć; tak jednak jest. Wiem to już na pewno i może tobie też ta wiedza na coś się przyda.

Z wrażenia nie zapytałam Joanny ani o urząd, ani o Jolkę, ani o żadne inne sprawy, które przecież nie były istotne.

Dobrze jest spotkać czasami kogoś mądrego.

* * *

Jezu, ależ źle się ostatnio czuję. Muszę zrobić jakieś badania. Mówię do ludzi i kręci mi się w głowie. Idę po schodach i chwytam gwałtownie barierkę, przerażona, że zaraz upadnę. Siedzę przy biurku i mam mroczyki przed oczami. Brak mi chybota potasu i żelaza, muszę kupić jakieś witaminy.

Pewnie wykańcza mnie myśl o samodzielnym budowaniu domu. Zbyszekjasno się od budowy odciął, nie chce tego domu i kropka. A ja już wiem, ile muszę przygotować i złożyć dokumentów, a to do architektury, a to do gazowni, elekrowni i czort wie, gdzie jeszcze. Przy okazji będę musiała odwiedzić swoich kolegów, będzie fajnie. Odstrzelę się, umaluję, włożę szpilki i sukienkę do kolan. W urzędzie nie nosiłam szpilek, teraz to moje obuwie na co dzień, nauczyłam się już nawet chodzić na obcasach. Kiedyś człapałam jak gęś, teraz jest znacznie lepiej. No, samo to to nie przyszło, poszłam do „szkoły urody”

i poprosiłam o kilka lekcji. Nie mogłam utrzymać równowagi na szpilkach, wyglądałam przekomicznie; nie to było moim celem. A teraz udaje mi się uzyskać dokładnie ten efekt, na którym mi zależało. Faceci na ulicy odwracają się za mną i mają w oku ten błysk, o który mi cały czas chodziło.

Tak więc włożę szpilki i granatową sukienkę. Nie czerwona, byłoby zbyt ostentacyjnie, ale dodam kilka czerwonych dodatków; do granatowego jak znalazł. Szpilki granatowe z czerwonym paseczkiem dookoła, apaszkę z czerwonym wzorem. I wystarczy. Poza tym srebrna bransoleta, ta szeroka, i bardzo małe kolczyki, nic na szyję, bo byłoby za dużo.

Kobieta sukcesu nie musi ostentacyjnym strojem rzucać się w oczy, kobieta sukcesu po prostu jest zauważalna. Kobieta sukcesu - to będę ja.

Ale oprócz brylowania w urzędzie muszę jakoś poukładać wszystkie sprawy związane z budową. Wiem, że sama nie dam rady. Projekt już kupiłam, teraz muszę znaleźć dobrego kierownika budowy i umówić się z nim na załatwienie niezbędnych formalności. Prawie wszystkich, bo część z nich muszę załatwić osobiście jako właścicielka. Niech to szlag, jak ja to wszystko pogodzę?

Nie wiem, jak sobie poradzę, ale jakoś muszę. Zwłaszcza, że właśnie musiałam zrobić sobie przerwę. To znaczy nie musiałam, przerwa sama się zrobiła. Wczoraj podczas naszego cotygodniowego zebrania w firmie, kiedy wygłaszałam krótkie podsumowanie wyników z ostatniego okresu, po prostu osunęłam się na podłogę. Wiem to z relacji pracowników - sama oczywiście nic nie pamiętam. Nic mi nie jest, to tylko przemęczenie; że też jeszcze nie kupiłam sobie tych witamin. Głupio tak. Wszyscy teraz koło mnie skaczą, teściowa donosi

rosołki, Zbyszek spędził dziś w szpitalu pół dnia. Cyprian wczoraj z przedszkola nie chciał wracać do domu, a potem zamierzał ze mną tu nocować. Musiałam poprosić o pomoc lekarza - przekonał go w końcu o konieczności pojechania do domu, do własnego łóżeczka. Korzystam z okazji i wysypiam się do woli, przynajmniej taki mam zamiar dzisiejszego popołudnia. Pośpię tyle, że wystarczy na najbliższe dwa tygodnie, może trzy.

Wchodzi lekarz, podnoszę ciężkie powieki. Właśnie osiadał na nich sen, nie jestem jeszcze przytomna, za chwilę dopiero się obudzę, chociaż jeszcze nie zasnęłam. To taki błogi stan, w którym jesteśmy niby świadomi swojej materialnej obecności, ale jeszcze widzimy świat Alicji z drugiej strony lustra; szkoda, że nie udaje się tego stanu zatrzymać na dłużej.

Znam tego lekarza. To brat jednego z moich pracowników, a do tego mieszka na tym samym osiedlu co ja. Nie utrzymujemy bliższych stosunków, ale znamy się i zdaje się, że jego brat sporo mu o mnie opowiadał.

Doktor Leszek troskliwie dopytuje się o moje samopoczucie. Od kiedy mam zawroty głowy, jak się ostatnio odżywiałam, ile sypiam... Irytuje mnie. Jem w biegu i w pośpiechu, nie dośypiam, pracuję za dużo, za mało odpoczywam, przecież to wiadomo. Wszyscy tak ostatnio mają i nie jest to stan przejściowy, tylko permanentny. To znak naszych czasów, taka choroba cywilizacyjna.

Doktor Leszek patrzy na mnie uważnie wielkimi, czarnymi oczami. Właściwie to gdyby nie był doktorem, który służbowo siedzi teraz przy moim łóżku, i gdyby nie był żonatym bratem mojego podwładnego, to mogłabym spróbować się w nim zakochać.

A jednak nie.

Nie mogłabym się w nim zakochać i nie jest to choroba cywilizacyjna.

Jestem w ciąży.

* * *

Siedzę w naszej malutkiej kuchni i zastanawiam się, jak to zrobić, żeby następnym razem zdążyć do toalety. Rozpatruję możliwość porostawiania we wszystkich pomieszczeniach naszego mieszkania misek z wodą.

Muszę teraz „odpocząć”, co oznacza dwa tygodnie zwolnienia. I to chyba dobrze, bo zarzygałabym pół biura. Na razie radzę sobie dzięki mailom i telefonowi, nie jest źle. Mam nadzieję, że szybko poczuję się lepiej, bo jednak pracować chociaż trochę muszę, no i przede wszystkim muszę w całości dopilnować budowy. Cięża nic nie zmieniła w podejściu Zbyszka. Nie chce nowego dziecka i nie chce nowego domu. Nie wiem, jak mielibyśmy w tych naszych kliteczkach zmieścić się z jeszcze jednym potomkiem. No i z teściami na cały etat, bo do tej pory korzystanie z pomocy teściowej było wygodnictwem tłumaczonym dobrem dziecka i bezcennym darem, jakim jest miłość dziadków. Z dwójką maluchów jednak będę musiała spojrzeć prawdzie w oczy i powiedzieć sobie: bez teściowej nie dasz rady. Kochaj ją i nie narzekaj.

Zbyszek wzruszył mnie mało. Wspiera zerowo. Na wiadomość o tym, że jestem w ciąży, zareagował pytaniem: „Z kim?”. Sama nie wiem, dlaczego nie dałam mu w twarz. Nie poprawiło to naszych relacji, i tak już napiętych. Teraz napięty się jeszcze bardziej i chyba nie ma rokowań w najbliższym czasie na ich rozluźnienie. A ja, jak to ciężarówka, mam obecnie całą masę

kaprysów, a raczej chciałabym ich całą masę mieć, bo jedyny, na jaki mogę sobie pozwolić, to kaprys pilnowania budowy.

Mamusia za to, o dziwo, aż pokraśniała z zadowolenia. Nie dokuczyła mi już od dwóch dni, czekam na jakąś apokalipsę. Rano odprowadza Cypriana do przedszkola, w południe dzwoni do mnie z pytaniem, jak się czuję, po południu odbiera Cypriana z przedszkola i do domu odstawia go wieczorem. Przynosi mi od razu obiad na następny dzień i czuję się jak ciężko chora.

* * *

- Nie powinnaś się zastanowić nad tą ciążą?

- Jak to, zastanowić? - Nie rozumiem, co teściowa ma na myśli.

- No wiesz, w twojej rodzinie...

- Co w mojej rodzinie? - Pytanie zawisa w powietrzu nad moją głową i powoli opada na mnie wraz z okrutną odpowiedzią. W mojej rodzinie, czyli chodzi o moją nieżyjącą siostrę. O Dorotkę. Teściowa uważa, że zespół Downa, jako obciążenie genetyczne, jest dziedziczny. Nie mam pojęcia, może zresztą jest. Nie chcę wiedzieć, kocham moje dziecko już dziś, chociaż jeszcze nie wiem, kim będzie ani jakie będzie.

Mamusia czeka cierpliwie, aż do mojej tępej głowy dotrze jej światła sugestia.

- Jeśli sugerujesz, mamo, usunięcie ciąży tylko dlatego, że istnieje ryzyko, iż dziecko może mieć zespół Downa, to możesz tej myśli nie poświęcać już więcej ani chwili swojego bezcennego czasu.

Kończę to bezładne zdanie, krzyżąc, i wybiegam z kuchni. Łazienka jest terenem cierpliwym, w końcu tam pod wanną

mieszkam. Tam też, jak przystało na ciężarną nękaną przez burzę hormonów, przeczekuję napad hysterii. Kiedy wychodzę, teściowej nie ma już w domu. Poszła po Cypriana do przedszkola, a wieczorem odprowadza dziecko wyłącznie do klatki schodowej.

Ciekawe, jak długo nie będzie przekraczała progu mojego domu.

Mamusię i tak oglądam w sumie częściej niż Zbyszka. Jeśli jest w trasie, to nie widzę go przez kilka dni, a jeśli akurat w trasie nie jest, to widzę go rano. Wieczorem nie zawsze, bo na ogół wraca tak późno, że już śpię.

Ciągle zakładam, że ma tak dużo pracy, że wcześniej w domu być nie może. Wolę nie wiedzieć, czy to prawda. Ciekawe, czy to przez te hormony tak chowam głowę w piasek, czy też z powodu rodzicielskiej odpowiedzialności? Nie chcę być winna, jakby co? W razie czego nie ja sprowokuję awanturę i to nie przeze mnie samiec opuści gniazdo rodzinne. Jeśli nic nie odkryję, to może tego nie będzie? I nie będę musiała nic tłumaczyć Cyprianowi.

* * *

Akurat nie będę musiała.

Dwa tygodnie zwolnienia stały się całkiem przyjemnym czasem wolnym, od kiedy przestałam co pół godziny biegać do łazienki. Szybko ustąpiły pierwsze ciążowe objawy i zrobiło się naprawdę miło. Już po tygodniu mogę się spokojnie wyspać i bez stresu wyjść - bez obawy, że zarzygam komuś nieopatrznie buty. Po prostu wychodzę i idę sobie. Do sklepu albo zwyczajnie na spacer. Jakie życie jest piękne! Pogodę mamy wprawdzie

mało sympatyczną, ale przynajmniej nie jestem już uwięziona. Poza tym bezprzewodowy internet to cud i korzystam z niego całymi garściami. Chociaż nie ma mnie w firmie, to dzięki notebookowi i komórce dalej w dużym stopniu nią zarządzam. Fajne i upierdliwe jednocześnie. Fajne, bo nie czuję się uwiązana w domu i mam poczucie, że tak naprawdę nie nawalam w firmie. Niefajne, bo nawet w ciąży i na zwolnieniu lekarskim nie odpoczywam. Taki to już ze mnie typ, że wszystkiego chcę dopilnować i sprawdzić, czy aby na pewno kolejne sprawy są załatwione po mojej myśli. Sama się teraz zastanawiam, czy moi pracownicy chwalą sobie pracę ze mną.

Jak to chwila wolnego czasu sprzyja refleksji. Nigdy do tej pory nie zastanawiałam się, czy dobrze się ze mną pracuje. No, może kiedy byłam zatrudniona w urzędzie, ale ten czas już dla mnie bezpowrotnie, mam nadzieję, minął. Nie chcę wracać do tego poczucia beznadziejności, jakie wtedy miałam. Od kiedy pracuję u Roberta, nie myślałam ani przez chwilę, czy jestem dobrym szefem. Interesowało mnie wyłącznie to, czy robota jest dobrze zrobiona i czy niczego nie zaniedbaliśmy. A teraz zadaję sobie pytanie, czy ludzie mnie lubią. Ewentualnie, czy mnie cenią. Może dlatego, że uwierzyłam już, że potrafię robić to, czego oczekuje ode mnie Robert. Wolność wynikająca z poczucia wartości?

W każdym razie siedzę sobie wygodnie na kanapie i stukam w klawiaturę. Wysłałam dzisiaj już piętnastego maila. Sama nie wiem, czy dobrze robię. Może powinnam pozwolić pracownikom w większym stopniu działać na własną rękę? Pewnie powinnam, ale pewnie też się boję. Bo a nuż poradzą sobie świetnie beze mnie? A może nawet jeszcze lepiej? I co wtedy?

Wtedy poszukasz sobie innej pracy, takiej, w której będziesz potrzebna. Stworzysz znowu zespół dobrych ludzi, przescholisz ich, a potem znowu okażesz się zbędna. Wtedy znajdziesz sobie kolejną pracę, a może otworzysz własną firmę i tam też dobiedziesz sobie zespół ludzi, i okażesz się niepotrzebna. I wreszcie pójdiesz na emeryturę.

Rozbawia mnie ta myśl. Emerytura. Mam w drodze drugie dziecko, przez wiele lat jeszcze muszę nie tylko je utrzymywać i wychowywać, ale także, a może przede wszystkim, dawać mu przykład. A mnie w głowie emerytalny odpoczynek, hi, hi.

Niesamowite jest dla mnie to, w jak oczywisty sposób przyjmuję do wiadomości, że to ja muszę utrzymać naszą rodzinę i wychować dzieci. Cały czas, ciągle nie uwzględniam w tych planach Zbyszka. Ciekawe, czy to dlatego mój mąż tak się od nas oddalił, czy też jest zupełnie odwrotnie - ja myślę tak dlatego, że Zbyszek już jakiś czas temu mentalnie od nas odszedł? Wyłączając komputer, jestem smutna. Czuję się samotna, a mam w perspektywie zimę z powiększającym się brzuchem, nieustannie puste łóżko, a potem samotne nocne przebudzenia, karmienia, przewijania. Mam na razie dwie podpórki. Trzyma mnie w pionie oczywiście Cyprian, no i trzyma mnie perspektywa budowy. Jak ja sobie poradzę?

Idę po Cypriana do przedszkola. Od kilku dni czuję się już na tyle dobrze, że mogę nawet zaplanować sobie wyjście. Umówiłam się z teściową, że dziś ja odbiorę małego. Cyprian rzuca mi się na szyję, ubiera się grzecznie i bez marudzenia, jest szczęśliwy, że dzisiaj przyszła po niego mama. Pewnie byłby jeszcze bardziej szczęśliwy, gdyby to był tata, ale cóż...

- Mamusiu, dlaczego tata z nami nie mieszka?

- Jak to, nie mieszka? Tatuś ma ostatnio dużo pracy i dlatego jest rzadziej w domu, ale przecież z nami mieszka!

- Ale nigdy nie przyszedł po mnie do przedszkola...

- A chciałbyś, prawda?

- Bo tata Piotrusia to przychodzi po niego do przedszkola w każdy wtorek. A mamusia i tatuś Piotrusia nie mieszkają razem, ale nawet mimo to tatuś po niego przychodzi.

Cóż, już muszę Cyprianowi tak wiele tłumaczyć, a kompletnie nie wiem jak. I co gorsza, nie wiem dokładnie, co mu tłumaczyć, bo sama tego nie rozumiem.

Życie to jest przechłapanie. Mam szczerą chęć i nadzieję porozmawiać o tym ze Zbyszkciem, tylko nie wiem, kiedy mam to zrobić. Przez telefon? Mailowo?

Postanowiłam kuć żelazo, póki gorące. Dzisiaj spotkałam się z architektem, to od niego kupiłam projekt domu, i uzgodniłam, jakich dokumentów potrzebuję. Jutro jadę do gminy, składam wnioski o pozwolenie na budowę, muszę tylko pamiętać, żeby się naprawdę dobrze ubrać. Potem pojadę do zakładu energetycznego i jeszcze do gazowni. Lista dokumentów, jakie muszę uzyskać, jest porażająco długa.

* * *

Ha, o ludzka naiwności. Chciałam jednego dnia załatwić wszystkie te papierkowe sprawy i los się ze mnie śmieje w kufak. Odwiedziłam dzisiaj urząd. Gadu-gadu, raczej bez emocji, tylko Jolka wilkiem patrzyła, pozostali mieli znacznie mniej

wyraziste uczucia. W architekturze jedna dziewczyna podała mi listę brakujących dokumentów. To straszne, bo zwyczajny petent nie dostanie kompletnego wykazu braków. Jego wniosek zostanie odrzucony po pobieżnym przejrzeniu. Na ogół przyczyną jest brak jednego lub dwóch dokumentów, a kiedy petent je dostarczy, to brakuje kolejnych dwóch... a potem jeszcze trzech... Liczę się z tym, że mimo potraktowania mnie za specjalną życzliwość będę musiała przyjechać tutaj jeszcze ze dwa razy.

Przesympatyczna była rozmowa w naszym dziale. Weszłam tam po cichu, jak każdy normalny klient, spokojnie się przywitałam i czekałam na reakcję. Jolka zauważyła mnie od razu, odpowiedziała pochmurnie „dzień dobry” i pochyliła się nad swoimi papierami. Dziwne, ale jej gach ciągle pracuje w tym samym dziale i jeśli kiedyś też wyglądał tak jak teraz, to nie rozumiem Jolki. Niby nie stary i nie gruby, ale strasznie rozlazły. Nierówno zarośnięta twarz, czarne tłuste włosy, z jednego boku strąki są trochę dłuższe. Może to oczy? Fakt, oczy ma czarne, bezdenne, można się w nich utopić, ale poza tym - nic szczególnego. Do tego jeszcze musi być wredny, ma tak strasznie wąskie i mocno zaciśnięte usta. A może one są wąskie, bo są zaciśnięte, a zaciśnięte są, bo tak mu tutaj baby dały popalić? Nieważne, nie moja sprawa. Dziwię się, że facet tu jeszcze pracuje. On mnie nie zna, więc moje wejście nic mu nie mówi, dopiero po chwili Dagmara podnosi głowę i słyszę radosne:

- Pani Małgosiu! Dzień dobry!

Na to hasło pozostałe dziewczyny, czyli Marta i jeszcze Joanna, zlatują się jak pszczoły do miodu i od razu zarządzają przerwę na herbatę. Wyciągają mnie do bufetu.

- Tutaj nie da się pogadać - przekrzykują się jedna przez drugą.

- Co u pani?

Na wieść o mojej ciąży wyściskują mnie serdecznie, czuję się z nimi dobrze, ale nie chciałabym już tu wrócić.

- U nas atmosfera, jak pani widziała - ze smutkiem stwierdza Marta. - Dobrze, że pani Joanna wróciła, trochę Jolkę przykróciła, ale i tak trudno wytrzymać. Bogdan ma tu pracować tylko do końca miesiąca, nie można już znieść napięcia między nimi.

A cała reszta po staremu. Jednym słowem, miłe gadu-gadu, które zajęło mi dużo czasu, ale nic specjalnego nie wniosło.

Wychodzę z urzędu bogatsza o listę dokumentów, jakie muszę dostarczyć architekturze, i ze smutnym przeświadczeniem, że dzisiaj już nic nie załatwię. Jest za późno, tyle czasu zajął mi pobyt w dawnej pracy.

* * *

A w domu... Dzień Sądu Ostatecznego. Cyprian wyje, teściowa wrzeszczy, zastaję w drzwiach Zbyszka, który milcząc, wymija mnie i truchtem oddala się w nieznanym kierunku.

Nie zadaję żadnych pytań, nie ma znaczenia, co się stało, muszę uspokoić Cypriana.

Odrącam teściową, zamykam jej przed nosem drzwi, nie dam rady uspokajać obydwójga naraz.

Po kwadransie Cyprian już tylko cichutko łka w moich ramionach. Zaczynamy rozmawiać.

- Bo ja chciałem tylko z tatusiem pobyc trochę...- Dziecko ciągle jeszcze drży. - Ale... ale... ale tatuś nie chciał, żeby

mu siedział na kolankach... I się zdenerwowałam... na mnie... i zaczął mi iść... ale... ale... ale babcia się też zdenerwowała...

I Cyprian się zaciął, i dalej z jego cudnych pięcioletnich oczu leciały łzy. Nie mogę patrzeć, jak dzieci płaczą. Nienawidzę ludzi, którzy powodują, że dzieci płaczą. W tej chwili obiłabym mojemu mężowi skórę, nie pytając nawet, co się stało.

Po kolejnych dwudziestu minutach Cyprian uspokaja się już na tyle, że jest gotów obejrzeć jakąś bajkę. Wychodzimy do drugiego pokoju, tam teściowa dyryguje pilotem. Raz, dwa, trzy, nowy kanał, raz, dwa, trzy, nowy kanał, raz, dwa, trzy, tu ciekawie, może zostać dłużej, cztery, pięć, sześć, nowy kanał.

Toż to kanał. Dlaczego godzę się na to, żeby obcy mi ludzie rządili moim domem? Moim dzieckiem? Moim życiem? I moim pilotem?

Ależ jestem głupia. Bo bez nich nie dam sobie rady. I chociaż do dziś dla mnie teściowa to jest naprawdę teściowa, a słowo „mama” kłuje mnie ciągle w język, bo przecież matka może być tylko jedna, moja zaś jest wyidealizowana, bo nieobecna, to jednak teściowie nie są przecież tak zupełnie obcy.

- Nie możesz Zbyszkowi na to pozwolić! - Gejzer tylko się przyczaił, jest gotów do kolejnych erupcji.

- Mamo, na co ja nie mogę Zbyszkowi pozwolić?

- No ty, oczywiście, że ty. Ja go wychowałam dobrze, przy mnie nigdy nie zachowywał się w taki sposób. To tyś go rozpuściła i teraz masz! Co to za zachowanie! Żeby tak do dziecka!

Nie słucham dalej, bo Cyprian znowu zaczyna szlochać.

Mamusia mówi nieprzerwanie i wcale nie zamierzam jej przerywać. Taki jednostajny dźwięk, nawet dosyć głośny, działa w sumie uspokajająco. Żeby nie przerwała perory, od czasu do czasu przytakuję, generalnie metoda okazuje się skuteczna.

Teściowa pozwala sobie wyjąć pilota z dłoni, wybieramy z Cyprianem bajkę na DVD, dzieciak już się zaczyna uśmiechać, on naprawdę rozumie znacznie więcej, niż mi się wydaje. Doskonale wychwytał, że wcale nie słucham babci i też przestał się nią przejmować. Żeby tylko nie potraktował zdarzenia jako wytycznej postępowania na przyszłość, bo dopiero będę się miała z pyszna. Jak teściowa się zorientuje, że to przeze mnie Cyprian jej nie słucha... wolę nie myśleć. Wtedy to dopiero musiałabym włączyć swój równoległy świat.

Nigdy nie zrozumiem, dlaczego nie trzasnę drzwiami i nie wyjdę.

Nie wyjdę, bo to jest mój dom.

A przecież nikogo z domu nie wyproszę, nie stać mnie na taki gest i niech nigdy stać nie będzie. Trudno, może nie jestem asertywna ani nowoczesna, ale tego rodzaju asertywność mi się nie podoba. Chamką być nie chcę.

Jak miło tak prawie w ciszy sobie porozmyślać.

Mamusia peroruje, ja zdejmuję z siebie Cyprianowego koaleę i nareszcie mogę na chwilę usiąść.

- Przyniosłabyś mi po tym wszystkim chociaż herbaty, co?

Nie reaguję dłuższą chwilę, dopiero cisza uświadamia mi, że przytaknięcie może nie być wystarczającą reakcją. Ruszam więc od nowa tyłek i idę na podbój kuchni.

Jezu! Ależ tu cisza! Uwielbiam moją kuchnię! Moje dwa na dwa i pół metra! Jest piękna, jest boska, jest cicha. Jest wspaniała!

Wchodzi teściowa.

- Proszę. - Podsuwam jej kubek z herbatą pod nos.

Teściowej nie robi się herbaty w filiżance. Przecież nie ma sensu jej brudzić. Tak samo jak nie używa się w jej obecności serwetek, bo przecież potem trzeba je wyprać i jeszcze do tego

wyprasować. Mamusia piję herbatkę ze szklaneczek, a że u mnie szklaneczek w domu nie ma, ostatecznie może być z kubeczka. W roli ekskluzywnej serwetki występuje aktualny numer dowolnego kolorowego tygodnika. Mamusia innych serwetek i innych gazet nie uznaje. Musi być kolorowo, za dużo tekstu nie jest natomiast wskazane.

- Pójdę już - nieoczekiwanie ogłasza moja domowa rozgłośnia radiowa. - Późno się zrobiło, a i ty powinnaś już Cypriana położyć spać.

Rozumiem. Mamusia tworzy sobie powód do jutrzejszego egzaminu: a o której poszedłeś spać, Cyprianku? Dlaczego tak późno kładziesz spać to dziecko? Jak on ma się rozwijać, jeśli nie może się normalnie wyspać?

W wyobraźni już słyszę jutrzejszy wykład, całuję więc Mamusię w oba policzki, nie za serdecznie i nie za chłodno. Życzę spokojnej nocy i idę do Cypriana.

Mały z wypiekami na twarzy ogląda przygody swojego ulubionego smoka. Niosę mu wieczorną herbatkę, przytulam na kanapie i na chwilę przymykam oczy. Tylko na chwilę, bo moje dziecko jest nie tyle ciepłe, co wprost gorące. Dotykam mu czoła, płonie. Naiwnie sądziłam, że wypieki na buzi to efekt spazmów i wrażeń związanych z bajką, ale nie. Cyprian ma gorączkę, oczywiście mowy nie ma o tym, by pozwolił sobie zmierzyć temperaturę. Lecę do apteczki, wyciągam paracetamol. Mały na szczęście łyka go bez zmrużenia oka, na szczęście, bo nie mam już siły na żadne akrobacje. Bajka się kończy, Cyprian marudzi.

- Nie, nie będziemy oglądać już kolejnej bajeczki.
- Ale ja chcę!

- Cyprian, jest już za późno.

- Mamo, ale ja chcę!

Ha, ha, ja mogę nie chcieć dzisiaj żadnych więcej ekscesów, Cyprian jednak ma inny pogląd. Nie mam siły wykłócać się z własnym dzieckiem, chorym i gorączkującym. Nie mam siły chociażby dlatego, że moje drugie dziecko daje mi gwałtownie do zrozumienia, że chce mu się spać. Zawieram zatem z Cyprianem kompromis - jeszcze jedna bajka, ale wybierzemy krótką, a potem szybka kąpiel i do łóżka.

Co do bajki, bez trudu udaje nam się dotrzymać umowy, gorzej z kąpielą. Cyprian ciągle jest rozpalony, muszę mu zrobić trochę chłodniejszą kąpiel, a to spotyka się z jego gwałtownym protestem.

- Zimno mi!!!! - Cyprian drze się, jakbym go obdzierała ze skóry.

A ja tłumaczę spokojnie, nie unosząc się, po cichutku. Nie mogę się denerwować na chore dziecko i w ogóle nie mogę się denerwować. Kończymy kąpiel w błyskawicznym tempie, nie mam siły słuchać dinozaura, lwa czy innego groźnego stworza ryczącego wprost do mojego ucha. Cyprian też nie ma już na nic siły. Po prostu wyje, bo jest zmęczony. Rozcieram go energicznie ręcznikiem, wtula się we mnie, uwielbiam to jego wieczorne przytulanie. Jest wtedy tak słodki, że zawiera 300% cukru w cukrze; nic, tylko łyżkami jeść. Udaje mi się ułożyć dziecko w łóżeczku. Zanim przynoszę następną porcję lekarstw, mały już słodko śpi.

Ja zasypiam na stojąco. Biorę ekspresowy prysznic i dosłownie walę się do łóżka. Na chwilę, bo Cyprian śpi bardzo niespokojnie, po piątej pobudce przenoszę go więc do siebie.

Dlaczego przypuszczam, że Zbyszek nie będzie z nami dzisiaj spał, nie wiem.

Dlaczego mam rację, też nie wiem.

* * *

Rano zamiast do przedszkola oczywiście maszerujemy do lekarza. Mamusia przybyła jak zwykle. Nie zdołała jednak wygłosić perory na temat kładzenia dziecka spać zawsze o stałej godzinie, i to najlepiej tuż po dobranocce, bo tym razem przejęła się gorączką małego. Nawet pomaga mi go porządnie ubrać. Na szczęście do przychodni mamy dwa kroki.

Tam lekarka stwierdza trzydniówkę, zdumiona, że Cyprian jeszcze jej nie przechodził. No nie przechodził, przynajmniej nic o tym nie wiem.

Środki przeciwgorączkowe, wyleżeć, odpocząć, nie wychodzić na dwór. Uzbrojeni w takie wskazania wracamy do domu.

Mamusia znajduje się nad wyraz właściwie, raczy i małego, i mnie herbatą z własnoręcznie nazbieranej lipy, mocno okraszoną miodem z zaprzyjaźnionej pasieki i samodzielnie przygotowanym sokiem malinowym.

Jak to cudownie być od czasu do czasu rozpieszczanym. Cyprian śpi i ja też zapadam się w błogość. Nie mam siły ruszyć ani ręką, ani nogą. Sen mam kojący, niech więc trwa.

No i trwał. Cyprian już dawno rozrabia, malują z babcią kredkami, niekoniecznie tylko po kartkach, zdarza się pozostawić co nieco rysunków na stole i obrusie. Jest prawie wieczór, przespałam cały dzień. Boli mnie każdy mięsień i łamię chyba w każdej kości. Ledwo widzę na oczy. Niech to licho, od poniedziałku miałam wrócić do pracy. Z gripą raczej mi się to nie uda.

Teraz to ja potrzebuję opieki, ja i moje dziecko, i moje drugie dziecko. Teściowa w milczeniu, może bez entuzjazmu, ale jednak z oddaniem pielęgnuje naszą gromadę. Teść bez słowa poddaje się jej woli, chociaż zachwyty nie wyraża, on sam też nie czuje się najlepiej.

Weekend mija nam wszystkim w domu. Dogrzewamy się starą farełką, powietrze musi być chyba sztywne. Trzy dorosłe osoby i jeden dzieciak plus rosnący brzuch, nie wietrzone od trzech dni. Niby makabra, ale teraz właśnie taki zaduch jest tu potrzebny. Dopiero w poniedziałek uznaję, że dość tego - świeże powietrze na pewno wszystkim dobrze zrobi. Cyprian już lata jak fryga, o leżeniu w łóżku nie ma mowy, ma jeszcze trochę kataru i tyle złego. Ja też czuję się już lepiej, wstaję z łóżka i staram się nawet coś tam zrobić w domu, ale teściowa mi nie daje. Widać, że ona też niedomaga, pokasłuje i ma katar, ale kuchennego steru nie daje sobie wyjąć z rąk. Nie protestuję, nie mam na to siły. Za to teść jest w fatalnym stanie. Odchorowuje naszą małą infekcję, jak całkiem wielką i poważną chorobę. Nie pokasłuje, tylko głucho kaszle, nie ma kataru, tylko się dusi, a kiedy w końcu udaje nam się zmusić go do zmierzenia temperatury, ma 39,4 stopnia, chociaż jest już po jednym panadolu. We wtorek rano wzywam lekarza.

Zapalenie płuc, antybiotyki, leżenie przynajmniej przez siedem dni obowiązkowe.

Teraz teściowa nie pielęgnuje już nas, tylko teścia, i wcale się nie dziwię.

Minęło kilka dni naszej choroby, a właściwie to prawie tydzień, kiedy objawia się mój mąż-łaskawca. Żadnych komentarzy. Wchodzi wieczorem do domu, Cyprian rzuca mu się na szyję, Zbyszek go ściska i idzie sprawdzić do lodówki,

co jest do jedzenia. Ze smakołykami marnawo, nie miałam siły na szykowanie rarytasów, więc marszczy z niezadowolenia nos i przyrządza sobie kanapkę.

Przez tydzień Zbyszek kontaktował się z nami telefonicznie na zasadzie: jak tam u was? Lepiej już? Zdrowiejecie? Aha, to dobrze. Nie, nie wiem jeszcze, kiedy będę w domu, przyjadę najszybciej, jak to będzie możliwe.

Przed przyjazdem nawet nie zadzwonił.

Właściwie to nieprawda. Zbyszek nie przyjechał, tylko przyszedł. Ostatnio wcale nie pracuje więcej niż dotychczas. Ostatnio tylko spędza czas w bloku naprzeciwko, widać stamtąd nasze okna.

A ja robię zakupy w supermarkecie na drugim końcu miasta, w osiedlowym sklepiku współczujące spojrzenia doprowadzają mnie do szału.

* * *

Spotykam się z architektem. Uzupełnił brakujące dokumenty, podczas mojej choroby zawiózł do odpowiednich urzędów wszystko, co było niezbędne. U uruchomił też swoje znajomości i pozwolenie na budowę mamy w rękę. Co mi po pozwoleniu na budowę w końcu września? Kto przy zdrowych zmysłach zdecyduje się na budowę w zasadzie na początku zimy? Zdrowe zmysły może i do tego niepotrzebne, ale perspektywa porodu w maju i budowania z noworodkiem przy piersi bardzo pomaga w podejmowaniu odważnych decyzji. Mam siłę piły tarczowej, Tomek, architekt, wije się jak piskorz. W końcu przyznaje, że ma dobrą ekipę, ale zaczynać w październiku?

Tłumaczę mu, co i jak, że budowy muszę dopilnować sama i na wiosnę nie mogę jej rozpoczynać, tylko muszę kończyć. Wprawdzie rozwiązanie mam w maju, ale w ostatnich tygodniach ciąży może być różnie, muszę skończyć budowę jak najszybciej. A po maju, cóż, może i będę zgrabniejsza i szczęplejsza, i bardziej zwinna, ale na pewno nie bardziej mobilna. Nowo narodzone dziecko ma magiczną moc przywiązywania matki do jednego miejsca. Nie, nie, w maju to ja już muszę mieszkać w nowym domu co najmniej od miesiąca, a najlepiej od dwóch.

Tomek kręci głową coraz szybciej, w końcu kontaktuje mnie z wykonawcą i pół godziny później ten też jest już u mnie. Częściej go herbata, robię wyjątkowo dobrą, podaję ją oczywiście w filiżankach, wyciągam kawałek ciasta od teściowej. Wykonawca, przesympatyczny skądinąd pan Arek, ma takie samo zdanie jak Tomek, ale na babę nie poradzą. Ostatecznie dogadujemy się, zaczynają w przyszłym tygodniu, prognozy pogody są bardzo dobre, ma być jeszcze całkiem ciepło jak na tę porę roku i w ogóle zima ma być bardzo łagodna. Szanse na dotrzymanie wiosennego terminu są mizerne, ale cóż, nadzieja umiera ostatnia. Zwłaszcza jeśli jest to nadzieja ciężarnej.

* * *

Życie nabrało tempa. Tak jakbym do tej pory się nudziła. Cyprianowi z trzydniówki nie zostało nawet wspomnienie, ja już zapomniałam o grypie, teściowa tak naprawdę jej nie zaliczyła, a teść choruje do dziś. Dopiero kilka dni temu wyszedł po raz pierwszy z domu. I cóż, teścia nie da się przekonać do lekarzy. Idzie do przychodni tylko w ostateczności. W innych

przypadkach pada nieśmiertelne: „Ja jestem zdrowy, mnie nic nie jest, nie muszę chodzić do lekarza”. A na pytanie o badania okresowe wzrusza ramionami.

Rano więc odprowadzam Cypriana do przedszkola, potem gnam do pracy, na szczęście mogę wyjść wcześniej, wpadam więc do domu i ucinam sobie drzemkę. Nie jestem w tej chwili w stanie funkcjonować bez popołudniowego snu. Potem wstaję i albo lecę po Cypriana, albo jadę wprost na budowę. Jeśli odbieram małego, to potem razem z nim jadę spotkać się z wykonawcami.

I tak dzień za dniem. Na razie zamiast wymarzonego domu mam dziurę w ziemi. Jak dotąd wystarcza mi jeszcze pieniędzy, ale muszę, i to dość szybko, postarać się o kredyt. Nie dokończę budowy za to, co mam, muszę ponownie dokładnie podliczyć budżet.

Wyszłam dziś wcześniej z pracy, jadę w przyspieszonym tempie na budowę. Coś się stało, tylko jeszcze nie wiem co. Ale chyba coś ważnego, bo Arek kategorycznie zażądał na budowie mojej obecności.

Musi być to coś naprawdę ważnego, bo witają mnie obaj, Arek i Tomek, przy czym Tomek ma zdecydowanie bardziej niewyraźną minę.

- Pani Małgosiu, czy zwykle spuszcza pani wodę po wyjściu z toalety?

Ha, ha, bardzo śmieszne, ani myślę odpowiadać. Tomek ma wzrok bazyliuszka.

Czekam na ciąg dalszy, ja też wzrok mam raczej nieprzyjazny.

- Hm - Arek daje spokój z niewyszukanymi żartami.
- Przeanalizowałem projekt i niestety nie ma w nim pionu kanalizacyjnego dla górnej łazienki. Umywalka i brodzik mają pion, sedes nie ma odpływu. Stąd też zadane pytanie ma większy sens, niż pozornie mogłoby się wydawać. Bo może nie ma to dla pani znaczenia, to wtedy...

Przerywam mu bezpardonowym parsknięciem.

- Nie denerwuj się - odzywa się Tomek.

- Jestem jednym wielkim znakiem zapytania. Jak niby mam się nie denerwować? Wyobraź sobie, że jestem nietypowa i tak po prostu, dla bycia oryginalną, lubię sobie spuścić wodę w toalecie!

- Pani Małgosiu, spokojnie, my już mamy rozwiązanie, tylko musi je pani zaakceptować i powinno być OK. Spójrz pani? Nie da się już tu zrobić typowego pionu, ale możemy tutaj, w tym miejscu, poprowadzić rurę w stropie i...

- I będą mi gówna płynąć nad głową, tak?

- Obliczyłem już kąt. - Arek nie daje się wyprowadzić z równowagi. - Jest absolutnie wystarczający, wszystko będzie działać jako złoto.

Patrzę na Tomka, nie czuje się z tym komfortowo, ani on, ani ja.

- Mam jakieś wyjście?

- Szczerze?

- To czemu mnie pytaacie?

- Bo wolę, żeby pani wiedziała. Z pani twarda kobieta, wszystko pani zrozumie.

Wyjeżdżam z budowy tym razem bez pożegnania. Niech ich licho.

Kocham Tomka. No po prostu kocham mojego architekta.

Uwielbiam taki wieczorny spokój. Po całodziennym szaleństwie Cyprian usnął dziś wcześniej. Teściowie ewakuowali się na imieniny jakiejś dawno niewidzianej znajomej, a ja chłonę ciszę i spokój. Jest mi dobrze wśród stłumionych odgłosów wieczornego życia moich sąsiadów, jest mi smutno bez Zbyszka. Tęsknię za moim mężem. Ostatnie tygodnie były wariactwem zupełnym, nie miałam czasu nad niczym się zastanowić. Z dziury w ziemi wyrosły moje wymarzone mury, teraz czekam na dachówkę. Ma przyjechać w przyszłym tygodniu, modłę się, żeby nic się nie opóźniło. Jeśli dachówka będzie na czas i umówiona ekipa nie nawali, to do końca lutego dom będzie zamknięty. W swoich wyliczeniach przyjmuję, że z końcem lutego, najpóźniej na początku marca musi wejść do domu ekipa wykończeniowa, na początku maja muszę się wprowadzić. Sama nie wiem, czy to pesymistyczny, czy optymistyczny scenariusz.

Nieprawda, wiem. To kompletne wariactwo, ale ciągle są szanse, że naprawdę się uda. Jak dałam radę przekonać tych wszystkich facetów, że moja budowa musi być skończona na wiosnę? Nie wiem, ale udało się. Pewnie bardziej przekonał ich mój brzuch niż ja sama, nie chcieli chyba mieć problemów z kobietą w ciąży.

* * *

Udało mi się zgrać budowę, udało mi się pogodzić ją z pracą, udało mi się pilnować swojego stanu zdrowia i dbać o nienarodzonego bobasa, i udało mi się dbać o Cypriana. Nie można jednak mieć wszystkiego, nie udało mi się zadbać

o moje małżeństwo. Zbyszek w zasadzie oszedł, nie ma go z nami. Właściwie to nie wiem, jak jest. Zbyszka fizycznie nie ma, mieszka naprzeciwko, ale jesteśmy dalej małżeństwem, na oficjalnych rodzinnych uroczystościach stawiamy się razem jak przykładne stadło, w święta razem byliśmy u teściów, a Nowy Rok witaliśmy w gronie znajomych w naszych skromnych czterech kątach. Większość znajomych nawet nie wie, że budujemy dom, przepraszam, że buduję dom, bo Zbyszek nie chce nic słyszeć na ten temat. Ten dom dla niego nie istnieje. Co się stanie w maju?

Jakkolwiek by nie było, brakuje mi Zbyszka. Pogubiliśmy się, ale przecież jest dobrym człowiekiem. Jest świetnym ojcem. Jest dobrym towarzyszem życiowej podróży. Był.

No cóż, jest taki, jeśli jest. A że ostatnio jest gdzie indziej... Tak naprawdę wcale nie mam ochoty wiedzieć, gdzie jest, ale przecież to tylko chowanie głowy w piasek. Wiem dokładnie, gdzie Zbyszek spędza ostatnio czas, i wiem z kim. Wszyscy to wiedzą. Już przywykłam i znowu wróciłam do robienia zakupów w osiedlowym sklepiku. Już mnie nie pytają, gdzie mój mąż, przestało to być lokalną atrakcją.

Kiedy się tak pogubiliśmy? Gdzie zrobiłam błąd, że wypuściłam z ręki dłoń Zbyszka?

Kilka dni temu napisałam na kartce parę słów, zrobiło mi się po nich lżej.

Gdzie jesteśmy
Kiedy nas nie ma?
W tych spacerach sprzed lat?
W tamtych spojrzeniach?

Nas już nie ma
Nie chce nam się chcieć.
Dłonie trzymają się coraz luźniej
Gdzieś gubią ciepły oplot
Kiedy puszczają, gdy dotyku brak
Idziemy przeciwstawnie
To już samotność
Porzucenie we dwoje

Czytam to teraz i uśmiecham się z zażenowaniem. Taki ba-
nał, nastolatki piszą lepsze. Ale tylko tak potrafiłam wyrazić
swój ból, tylko tyle potrafiłam o nim opowiedzieć. Tak mało,
a takie to dla mnie ważne.

Do niedawna nie potrafiłam wyobrazić sobie życia bez
Zbyszka. Ale rzeczywistość przerasta wyobraźnię. Dzisiaj żyję
bez Zbyszka i jest mi tak bardzo smutno, jak się spodziewałam.
Czegoś nie dopilnowaliśmy, o czymś zapomnieliśmy, a potem
kropla po kropli wyciekały nam kolejne sprawy, aż w końcu...

Idzie Grześ przez wieś... worek Grzesia jest już pusty, nie ma
w nim nas, naszej miłości, naszej prawdziwości.

To straszne, mąż mnie porzucił, porzucił mnie i nasze dziec-
ko oraz nasze drugie dziecko, którego nawet nie chce znać, a ja
wciąż go Kocham i wciąż za nim tęsknię. I będę go pewnie ko-
chać do końca, bo nie można, ot tak po prostu, przestać kochać.
Kocha się kogoś pomimo, nie z powodu. Kocham Zbyszka
dlatego, że był dla mnie świetnym kompanem, że mamy wspa-
niałego syna, Kocham go, pomimo że mnie porzucił i odszedł.
Kocham go pomimo wszystko i z każdego innego powodu.

I chociaż moja wiara w nas już umarła i nic nie tli się w pa-
lenisku, to jednak ciągle go Kocham i już pewnie nie przestanę.

Tak bardzo próbowałam tę miłość ratować, reanimować, tak bardzo chciałam, żeby przetrwała - ale umarła.

Leżę sobie spokojnie w moim dwuosobowym pustym łóżku, głaszczę się po brzuchu napęczniałym naszą ostatnią miłością i przychodzi mi głowy coś, co jeszcze niedawno miałoby dla mnie posmak świętokradztwa.

Właściwie ciągle ma taki posmak.

A gdybym tak poznała kogoś i związała się z kimś innym niż Zbyszek?

Idź spać, babo głupia. Za chwilę będziesz miała ręce bardziej niż pełne roboty. Będziesz jednocześnie czytać Cyprianowi bajkę, drugiego dzieciaka przystawiać do piersi, a wolną ręką notować robotnikom listę rzeczy do zrobienia. W tym samym czasie ze słuchawką przy uchu będziesz załatwiać służbowe, niecierpiące zwłoki sprawy. Uspokój się i przestań marzyć o księciu z bajki. Takich nie ma.

Jesteś ty i twoi synowie. Cyprian i Kamil.

Tak, ma już imię.

Lubię Norwida.

* * *

Nie lubię, kiedy Tomek, architekt, dzwoni do mnie do pracy. Jestem w biurze i tak dosyć krótko, staram się więc wykorzystać ten czas maksymalnie efektywnie. Muszę się oszczędzać, nie mogę siedzieć przy biurku cały dzień. A Tomek doskonale o tym wie, umówiliśmy się przecież, że wszystkie sprawy będziemy omawiać albo rano, przed ósmą, albo dopiero na naszym popołudniowym lub wieczornym spotkaniu. Czemu więc dzwoni do mnie już trzeci raz?

W przerwie spotkania oddzwaniem.

Całkiem niepotrzebnie, czułam się znacznie lepiej, kiedy o tym nie wiedziałam.

- Tomek, doskonale wiedziałeś, że chcę mieć na dachu dachówkę. DACHÓWKĘ! To był warunek! I to ty zaproponowałeś mi ten właśnie projekt! - krzyczę. Podobno ciężarne kobiety łatwo wyprowadzić z równowagi. Może i jest w tym trochę przesady, ale tylko trochę.

- Małgośka, nie denerwuj się, złość piękności szkodzi
- Tomek próbuje mnie uspokoić, ale osiąga efekt odwrotny od zamierzonego.

- Oduść sobie! Nie rób ze mnie ciężarnej kretynki! Chcę mieć dachówkę na dachu i już!

Rzucam słuchawką, chociaż w życiu zdarzyło mi się to pewnie nie więcej niż ze trzy, cztery razy.

Tomek rezolutnie dzwoni po dwudziestu minutach. Jeszcze nie do końca mi przeszło, ale przynajmniej mogę już spokojniej rozmawiać.

- Małgośka, przepraszam. No zagapiłem się. Miałem ci od razu poprawić ten dach, ale tak mnie zakręciłaś tempem budowy, że po prostu zapomniałem. Starałem się jak najszybciej przygotować wszystkie papiery do kolejnych urzędów, pamiętasz przecież, w jakim tempie to załatwialiśmy, no i zapomniałem. A projekt wybraliśmy taki, bo ty chciałaś mieć jak najprostszy dach. Ten był właśnie najprostszy.

- Ale miała być dachówka - bardziej syczę niż porozumiewam się ludzkim językiem.

- Noooo... taaak....

- Tomek, wytłumacz mi to jeszcze raz, powoli i drukowanymi literami.

Wyraźnie ucieszył się, że zaczynam mówić po ludzku.

- Dobra. Wybrany przez ciebie dom ma wiele rozwiązań właściwych dla wersji ekonomicznych. Normalnie mówiąc, nie jest drogi w budowie. Dach ma tak zaprojektowany, żeby był tani, a tani dach to blacha, nie dachówka. Rzecz w tym, że dachówka musi mieć zachowany pewien minimalny kąt spadku. Inaczej nie będzie szczelna, producent nie da gwarancji, no i żaden fachowiec nie podejmie się jej ułożenia.

- I mój dach nie ma tego kąta?

- No właśnie. Małgośka, przepraszam, naprawdę, po prostu mi to umknęło. I tak przerabiałem dla ciebie ten projekt. Ten dom w wersji podstawowej jest parterowy. Drugi jego wariant ma poddasze użytkowe. Ale ty wymyśliłaś sobie piętro, nie poddasze, nie chciałaś skosów, prawda? Więc zrobiłem bez skosów, a dach już rozliczałem w dużym pośpiechu i tak wyszło... Naprawdę, przepraszam.

Staram się miarowo oddychać. Po dłuższej chwili ciszy, w czasie której Tomek bezskutecznie czeka na jakiś mój komentarz, kontynuuje:

- Teraz muszę zrobić nowy projekt i dostarczyć go znowu do urzędu. To dość poważna zmiana. Na pocieszenie dodam, że wyjdzie z tego niewielkie poddasze. Dużo mniejsze niż w oryginalnym projekcie, ale jednak. Sęk w tym, że musimy mieć właściwie nowe pozwolenie na budowę. Do tego znowu potrzebuję twoich podpisów. Drugi egzemplarz muszę dostarczyć do hurtowni dachówek, żebyśmy mogli zamówić odpowiednią ilość materiału. A potem pozostaje już tylko czekać.

- O ile wydłuży to budowę?

- Proszę, już się nie wkurzaj.

- Ile?

- Około półtora miesiąca, no, do dwóch.
- Dwa tygodnie.
- Małgośka, to nie takie proste.
- Dwa tygodnie i ani dnia dłużej.

Skąd się we mnie wzięła taka stanowczość?

Wiem, z brzucha.

- Małgośka...

- Tomek, doskonale wiesz, dlaczego mojego limitu czasowego nie da się wydłużyć. Jestem kobietą, nie słońcą, wiesz? A u ludzi ciąży trwają jedynie dziewięć miesięcy. No, chyba że ktoś ludzką samicę strasznie zdenerwuje, to wtedy może urodzić wcześniej.

Uspokoiłam się tylko trochę, ciągle jeszcze we mnie faluje. Tomek chyba też ma dość.

- Pasuję. Zrobię wszystko, co tylko się da.
- I co się nie da też, prawda?
- I co się nie da też.

* * *

Wiosna. Chyba naprawdę przyszła wiosna. Nie tylko zrobiło się cieplej i słoneczniej, ale JA widzę wiosnę i wreszcie ją czuję. Pierwsza moja samotna wiosna od wielu, wielu lat. Samotna do kwadratu. Wczoraj odebrałam z poczty wezwanie na pierwszą rozprawę rozwodową. Stało się, Zbyszek chce usankcjonować swój nowy związek. Jest mi smutno, jeszcze smutniej niż dotąd, ale przecież wiedziałam, że prędzej czy później tak się stanie.

Paradoksalnie ta wiadomość dodała mi siły i wlała w smutne serce odrobinę optymizmu. Skoro coś się kończy, coś innego musi się zacząć, prawda? Życie próżni nie znosi, a ja mam przed

sobą, blisko, na wyciągnięcie ręki, cuda. Radość z nowego domu, prawdziwego domu i cud narodzin.

Jestem szczęściarą.

* * *

Szukam kogoś, kto mógłby mnie wspierać podczas macierzyńskiego. To znaczy, wspierać w pracy. Mnóstwo spraw załatwię mailem i przez telefon, ale jednak nie wszystkie. Czasem trzeba po prostu być na miejscu i tylko tak można zadbać o całość. Nikt z pracowników się do tego nie nadaje. Nie chcą, nie potrafią, nie wiem, może po prostu nie mają predyspozycji. A ja muszę mieć kogoś zaufanego, i to szybko, bo sprawy firmy wymkną się spod kontroli. A o tym wolę nie myśleć - nie chcę szukać pracy obciążona dwójką dzieci i kredytem na nowo wybudowany dom.

Łatwo powiedzieć, zrobić trudniej. Jak mam niby znaleźć kogoś zaufanego? Zaufanie to taki dziwoląg, który buduje się przez lata, a ja muszę przeprowadzić kilka rozmów kwalifikacyjnych i na tej podstawie powierzyć komuś zastępstwo. Będę miała do czego wracać?

Nic to, jakąś decyzję muszę podjąć. Pada w końcu na niejakiego Kazimierza. Nie powiem, całkiem atrakcyjnego.

Facet jest młody i rzutki, troszkę chyba starszy ode mnie. Ma i wykształcenie odpowiednie, i doświadczenie wystarczająco dobre; nie ma na co czekać, zatrudniam go.

* * *

- Powinnaś posadzić zioła w tym swoim ogródku. Skoro już go będziesz mieć, to chociaż niech tam rośnie jakiś szczypiorek i koperek, i może jeszcze bazylia.

Jestem szczęściarą, bo potrafię wyprzedzić myśli Mamusi.

- Tak mamo, już wsadziłam. Resztę ogrodu będę urządzić później, może w przyszłym roku, ale zioła już wsadziłam. Bazylię, zieloną i czerwoną, oregano, rozmaryn i pietruszkę.

- Co, już posadziłaś? Zmarzną ci.

* * *

Trudno, coraz mi trudniej poruszać się z wielkim brzuchem. Mały kopie i wierci się, w nocy tańczy kankana. Do toalety biegam co dwie godziny, czasem częściej. Nie mogę sobie znaleźć miejsca w łóżku, każda pozycja niedobra. Albo uwiera mnie bok, albo ciągnie brzuch, albo nie mogę oddychać, albo kręgosłup łupie. Jeszcze ponad trzy miesiące, ale brzuch już mam wielki i chyba mały też będzie duży.

Niech będzie, jaki tylko chce, byle był zdrowy.

* * *

Czasem sobie myślę, że to niemożliwe. Wszystko wskazuje na to, że rzeczywiście wprowadzę się późną wiosną. Za dwa dni powinna przyjechać dachówka. Moja cudna, ceglasta dachówka. Dwa tygodnie i będę miała dach. Otwory okienne są już częściowo zamknięte, w przyszłym tygodniu wchodzi ekipa od wykończeń. Wybrałam wszystkie płytki, tym razem nie przez internet, a osobiście. Było mi trudno tak długo chodzić, nogi mi spuchły, ale twardo przez cały tydzień objeżdżałam wszystkie pobliskie sklepy z glazurą. Ależ cuda teraz można kupić. Wprawdzie kosztują więcej niż słono, ale naprawdę są ładne. I fajnie poczułam się także z tym, że duża część tych cudnych wyrobów

to polskie produkty. Do kuchni wybrałam nieduże białe płytki, całkowicie matowe, o nierównej fakturze. Zdecydowałam, że nie dodam tam żadnych dekoracji, tylko ta faktura. Do dziecięcej łazienki wymyśliłam sobie kolory pistacjowy i pastelowo pomarańczowy, do tego pomarańczowa umywalka. Długo szukałam takiego zestawienia, ale w końcu upór się opłacił. Znalazłam dokładnie to, czego chciałam. A w mojej łazience zaszalałam. Drobne paseczki, biały z burzowym granatem, lekko wpadającym w szmaragdowy. Dopasowałam kilka rozmiarów płytek o bardzo zbliżonym kolorze i różnym kształcie. Wszystkie kafelki już leżą i czekają na glazurnika, a ja tylko przychodzę, rozkładam je sobie, układam, dopasowuję i wyobrażam sobie, jaka piękna będzie ta moja łazienka. Już mi się podoba. Wybrałam też wszystkie inne materiały i kolory. Podłogi - wszystkie będą drewniane, dębowe. Uwielbiam fakturę drewna, a dąb uważam za najszlachetniejszy. No i farby: wyłącznie kremowe odcienie, ciepłe, waniliowe, ewentualnie z lekką domieszką żółci. Tylko w łazience zdecydowałam się na błękit - będzie pasował do burzowego koloru pasków na glazurze.

Nie może się nie udać. Przeszłam wszystkie kolejne etapy. Mury, rury, inne dziury. Razem z elektrykiem siedziałam nad projektem, zaznaczając, gdzie mają być gniazdko, a gdzie wyprowadzenia kabli do oświetlenia, sufitowego, bocznego, i gdzie wszystkie one mają być włączane. W życiu nie przypuszczałam, że będę potrafiła robić takie rzeczy. A jednak - nie ma nikogo innego, kto zrobiłby to za mnie. W normalnym życiu zajmowałby się tym mąż, ale mój Zbyszek nie jest już mój i na pewno dla mnie tego nie zrobi.

Ciekawe, ile popełniłam błędów? Teoretycznie - nie powinno ich być, przecież wszystko to konsultowałam punkt po

punkcie z elektrykiem, ale cóż, nie wierzę w cuda. Fachowiec tylko zrobi to, co mu każę, z reszty się wykręci, w końcu to nie on będzie tu mieszkał. Cóż, najwyżej światło w sypialni będę zapalać w łazience, a co tam.

* * *

Z ogromnym brzuchem szykuję się do przeprowadzki. A to zadanie wcale nie łatwe. Wprawdzie rzeczy Zbyszka nie ma już w mieszkaniu, ale i tak nie mogę zrozumieć, jak taki mały metraż pomieścił aż tyle. To przy okazji świetny moment na wyrzucenie niektórych śmieci: zepsutych zabawek Cypriana, schowanych do pawlacza na wieczne nienaprawienie, za małych ciuchów, chociaż nadzieja na schudnięcie nie umiera nigdy, i wielu innych fascynujących przedmiotów. Ale okazało się też, że chomikowanie ma czasami i dobre strony. Zawsze śmiałam się z „przydasiów” i „mieciów”, a teraz i przyda się, i dobrze mieć. Szczególnie historyczna już wyprawka Cypriana - za miesiąc będzie jak znalazł.

Właściwie cały nasz dobytek spakowałam, zostały tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Czajnik, kilka talerzy, dwa garnki i patelnia. Niezbędne ciuchy i podstawowe kosmetyki, pościel, ręczniki. Reszta - w pudłach. Ciężkich rzeczy oczywiście nie dotykam, jutro przyjedzie ekipa, która wszystko zabierze na moje odludzie. Co kilka dni przypomina mi się postarzała Stefa Prosowa, ale nie pozwalałam jej zamieszkać w moich myślach.

Zadziwiająca jest to, że nie tylko pomoc teściów okazała się bezcenna, ale też, że ta pomoc jest i wygląda, jakby była oczywista. Teściowa nie zostawiła mnie tak jak poprzednim razem.

Nie wiem, czy tak bardzo tęsknili wtedy za Cyprianem, czy może nie chcą być pozbawieni kontaktu z młodszym wnukiem, czy też wyrażają w ten sposób dezaprobatę dla postępowania Zbyszka. Nie wiem. Oczywiście nie od razu było miło i zgodnie - co to, to nie. Mamusia wredna jest do sześcianu, w piąty mi idzie cztery razy dziennie, ale to nic. Przeprowadzkę zorganizował teść na wyraźne polecenie teściowej. Ze w innym terminie niż prosiłam, to już drobiazg, ale niczego nie pozwolili mi w tym czasie dotknąć.

Tak więc kończę pakowanie swojego życia do kartonów i myślę sobie, że coś się musi skończyć, żeby coś innego mogło się zacząć. Pakuję pudła i wkładam do każdego z nich nadzieję na dobrą przyszłość. Niekoniecznie lepszą. Pewnie trudno będzie ją porównać z przeszłością. Niech będzie od niej inna i niech będzie dobra. Tylko tyle chcę.

Czy można chcieć aż tyle?

Monsoon

Nic specjalnego nie robię, a zmęczona jestem nieprzytomnie. Trzyma mnie w pionie słoneczny taras i widok na las.

No i ogród. W tym roku już go nie urządzę, nie ma mowy, nie dam rady. Próbuję sobie planować ten ogród, jakoś go projektować nawet, ale nie mam sił na realizację projektu, a po porodzie to już i na pewno głowy do tego nie będę miała. Zresztą sadzonki są tak koszmarnie drogie, że raczej i finansowo nie podołam. Muszę podliczyć koszty budowy, może w przyszłym roku będę mogła choć trochę poszaleć w ogrodzie.

Niestety, przyznałam się teściowej do swoich ogrodniczych planów.

- Koniecznie musisz posadzić magnolię.
- Tak, mamo, planuję magnolie.
- Ale musi być ich kilka, bo magnolie są takie ładne.
- Tak, mamo, myślę, że będzie ich kilka.
- Ale wiesz, że magnolie to trzeba okrywać na zimę?
- Oj, to chyba z nich zrezygnuję. - Wcale nie zamierzam z nich zrezygnować, tylko mam dość tematu. - Posadzę raczej takie rośliny, których nie trzeba okrywać, bo potem nie dam rady o nie dbać.

- A wiesz, jest dużo roślin, które trzeba okrywać. Będziesz musiała zatrudnić jakąś firmę ogrodniczą, sama rzeczywiście nie dasz rady.

- Mamo, postaram się dać radę. Nie wiem, czy byłoby mnie stać na firmę do opieki nad ogrodem. Muszę wybrać takie rośliny, których nie trzeba będzie okrywać. W tym roku i tak tylko posieję trawę i posadzę żywopłot od strony drogi, cała reszta w następnych latach.

- A z czego posadzisz żywopłot?

- Chcę cisowy, uwielbiam cięte cisy.

- Och, to fatalny wybór. Cisy, żeby były ładne, trzeba ciąć przynajmniej trzy razy w sezonie, a poza tym są bardzo nieodporne na choroby. Tarczniki je zżerają, i to w ogóle bładziewie jest. Tuje, o, to jest żywopłot. No i powinnaś jakiś świerk posadzić, niech dzieci mają choinkę w ogródku.

- Tak, mamo, planuję świerk.

- Ale chyba nie od frontu?

- Mamo, planuję piękny ozdobny świerk z przodu domu.

- No przecież to bez sensu, świerki to duże drzewa, ocienią ci wejście do domu, znajdź inne miejsce. A tak przy okazji, znajoma, ta sąsiadka, wiesz która, ta Janeczka, ona ma takie piękne roślinki. Ach, jak one pięknie wyglądają. Takie żółte, złote właściwie, po ziemi się płożą, piękne.

Wyciągam katalog z roślinami, pokazuję mamie zdjęcie tojeści rozesłanej.

- O, tak, to to. - Ucieszyła się przez chwilę. - No i pośród tego żółtego ma takie śliczne bordowe, niewysokie, ale z niebieskimi kwiatkami. No pięknie to wygląda, tak razem zestawione, to złote i to bordowe.

- Mamo, może ajuga?

- Nie to, nie to. - Mamusia kręci głową z niesmakiem, jakbym nawet nie potrafiła palcem odpowiedniego zdjęcia wskazać.

- Kwiatki niebieskie się zgadzają, ale liście mają być bordowe, mówiłam przecież.

- Mamo, dąbrówka ma wiele odmian. Ta akurat jest zielonobiała, ale jest też przepiękna odmiana z ciemnymi, bordowymi liśćmi. O, popatrz tutaj.

- A może to i to. No pięknie to razem wygląda.

- A wiesz, mamo, że ja też wymyśliłam sobie kilka takich zestawień. Ciemnobordowe i złote pęcherznice, śliwowiśnie z zielonym grabem płaczącym i żółtym klonem, bordowe żurawia z żółtymi funkiami i czerwony klon palmowy z jaskrawożółtymi wilczomleciami.

- No tak, tak... Ale klony palmowe to trzeba okrywać, wiesz?

* * *

Złamałam dziś paznokiec. Ten nieistotny drobiazg unaoczniał mi, jaką fikcję ostatnio uprawiam. Nie jestem oazą spokoju, chociaż usilnie wmawiam to samej sobie i otoczeniu także. Nadszarpnięty przy pakowaniu paznokiec pociągnęłam zębami, żeby mi nie przeszkadzał. A potem, nie mam pojęcia kiedy, obgryzłam go do krwi. Od kiedy nie obgryzam paznokci? Od czasów nastoletnich, licealnych. Ten paskudny nawyk wraca czasami jako lekkie zniekształcenie któregoś z paznokci, czasami zdarzy mi się gryźć palce na jakimś filmie. I tyle. A dziś? Dziś nieopatrznie pozbyłam się prawie połowy paznokcia. Boli jak złe, ale dusza chyba boli jeszcze bardziej. Może przez tę

dziurę pod paznokciem wyleżą na wierzch moje smutki? A jak już wyleżą to sobie pójdą?

Niech idą i już nie wracają, po co mi one.

Patrzę na ten mój króciutki paznokieć, przyglądam się, jak bardzo nie pasuje do pozostałych, wypielęgowanych palców, i widzę inną siebie. Taką, do jakiej nie chcę się nikomu przyznać.

Idę do łazienki, przyklejam plaster. Jutro w pracy nie chcę tego kawałeczka siebie pokazać. Nikomu.

Pierwsza noc. Jak malutko tych naszych mebelków i wszystkich innych rzeczy. Ledwo je widać w naszym pięknym, nowym, żółtym domu. Zawsze jawił mi się mały biały, a ostatecznie sta-
nęło na ślicznym małym żółtym. Po całym dniu miotania się od jednego transportu do kolejnego wreszcie usiadłam. Na fotelu, który stoi na środku pokoju, to znaczy salonu, na gołej podłodze, jak samotna wyspa pośrodku morza kartonów, pudeł, skrzynek, worków, torebek i czego tam jeszcze. Tu jest oaza, więc wzię-
łam do tej fotelowej enklawy kubek herbaty i teraz patrzę na pobojojwisko z niekłamanym zadowoleniem. Oczywiście, nie dałabym rady bez pomocy teścia, który dzisiaj odsłonił odro-
binę swej prawdziwej twarzy i przemówił ludzkim głosem. Nie do mnie, broń Boże, niczym na to nie zasłużyłam - ale do pra-
cowników firmy transportowej owszem. Dyrygował nimi, jakby przez całe życie nic innego nie robił, wszystko poszło sprawnie i bezboleśnie. Nawet nie wiem, ile to w sumie kosztowało. Co się nasłuchiłam na temat lokalizacji tego miejsca, to moje, ale chyba im też w końcu zaczęło się tutaj podobać. Szczególnie las i możliwość jesiennego grzybobrania, jagodobrania i w ogóle

czerpania z wszelkich dóbr natury. Ja już kocham to miejsce. Jego ciszę, ciemność nocy rozświetlonej wyłącznie gwiazdami i księżycem, bez poblasku miejskich latarni. Pewnie mniej będę kochać odśnieżanie podjazdu, ale skoro przez zimę wybudowałam dom marzeń, będąc świeżo porzuconą kobietą w ciąży, to może i odśnieżanie mnie nie złamie. A co nas nie złamie...

Ciekawe, co mi się dzisiaj przyśni. Podobno pierwszej nocy w nowym miejscu śnią się prorocze sny. Zobaczymy.

* * *

E tam, jestem tak przemęczona, że kompletnie nic mi się ostatnio nie śni. W nowym czy w starym miejscu, nie ma znaczenia, po prostu zapadam w senną nicość. W każdym razie nic nie pamiętam. Cyprian budzi mnie o świcie, podekscytowany domowym nieładem i perspektywą zwiedzania okolicy. Zjadamy prowizoryczne śniadanie i już radośnie klakson oznajmia przyjazd dziadków. Babunia zabiera wnuka na spacer, a teść, teoretycznie pod moje dyktando, rozkłada rzeczy z pudeł.

Jestem zaszokowana. Nigdy nie przypuszczałam, że teść ma własne zdanie. Jakiegokolwiek zdanie! A teraz okazuje się, że owszem, ma, i nawet nie słucha innego zdania! Fakt, że to „inne” jest moim zdaniem, więc rzeczywiście niekoniecznie należy się nim przejmować - ale jednak rzeczy przez nas układane są moimi rzeczami, z których ja mam w przyszłości korzystać i raczej powinnam wiedzieć, gdzie co trzymam... ale może tylko tak mi się wydaje.

Po dwóch dniach takiego rozpakowywania wszystkie pudła są puste, już mniej więcej wiem, jakich i ilu mebli mi brakuje, i kompletnie nie wiem, gdzie co mam. Być może to urok

nowego domu i może jest to sympatyczne, ale udział teścia z jego twórczą inwencją przy rozpakowywaniu jakoś wybitnie nie nastraja mnie pozytywnie. To chyba hormony ciążowe, bo cóżby innego?

Trudno. Z czasem dojdę, gdzie co jest schowane, i nawet poukładam to po swojemu. Będzie dobrze, na pewno, bo i dla czego miałyby nie być.

W końcu jestem szczęściarą.

I naprawdę czasami myślę, że nią jestem. Przecież wybudowanie tego domu to był fart. Chyba z litości wykonawcy budowali mój dom, nie popełniając jakichś wyjątkowych idiotyzmów. Chyba nie mieli jeszcze za klientkę baby z brzuchem i takim oślim uporem. Było prawie jak w *Nigdy w życiu!*. Tylko tam przyjechali górale, a górale to naród porządny; w życiu natomiast na ogół przyjeżdża ekipa-zbieranina, nikt za nic nie odpowiada, każdy zwała na kogoś innego, a robota jest sfuszowana. A u mnie tak nie było. Wykonawca drapał się w głowę, ale ekipę dał dobrą, architekt czuł się odpowiedzialny, od czasu do czasu zaglądał na budowę i doglądał jej pańskim okiem, bo innego męskiego brakowało, a i sami robotnicy mieli litość. Może i tempo budowy miało z tym coś wspólnego, może w styczniu budowlañcy nie mają ochoty na poprawki?

Gdybym miała się z kimś założyć, czy mi się uda, to nie położyłabym złamanej złotówki na stół. Sama nie uwierzyłabym, że jest możliwe rozpoczęcie budowy w październiku i wprowadzka w maju. Bo na zdrowy rozum to nie jest możliwe, ale przecież zawsze zdarzy się ktoś, kto nie będzie wiedział, że to coś jest niemożliwe. I właśnie ten niewiedzący zrobi to, czego teoretycznie zrobić się nie da.

No więc ja nie wiedziałam i dlatego pewnie się udało. Właśnie zamieszkałam w naszym domu, a z architektem się zaprzyjaźniłam. Ma bardzo sympatycznego brata, nawet przystojny dosyć jest, nie powiem. Maciek ma na imię i jest samotny, co pozytywnie mnie do niego nastroja. Jakoś wyjątkowo nie mam ochoty zadawać się z żonatymi. Być może obawiam się, że też zachce im się udowodnić, że żona może być pierwsza, ale mogą być i kolejne, a ja nie mam ochoty odwracać ról. Poznałam, co to znaczy od strony żony, i nie mam ochoty nikomu tego zrobić.

Co ja wymyślam? Maciek to tylko brat mojego znajomego!
Ach, tak tylko, ogólnie, sobie rozmyślam.

Nie poszczęściło mi się z łazienkami. Najpierw nieistniejący na planie pion, który wcale nie jest pionowy, tylko biegnie sobie poziomo, a teraz jeszcze dolna łazienka. Coś się stało z umywalką, nie jestem w stanie dociec co. W każdym razie, z przyczyn dla mnie tajemniczych, pan Paweł, który wykańczał cały mój domek, nie zainstalował owej umywalki, co jest dosyć kłopotliwe. Bez niej ręce trzeba myć w kuchennym zlewie, ani to higieniczne, ani zawsze możliwe. Jeśli akurat przygotowuję jakieś jedzenie, z myciem rąk trzeba biegać na piętro, a teściowie nie mają po piętnaście lat, nie jest im wygodnie. Wiercę więc dziurę w brzuchu panu Pawłowi, w końcu stawiam sprawę na ostrzu noża.

- Panie Pawle, po prostu nie zapłacę panu za resztę prac, jeśli pan nie skończy tej łazienki.

Zainstalowanie umywalki to pikuś, mam mu jeszcze do zapłaty prawie dwa tysiące złotych, może więc taki argument

przekona niesforne go fachowca, żeby jednak poświęcił mi trzy godziny, licząc już w tym dojazd.

Pożądana przez mnie umywalka jest nietypowa - okrągła, a montuje się ją do ściany w uchwycie przykręcanym na trzy wielkie śruby. To istotne i pan Paweł, układając rury w ścianie, dokładnie wiedział, jaka tu będzie wisieć umywalka i jaki jest sposób jej instalacji.

Zaszantażowany pan Paweł stawia się na żądanie, wierci kolejne dziury, przy trzeciej ze ściany tryska fontanna. Jak kot z pęcherzem lata po domu, szukając odpowiedniego zaworu, chociaż przecież sam całą hydraulikę tutaj robił. W końcu zakręca wodę w całym domu i oznajmia zmęczonym tonem:

- No, teraz to ja muszę pojechać do domu po narzędzia. Kto mógł wiedzieć, że ta pie... - spogląda na mnie wilkiem - rurka walnie?

Nie chcę się odzywać, tylko myślę sobie po cichu, że może to właśnie pan Paweł we własnej osobie powinien był przypuszczać, bo w końcu to on jest podobno fachowcem, przezornie jednak milczę. Podobno przezorny zawsze ubezpieczony.

A pan Paweł znika na długi czas.

Po czterech godzinach daremnych prób udowodnienia sobie, że w majowe upały można z małym dzieckiem żyć bez wody, dzwonię do pana Pawełka.

- A nie, ja to już dziś nie przyjadę, samochód mi się zepsuł.
- Pan Paweł głos ma zmęczony i zrezygnowany.

- Panie Pawle, trzeba było powiedzieć, przyjadę po pana.

- A nie, teraz to już nie, bo dziecko muszę z przedszkola odebrać.

- Jak to nie? Ja na pana tutaj czekam!

- Jutro przyjadę.

- Jakie jutro? Ja mam małe dziecko, drugie w drodze, jest piekielny upał, nie mogę żyć bez wody!

- Jutro, pani Małgosiu, jutro.

I pan Paweł się rozłącza.

A mnie rozłączają się wszystkie mózgowy styki.

Dopiero po długiej chwili wyrzucam z siebie syczące i warzące emocje, po czym rozpoczynam poszukiwania hydraulika.

Nikt nie chce przyjechać do takiej drobnej naprawy.

Po piątym telefonie łaskawca z sąsiedniej wsi zgadza się pojechać do nas jutro.

Nie wytrzymam do jutra!

* * *

Upał to mi naprawdę zaszkodził. Na śmierć, na brak wody, zapomniałam, że w ubezpieczeniu mam opcję „assistance”. Taka byłam przezorna. Po kolejnej godzinie dwóch uśmiechniętych panów z dużymi walizami narzędzi wchodzi do mojej łazienki. Po kolejnej godzinie wychodzą, a woda w domu leci z każdego kranu. O dziwo, wyłącznie wtedy, kiedy odkręcę kurek!

I chociaż muszę zamówić ponownie paczkę płytek na ścianę za umywalką, a potem znaleźć kogoś, kto mi załata dziury w ścianach, przyklei nowe płytki i zamontuje wreszcie tę feralną umywalkę, to pana Pawła na oczy więcej widzieć nie chcę.

Chciałabym mieć chociaż poczucie, że na tym zaoszczędzę, ale figę, nie da się. Hydraulicy, płytki, potem ze dwie wizyty glazurnika i na koniec ponownie hydraulik szarpną mnie na porównywalną kwotę.

Pan Paweł oczywiście nie zobaczy już ode mnie ani grosza. Niech mnie gęś kopnie. W razie telefonu poszczuję go

nieposiadanymi psami, podam do sądu i wystawię ośmieszonego na widok publiczny. Ewentualnie będę przypalać żywcem nad wielkim ogniskiem. Albo wymyślę coś jeszcze innego, może nawet bardziej oryginalnego, ale złotówki mu już nie zapłacę.

Przezorny. Co to dzisiaj oznacza?

* * *

Mieszkamy tu już prawie trzy tygodnie i Cyprianowi bardzo się podoba. Poznał nowych kolegów, nie jest tu takie straszne odludzie, jak to się teściom do tej pory wydawało. I chociaż teściowa ciągle narzeka, że daleko, że pod oknami nie ma latarni, że do sklepu trzeba jechać samochodem, bo piechotą to się można zmęczyć, to chyba jej też się tutaj podoba. Kilka razy już tu zanocowali, ale specjalnie mi to nie przeszkadza, bo mam dwie pełnowymiarowe łazienki i cztery pokoje, i salon, i jadalnię, i dużą kuchnię. I wymarzony, wielki taras. Kiedy teściowie nocują, znikają w jednym z pokoi, a ja mogę spokojnie ułożyć Cypriana do snu i mam dla siebie wolną przestrzeń, dużo wolnej przestrzeni. Moszczę się z wielkim brzuchem na wygodnym leżaku, otulam się kocem i patrzę w gwiazdy. Rozmyślam o tym, co będzie dalej. Za dosłownie chwilę Kamil pojawi się na świecie. Będę chyba jedną z nielicznych na porodówce, której nikt nie będzie towarzyszył w szpitalu. Ten wielki dzień będzie tylko mój i Kamila.

Cyprian przenocuje u dziadków, a ja znowu zostanę sama.

I znowu muszę dać sobie radę.

Ale przecież poradzę sobie, w końcu jestem szczęściarą.

Im dalej, tym lepiej. Urodziłam Cypriana, z tygodniowym opóźnieniem urodziłam i Kamila. Jest cudowny. Uśmiecha się niemal na zawołanie, już sam fakt, że rano otwiera oczka, prowokuje go do uśmiechu. Czasem tylko w nocy zaciskam zęby; byłoby mi jednak trochę łatwiej, gdyby razem ze mną ktoś wstawał do małego, ale cóż, nie ma nikogo takiego. Teściowie przyjeżdżają, a jakże, i opiekują się Cyprianem. Bardzo mi pomagają, teść zabiera małego do przedszkola, teściowa gotuje obiady. Kamil i sprzątanie są na mojej głowie. Taki banał dnia codziennego, od którego czasami boli kręgosłup, a głowa ze zmęczenia odpada, dostaje nóg i sama wędruje na poduszkę. Tułów w tym czasie dalej sprząta. Na razie karmię jeszcze małego piersią, to wygodne szczególnie w nocy. Nie muszę nigdzie biegać i szykować mu mleka, wystarczy przytulić.

Minęło lato; jesień na wsi, na skraju lasu jest kolorowa jak pokaz mody. Barwy wibrują, liście szeleszczą, ziemia pachnie. Dzieci rosną, a teściowie ciągle pomagają. Z teściową rozmawiam. O czym? Nie wiem. O czym można rozmawiać z teściową?

* * *

Codziennie ustalam sobie plan zadań na następny dzień.

Na jutro wygląda tak:

- 1) umyć podłogę w obu łazienkach

- 2) zdjąć i uprać pokrowiec z podnóżka
- 3) uprać czarne ciuchy - kończą się czyste spodnie dla Cypriana!
- 4) odkurzyć wnąkę na pościel i schować tam letnie kołdry (dlaczego jeszcze tego nie zrobiłam? Jest koniec października!)
- 5) schować karton po nowym odkurzaczu na poddaszu, potykam się o niego od tygodnia
- 6) znieść z poddasza nowe ciuszki niemowlęce dla Kamilka plus ciuszki po Cyprianie, drugi karton
- 7) umyć wszystkie drzwi wewnętrzne
- 8) odkurzyć dywan. Może powinnam pomyśleć o nowym? Ten pamięta czasy narzeczeńskie!
- 9) posegregować prezenty świąteczne oraz wymyślić prezent dla teścia (portfel? a może jakaś książka?)
- 10) wprowadzić poprawki w pliku z planami sprzedaży na następny kwartał
- 11) sprzątnąć przedśionek, w tym czapkę polarową Cypriana tak, żeby teściowa jej nie znalazła; jest na niego za duża, będzie w sam raz w przyszłym roku
- 12) jutro na śniadanie jajecznicę. Czy mam dość jajek?
- 13) zupa warzywna - kupić włoszczyznę
- 14) obiad - carbonara, mam wszystkie składniki, tylko makaronu muszę więcej ugotować, żeby starczyło na sałatkę na kolację
- 15) kolacja - sałatka brokułowa z makaronem - kupić brokuły
- 16) zmienić pościel
- 17) wreszcie odmoczyć pięty
- 18) posegregować pranie na górze

19) kupić teściowej herbatę miętową, narzeka ostatnio na bóle brzucha.

Na koniec codziennie mam wrażenie, że powinnam zaliczyć jeszcze kurs latania na miotle. Ewentualnie opanować sztukę „wsadzę sobie jeszcze miotłę w d...”, to pozamiatam przy okazji”.

* * *

W przyszłym tygodniu wracam do pracy. Niby nie muszę, teoretycznie mogłabym jeszcze pobyć w domu, mam ciągle trochę niewykorzystanego urlopu, ale po rozmowie z Robertem wiem, że albo wrócę teraz, nawet na niepełen etat, albo nie będzie dla mnie miejsca w firmie. Przygotowania idą pełną parą. Już dwa razy zostawiałam Kamila pod opieką babci na dłużej niż cztery godziny. Był dzielny, z butli pociągnął ze zdziwieniem, ale z dobrym skutkiem. Najadł się i spał jak suseł. Nawet nie zauważył, że mnie nie ma. Ściągam pokarm, mrozę, nastawiam się psychicznie. W pracy sezon przed nami. Listopad i grudzień to zawsze w handlu są żniwa; roboty jest huk. Mam nadzieję, że Robert dotrzyma słowa i będę mogła regulować sobie czas pracy. Koniecznie chcę jeszcze przez jakiś czas karmić Kamila naturalnie, inaczej będę wyglądać jak cień samej siebie. Wystarczy tydzień regularnych nocnych podróży do kuchni po butlę z mlekiem i przestanę funkcjonować.

Lubię swoją pracę. Płacę teraz wprawdzie za te kilka miesięcy nieobecności, ale ją lubię. Kazimierz błyskawicznie pokazał, jaki jest dobry. Nie miał najmniejszego zamiaru słuchać moich zdalnych poleceń, robił swoją krecią robotę i szybko przekonał Roberta, że z powodzeniem może mnie zastąpić całkowicie, a nie tylko na pewien czas. Robert niby próbował ze mną

o tym porozmawiać, rzeczywiście kiedyś nawet zadzwonił, ale w sumie nie było okazji do spotkania, a czas uciekał i jakoś tak samo... i tak się samo stało, że mianował Kazimierza dyrektorem handlowym, czyli powierzył mu moją funkcję. Było dosyć niezręcznie, kiedy to do mnie dotarło, a zrobiło się jeszcze bardziej niezręcznie, gdy wróciłam do firmy. Kazimierz nadrabiał miną, że niby to nic, przecież to nie jego wina, ja uśmiechałam się szeroko z twardym postanowieniem „nie dam się”. I tak cięcha wojna trwa, chociaż już ciut zmieniły się nasze pozycje. Mój następca oddał mi mój poprzedni pokój, stanowczo tego zażądałam. W naszym biurze nie ma w tej chwili miejsca na drugi samodzielny gabinet, mamy za mało powierzchni. Kazimierz jest wściekły choć stara się tego nie pokazywać, co mu zupełnie nie wychodzi. Odzyskałam więc swoje krzesło, siedzę i dumam. Co teraz powinnam zrobić? Muszę wymienić sekretarkę, to na pewno. Coś nie ma to stanowisko szczęścia. Moja pierwsza sekretarka nie przetrwała rządów Kazia, złożyła wypowiedzenie. Aktualna asystentka jest wprawdzie śliczna i parzy przepyszną kawę z pianką, ale poza tym donosi Kazimierzowi o każdym dokumencie, jaki powstaje z mojego polecenia. Muszę mieć pewność, że będę miała do pomocy lojalnego współpracownika - czyli muszę wymienić obecną sekretarkę.

Co za dziwny układ się wytworzył. Czy to zawsze tak jest, że jak już opadnie kurz po walce i widać pierwsze osiągnięcia, to ludzie zaczynają sobie udowadniać, kto jest ojcem sukcesu? Nie ma już ducha wspólnej troski o to, jak się sprawy potoczą; każdy ciągnie w swoją stronę i dowodzi, że to wszystko jego dzieło i że bez niego to w ogóle nic, kaplica po prostu.

O nie, w życiu. Nie pozwolę sobie wmówić, że porażka jest rodzaju żeńskiego.

Tak więc najpierw - sekretarka. Potem wizyty u wszystkich klientów. Trochę tego będzie, muszę dobrze rozplanować czas. A może uda mi się tak to zrobić, żeby zabierać Kamila ze sobą? Teściowa pojechałaby wtedy ze mną, a ja mogłabym nawet nocować poza domem, w ten sposób będę mogła odbyć dwie, może nawet trzy wizyty dziennie. Szybko wtedy wróciłabym na tory prowadzące na stację „jestem w branży”. No i rozmowa z Robertem. Koniecznie szczerza i w takich warunkach, żebym mogła powiedzieć mu wszystko to, co myślę.

Niech będzie, plan zadań ustaliłam, pora przystąpić do realizacji.

* * *

Kamil pięknie je z butelki, ale potem do końca dnia denerwuje się, jak podaję mu pierś. Z butelki chyba łatwiej mu się ciągnie, dopiero noc przynosi zapomnienie, zapach mleka i moje ciepło oraz otulina snu powodują, że pierś jest dla niego ziemią obiecaną. Ssie, przytula się, zasypia. Wypracowuję więc mechanizmy obronne - rano, przed wyjściem do pracy, karmię go dwa razy, w dzień mama daje mu zupkę warzywną, po pięciu godzinach jestem z powrotem i wracamy do piersi. Robert przystał na to pod warunkiem, że robota będzie zrobiona, co dla mnie oznacza wieczorne siedzenie przy komputerze, ale to nic. Sama ustalam, kiedy przy nim usiądę; najpierw kładę i tulę Cypriana, czytam mu do snu bajkę, potem budzi się Kamil, kąpię go, karmię i układam do snu. Potem sama się myję i siadam do maili. Na koniec zasypiam, czasem w łóżku, czasem na klawiaturze komputera.

Jakoś funkcjonujemy, chociaż zdarzyło się dwa razy, że musiałam zostać w pracy dłużej i Kamil dostał butelkę. Nie chciał potem ssać piersi, był głodny i wył, ja też wyłam, bo mnie bolały przepełnione piersi. Dlatego też codziennie spieszę do domu jak tylko się da, byle uniknąć kolejnego podawania Kamilowi butli.

Wpadam więc do domu, dzisiaj dziesięć minut później, bo w mieście były okropne korki. Wpadam i widzę Mamusię podającą butelkę Kamilowi.

- Mamo, nie karm go, już myję ręce! - I lecę w te pędy, porzucając w pośpiechu torebkę i gubiąc szalik na korytarzu.

Zza drzwi łazienki nie słyszę odpowiedzi.

- Ale już zrobiłam mleczko, ono takie ciepłutkie, prawda, Kamilciu?

Kiedy wychodzę, Kamil właśnie kończy swoją porcyjkę sztucznego mleka, z błogością zamyka oczka, Mamusia też z błogością patrzy w moje oczy. Duma rozlewa się w jej uśmiechu, ja nie mam nawet siły powiedzieć, co myślę. Wyciągam bez słowa laktator, idę na mój piękny taras. Milczę.

Nie mogę teraz walczyć z mamą. Muszę skupić się na Kaziku, to będzie trudna gra. Facet nie chce uznać faktu, że jestem jego szefem, poza tym jest rzeczywiście trzy lata ode mnie starszy, no i jestem kobietą. Fatalny zbieg okoliczności. Jeszcze nie wiem - dla niego czy dla mnie.

Przy wyborze nowej sekretarki dopisuje mi szczęście. Malwina, moja przyjaciółka jeszcze z czasów studiów, wpada do mnie na krótkie pogaduchy. Miałyśmy długą przerwę - nie widziałyśmy się ze trzy lata. Malwina była w rozjazdach, życie jej się trochę skomplikowało, wyszła za mąż za Holendra, ale nie powiodło jej się w małżeństwie. Na szczęście dzieci nie mieli, więc udało jej się w miarę bezboleśnie rozwieść, lecz nie miała w tym

okresie ani czasu, ani ochoty, żeby się z kimkolwiek spotykać. Raz na dwa, trzy miesiące dzwoniła tylko, żeby powiedzieć, że jeszcze żyje i się nie da, i nic więcej mówić nie chciała. Wróciła do Polski, ale się tym nie pochwaliła. Mocno to przeżyłam, zastanawiałam się już nawet, czy nasza przyjaźń jeszcze istnieje? To byt przezroczystry jak koronka, z przyjaźnią delikatnie trzeba się obchodzić, inaczej pękają jej nitki. A koronki nie da się tak pocerować, żeby nie było śladu, nawet artystka igły, hafciarka, zostawi widoczny ślad.

Ale jednak przetrwałyśmy. Kiedy Malwina okrzepła na starych polskich śmieciach, kiedy poukładała swoje życiowe sprawy na odpowiednich półkach i kiedy wpadłyśmy sobie w ramiona, czas się cofnął. Znowu miałyśmy po dziewiętnaście lat i po raz pierwszy nieśmiało uśmiechałyśmy się do siebie pod sekretariatem wydziału, czekając na wywieszenie listy przyjętych. I znowu uczyłyśmy się do pierwszej sesji, popijając dla kurażu lekkie wino od wujka Malwiny, które było zdradliwym, młodym winem. W naszych nienawykłych do procesów fermentacji żołądkach ów niewinny trunek wywołał zamęt i rewolucję, a egzamin zdałyśmy chyba dzięki litości wykładowcy. Całe szczęście, że był ustny, pisemnego nigdy w życiu byśmy nie wybroniły. Raptem, w okamgnieniu zrobiło się tak, jakby w naszym życiu nie było żadnych przerw, całe spędziłyśmy razem, i tak właśnie było dobrze.

No i moja Malwina opowiedziała mi o swojej kuzynce, która szukała pracy... i tak dalej, a że dziewczyna lubiła być sekretarką i potrafiła nią być, i jeszcze przypadłyśmy sobie do gustu, to problem rekrutacji miałam z głowy. Martwiłam się bardziej, co zrobić z aktualną sekretarką Kazimierza, ale ten problem rozwiązał się sam.

Kazik uznał, że bardzo mi dokuczy, jeśli napuści swoją asystentkę na mnie - chciał mi zrobić kłopot, pozostawiając mnie z dnia na dzień bez sekretarki. Dziewczyna w piątek przyszła z wymówieniem, mogłam się na nie nie zgodzić, ale z ulgą podpisałam dokument, w którym prosiła o rozwiązanie umowy za porozumieniem stron ze skutkiem natychmiastowym.

Nikt w biurze nie rozumiał, z czego się tak cieszę, bo nikt nie wiedział, że w poniedziałek przyjdzie inna sekretarka, i to było pierwsze z serii moich drobnych zwycięstw nad Kazimierzem.

Wizyty u klientów przebiegały sprawnie, wprowadzie o podróży teściowej ze mną nawet mowy nie było, ale udawało mi się tak ustalić plan spotkań, żeby odbywać po dwa dniennie i wracać wieczorem do domu. Wszyscy klienci rozumieli sytuację młodej mamy, dopasowali się do moich propozycji terminów i godzin spotkań, a kilku nawet przyjechało do mnie do biura. Na szczęście Kamil podrośł już na tyle, że może jeść coraz więcej różnych smakołyków, marchewkę, ziemniaczki i dynię, nawet trochę mięska, nie muszę się już martwić laktatorem. Tylko w nocy przytula się do mnie i słodko składa usta. Bardziej chyba się pieści, niż pije, ale obojgu nam sprawia to przyjemność, więc niech sobie cycka.

Robert, pozostaje Robert.

W końcu udaje mi się umówić z nim na spotkanie w warunkach, które uznaję za odpowiednie. Przyjeżdżam do siedziby jego macierzystej firmy. Do tej pory byłam w tym gabinecie tylko trzy razy. To właściwie nie jest gabinet, tylko pokój przyjęć. Nie od przyjęć interesantów, tylko od przyjęć - libacji, taki jest wielki. Obliczony jest chyba na to, żeby wchodzący musiał przejść do Roberta długą drogę, żeby miał czas skruszeć i zadać sobie z właściwą mocą pytanie: co ja, maluczki, w tak wielkim świecie, tutaj, robię?

Jestem tak skupiona na swoim celu, że tym razem po prostu nie zauważam oznak wielkości Roberta. Po pierwszej godzinie naszego spotkania Robert informuje sekretarkę, że zebranie pracowników ma się odbyć bez jego udziału. Po drugiej godzinie naszego spotkania Robert każe sekretarce odwołać wszystkie dalsze plany na ten dzień. Po trzech godzinach naszego spotkania wspólnie wychodzimy na lunch.

Uśmiechamy się, chyba nawet szczerze.

- Obawiam się, że Kazimierz może unieść się honorem.
- To nie byłoby dobrze.
- Byłabym wręcz niezadowolona. Okazał się nielojalny wobec mnie, ale jako pracownik ma wiedzę i umiejętności cenne dla firmy.
- Małgosiu, ustaliliśmy już, nie wtrącam się.
- Tak, Robercie. Ale nie ustaliliśmy jednej rzeczy. - Dzisiaj ja stawiam.
- Nie ma mowy. Jestem pod tym względem starej daty. Kiedy idę z kobietą do restauracji, ja płacę.
- Nie idziesz dzisiaj do restauracji z kobietą. Dzisiaj idziesz do restauracji z wiceprezesem najdynamiczniej rozwijającej się twojej spółki.
- Pas. Jesteś niezwykła. Dla ciebie po raz kolejny złamię swoje zasady.

* * *

Od tego momentu moja doba ma co najmniej trzydzieści sześć godzin, czasem trochę więcej. Kocham moje dzieci, kocham moją pracę, kocham moje życie.

Czego chcieć więcej?

Nie lubię telefonów po godzinie dwudziestej drugiej.

- Pani Stankowska?

Nie zmieniłam nazwiska po rozwodzie.

- Tak.

- Małgorzata Stankowska?

- Tak. O co chodzi?

- Czy jest pani spokrewniona ze Zbigniewem Stankowskim?

- Kto mówi?

- Czy...?

- Tak. O co chodzi?

- Pan Zbigniew miał wypadek. W jego dokumentach znaleźliśmy pani imię i nazwisko wraz z numerem telefonu.

- Jaki wypadek? Gdzie jest Zbyszek? Co się stało?

- Czy może pani przyjechać do szpitala?

- Już jadę. W jakim stanie jest Zbyszek? Czy jest przytomny?

- Czy to jest pani mąż?

W tym momencie nie pamiętam o rozwodzie.

- Tak. Co z nim?

- Pani mąż nie żyje.

* * *

Jadę do szpitala.

Jestem w kostnicy.

Podtrzymuję teściową.

Nic nie pamiętam.

Coś mówię.

Ktoś czegoś ode mnie chce.

* * *

Świat wywrócił się do góry nogami i stanął na głowie, na mojej głowie. Wiedziałam, że jestem jego jedyną podporą i cokolwiek się stanie, nie mogę dać się złamać.

* * *

Trzymam w rękach rzeczy Zbyszka. Jego sprawy, niedokończone, chciane, potrzebne. Patrzę na nasze wspólne zdjęcie. Cyprian, Zbyszek i ja śmiejemy się do obiektywu. Jesteśmy we trójkę nad morzem, Cyprian ma niecałe trzy lata. Nie ma w Zbyszka portfela zdjęcia jego aktualnej kobiety.

Oglądam jego sprawy i czuję się jak intruz. Sprawy, które trafiły w moje ręce, a które nie są moje.

* * *

Późnym wieczorem Cyprian pyta mnie zdezorientowany, co się stało tacie.

- Synku... - Nie wiem, co powiedzieć, nie umiem, nie potrafię. Jak mam to wytłumaczyć pięciolatкови?

- Ale czy tata czuje się już dobrze?

Nie mogę milczeć, mały potrzebuje teraz jakichś wyjaśnień.

- Nie, synku, nie czuje się dobrze.

- A kiedy pójdziemy do szpitala?

- Nie pójdziemy...

- To kiedy tata przyjdzie do nas?

- Synuś, tata już do nas nie przyjdzie.

- Nie lubi nas już, prawda?

Płaczemy razem. Cyprian z żalu, ja z bezradności, oboje ze smutku. Nie mam dość słów, mogę go tylko przytulić.

* * *

Zorganizowałam pogrzeb. Nie mogłam kazać zrobić tego matce. Matka nie może chować swojego dziecka, tak nie powinno być.

Zorganizowałam więc pogrzeb i nie pozwoliłam teściowej niczym się zajmować. Może to źle. Nie wiem. Nie zawaliłam w pracy ani jednej sprawy, bo przecież cały świat właśnie oparł się na moich barkach. Teść odbierał Cypriana z przedszkola i nauczył się karmić Kamila.

Na pogrzeb przyleciał z Australii brat Zbyszka. Przyleciał do Polski na cztery dni, został dwa tygodnie. O całe dwa tygodnie za długo. Nie było rzeczy, która by mu odpowiadała. Pogrzeb źle zorganizowałam, trumna była za uboga - powinna mieć więcej zdobień, stypa była zbyt skromna. A poza tym w moim domu nie ma złotych klamek, więc jest nędzny, a z biedotą to on się zadawać nie będzie.

Nie mam siły z nim dyskutować. Wszystko dzieje się u mnie, w moim małym żółtym. Teściowa nie chce wracać do siebie. Tam jest jeszcze bardziej pusto, u mnie Zbyszka nie ma od jakiegoś czasu - u niej nie ma go podwójnie.

Na pogrzeb przychodzi brzemienna nowa kobieta Zbyszka. Nie zazdroszczę jej. Ani to żona, ani rodzina, ani jeszcze nie matka jego dzieci. Wierzę, że go kochała, ale na tym pogrzebie musi czuć się nie na miejscu.

Ja też czuję się nie na miejscu. Tutaj nikt nie jest na swoim miejscu. Teść też nie jest na swoim miejscu, a nawet nie na

własnych nogach. Z garstką ziemi w dłoni osuwa się na skraj wykopanego dołu, ziemia osypuje się na trumnę, ale garstka w dłoni pozostaje.

Nie przysypał trumny syna ziemią.

Żaden rodzic nie powinien być na to skazany.

Żaden.

Ojciec Zbyszka szybko i bezboleśnie umiera na zawał na skraju grobu syna.

Tydzień później to samo grono spotyka się na kolejnym pogrzebie.

Ten pogrzeb też źle zorganizowałam, ale nie chciał tego zrobić nikt inny.

* * *

Pracuję, pracuję, pracuję.

Nie mogę przestać, nie chcę przestać.

Nie jestem ze Zbyszkiem już od tak dawna, a ciągle jest dla mnie tak ważny. Czy dlatego, że nie żyje?

Czy dlatego, że żyję z jego matką?

* * *

Moja samotnia, mój mały żółty jest teraz pełen ludzi. Mieszkam w nim z dwójką dzieci i z teściową. Z Mamusią. Kim ona dla mnie jest? Już przecież nie jest teściową, a jednak zamieszkała ze mną. Nie chciała zostać w pustym mieszkaniu, nie jeździ na działkę. Mieszka u mnie i w przerwach pomiędzy gotowaniem i pilnowaniem dzieci narzeka.

Jest zatem chyba mamą?

Mamą...

Jest mi taka obca, a tak bliska. Jest mi utrapieniem i podporą. Załamuje mnie i nie pozwala mi upaść.

Tak, jest mamą. Mamą, której nie poznałam i której nie pamiętam. Przysparza mi zmartwień i dostarcza radości, wyręcza mnie i sprawia kłopoty. W odróżnieniu od mojej prawdziwej matki, która ofiarowuje mi wyłącznie wyblakłe wspomnienia.

Ja nie narzekam. Pracuję, wracam do domu i dalej pracuję, sprzątam, bawię się z Cyprianem, doglądam Kamilka.

* * *

- Idź z małym do lekarza, ma krzywe nóżki, zadbaj o to dziecko.

- Te lampki, co to kazałaś je zamontować w niebieskim pokoju, nie pasują do siebie. Kto to widział srebrne kinkiety wiesz przy drewnianym żyrandolu?

- No wiesz, wnuki ciotki Mariolki, te to są grzeczne, tak, tak... Cyprian to dzisiaj znowu nie chciał się ubrać w przedszkolu, wiesz?

- Ile można pracować? O dom to trzeba dbać, moja droga. Ja zawsze...

Nie słucham, potakuję. Uśmiecham się. Na razie tylko ustami, duszę mam jeszcze wietrzną. W Indiach występuje pięć pór roku. Monsun - tej właśnie brakuje mi w naszym kalendarzu. U mnie panuje monsun zimowy. Wieje suchy i zimny wiatr, który nie przynosi urodzaju.

W pracy Kazimierz nie chce się zwolnić, kłócimy się codziennie. Robi swoją robotę, ale co i rusz podkłada mi jakąś świnię. Powtórka z Jolki w mniej prostackim wydaniu.

Dochodzę do filozoficznego wniosku, że wszystko się niby zmienia, a naprawdę zostaje takie samo. Tylko powłoka ulega lekkiemu zniekształceniu, jądro jest niezmienne. Nasz świat, mój świat styka się z tyloma innymi światami. Część z nich jest mi bliska, części nawet nie znam, a z niektórymi się borykam. Tak było, jest i pewnie będzie aż do końca.

Kiedy będzie koniec? Jaki będzie koniec? Co będzie końcem?

Nie wiem, oczywiście. Nikt pewnie nie wie. Chcę tylko być szczęśliwa. Żyć w wiecznym lecie i nie martwić się zmianami pogody.

Kłęczę przy rabacie z piwoniami i patrzę na ścianę lasu za domem. Las jest piękny, dostojny, spokojny, wyniosły i przyjazny zarazem.

- Gosiaaaaa!!!! Cyprian znowu bije Kamila!

Rzucam haczkę, truchtem zmierzam do domu. Tak jest dobrze. Musi być dobrze.

Monsoon letni

Zapomniałam. Zupełnie o tym zapomniałam. Istnieje jeszcze coś takiego jak monsun letni. Przynosi ze sobą ciepły wiatr i wilgoć, tak potrzebną roślinom do życia. Przynosi ze sobą obfitość i żyzność, urodzaj i powodzenie. Kiedy u mnie rozpocznie się monsun letni?

Cyprian z Kamilem bawią się w ogrodzie. Dopiero od niedawna mam możliwość zostawienia ich na chwilę samych. Kamil właśnie skończył półtora roku i porusza się na tyle pewnie, że nie boję się spuścić go z oka. No i Cyprian wreszcie przestał być o brata histerycznie zazdrosny. Myślę, że śmierć ojca wywołała u niego paniczny lęk przed porzuceniem i zazdrość o każdą chwilę mego czasu poświęconą komukolwiek innemu. Do niedawna, kiedy karmiłam Kamila, to nieodmiennie na drugim moim kolanie siedział Cyprian. A jeśli, nie daj Boże, bawiłam się z Kamilem na dywanie, to Cyprian zniechęca potrafił wskoczyć mi na plecy. W ramach „zabawy” tak na niby mnie straszył, przy okazji „niechący” kopiąc brata lub przynajmniej trochę go szturchając. Rzucanie kapciem przestało na nas robić wrażenie po trzecim razie, w końcu kapeć to przedmiot miękkiej i specjalnej krzywdy zrobić nie może.

Ale od kilku tygodni jest lepiej. Cyprian dostrzegł w bracie potencjalnego towarzysza zabawy i chociaż jeszcze nieśmiało, to jednak zaczęły się wspólnie podejmowane próby zawiązania braterskiej więzi. Od czasu do czasu mam więc chwilę dla siebie, nie za długą, ale wystarczy, żeby na przykład wykapać się bez stresu.

Pod prysznicem, oczywiście, nie zapędzajmy się. Wanna ciągle nie jest dostępnym mi zbytkiem.

Przekonana, że mama siedzi na tarasie i dogląda chłopców z daleka, wbiegam na górę. Mam zamiar nie tylko zażyć rozkoszy prysznica, ale także luksusu włączenia pralki i rozłożenia poprzedniego prania do szaf.

Wpadam do pralni, układam, sortuję, odmierzam proszek, wszystko naraz. Czasem zastanawiam się, jak to jest, że takie czynności wykonujemy właściwie automatycznie, nie zastanawiając się nad poszczególnymi gestami - a i tak mają jakąś spójność i ich cel zostaje skutecznie zrealizowany. Proszek wsypany do właściwej komory, ustawiona odpowiednia temperatura prania, a rzeczy poukładane we właściwe miejsca. Wiem, że nie tylko ja nie pamiętam, kiedy i co dokładnie zrobiłam, a efekty się zgadzają. Chodzące domowe roboty. Oto, czym jesteśmy.

Tak sobie twórczo rozmyślam w trakcie domowych czynności. Ze stertą rzeczy na ręku wchodzę do kolejnych pomieszczeń. Rzeczy Cypriana do szafy po prawej stronie, ubranka Kamila po lewej stronie. Pościel chłopców na górną półkę. Moje rzeczy w garderobie, bielizna do szuflad... i tak dalej. Nie zastanawiając się, wchodzę do pokoju teściowej, podchodzę do szafy i zatrzymuję się jak niepyszna. Intymność tej sceny peszy mnie, wychodzę onieśmielona, ale rychło wracam.

- Mamo, co się stało?

Teściowa siedzi na kanapie, trzyma w ręku prawą pierś i ma łązy w oczach.

Milczy.

Rzeczy leżą zapomniane na podłodze, porzuciłam je w zastydzeniu, chłopcy krzyczą w ogródku, bawią się w berka, w którym Kamil jest bez szans.

Ja też teraz jestem bez szans na powiedzenie czegokolwiek. Po raz pierwszy w życiu z własnej i nieprzymuszonej woli po prostu przytulam teściową. Obejmuję ją całą szerokością swoich ramion, a ona, pomimo swojej pulchnej postury, wydaje mi się w tej chwili drobna i krucha.

I nic nie mówimy, najłatwiej wytłumaczyć to tym, że nie ma po co. Ale tak naprawdę po prostu nie wiemy, co powiedzieć. Nie umiemy nic powiedzieć.

Uświadamiam sobie ze zdumieniem, że przez tyle lat wymieniałam z moją teściową komunikaty na najróżniejsze tematy, przede wszystkim dotyczące dzieci, poza tym domu. Nigdy, ale to nigdy, nie rozmawiałyśmy ze sobą. Żyjemy pod jednym dachem, a zupełnie się nie znamy.

Znak czasów czy nasza osobista cecha?

Chciałabym to zmienić, naprawić - nie potrafię. Dzwonię więc do szpitala, umawiam mamę na wizytę.

Zachowuję się jak ten mąż, któremu psychoterapeuta poradził, aby - w celu uzdrowienia relacji małżeńskiej - okazał swojej żonie, jak bardzo ją kocha. W najbliższą niedzielę mąż umył jej samochód.

Ja też myję samochód dla teściowej i czystym odwożę ją na badania do szpitala. Zostawiam dzieciaki u sąsiadki, zaciągam w ten sposób dług u lokalnej plotkarki, ale tylko ona podejmuje się trzygodzinnej opieki nad moim przychówkiem.

Udaje mi się wejść z mamą do gabinetu. Pielęgniarka mierzy mnie surowym wzrokiem; podchodzę do niej, zanim zaczyna zadawać pytania. Cichutko mówię kilka zdań, przebijają z nich tylko „synowa”, „nie żyje” i „jedyna”, po czym smutna siostra pozwala mi zostać.

Na szczęście, bo mama nie potrafi nawet porozmawiać z lekarzem. Płacze niemo, to najbardziej bolesny z bolesnych krzyków.

Rak jest w średnim stadium zaawansowania. Bywają gorsze, ale stan mamy jest poważny. Lekarz od razu umawia mamę na zabieg.

Nie na zabieg, tylko na operację. A jeśli byłby gorszy, to znaczy - nieoperowalny. Tyle dowiaduję się wieczorem w domu, z netu. Dzieciaki śpią, mama też. Dopiero teraz dociera do mnie, co tak naprawdę oznacza słowo „poważny” w kontekście stanu teściowej.

Oznacza, że moje dzieci za chwilę mogą mieć już tylko mnie.

A w najlepszym razie oznacza miesiące terapii, naświetlań, chemii.

I bez względu na scenariusz, oznacza dla nas wszystkich miesiące cierpienia.

* * *

Letni monsun, też mi coś. Naczytałam się poezji.

* * *

Operacja przebiega pomyślnie. Teściowa wychodzi ze szpitala po tygodniu. Nie ma prawej piersi, nie może ruszać ręką,

a co gorsza - nie chce ruszać ani tą ręką, ani niczym innym. Lekarz mówi mi, że jeśli nie odzyska woli życia, to żyć nie będzie.

I tak całe nasze życie przenosi się do pokoju teściowej. Chłopcy bawią się u niej, a skutki ich prywatnej terapii z dnia na dzień są coraz bardziej widoczne. Mama nie może wprawdzie grać z nimi w piłkę, ale może budować wieże z klocków i układać puzzle. Donoszę więc coraz to nowe i wymyślniejsze manualne zabawki i coraz częściej słyszę z tego pokoju radosny śmiech. Sama też przebywam tam jak najwięcej, nie tylko dlatego, że chcę побыć z chłopcami jak najdłużej. Także dlatego, że jest to po prostu najradośniejsze miejsce w naszym domu.

Codziennie przychodzi do nas pielęgniarka. Mijam się z nią w drzwiach - ja do pracy, ona do domowych obowiązków. Ja wracam do domu, ona kończy dyżur. Fajna nam się trafiła dziewczyna. Jej usługi są kosztowne, całe szczęście, że mam angielskie źródło dochodu, moja pensja nie wystarczyłaby na utrzymanie czteroosobowej rodziny, spłatę kredytu, kosztowną kurację mamy (nawet nie wie, ile kosztują te leki, i nie mam zamiaru jej o tym mówić) i jeszcze prywatną pielęgniarkę.

Radzimy sobie z dnia na dzień coraz lepiej.

Wczoraj mama po raz pierwszy sama przygotowała śniadanie. Pajdy chleba miały po dwa centymetry, ale posiłek był pyszny. Serdeczny.

Dzisiaj wykupiłam nam wycieczkę do Hiszpanii. Lokatorzy domu po cioci wyjeżdżają na dwumiesięczne wakacje - w podróż życia dookoła świata. Możemy przez ten czas korzystać z domu i południowego słońca. Ustalam z Robertem, że w październiku wykorzystam cały swój zaległy urlop. Przez miesiąc będziemy się byczyć, kąpać w morzu i nic nie robić. Teściowa wzbrania się przed wyjazdem, ale po rozmowie z lekarzem wiem, że muszę

ją wyrwać z marazmu, a wycieczka do słonecznej Hiszpanii jest najlepszym ze wszystkich możliwych pomysłów. Nie dyskutuję zatem, tylko krok po kroku organizuję wakacje.

Wyjeżdżamy za tydzień.

W drzwiach mijam pielęgniarkę, jak zwykle wymieniamy się informacjami o minionym i następnym dniu. Ale dzisiaj dziewczyna zatrzymuje się i mówi coś, czego wagi w pierwszej chwili nie rozumiem.

- Z zazdrością patrzę, jak pani przyjaźni się ze swoją mamą. Rzadko można spotkać takie relacje.

- To nie mama, to teściowa - odpowiadam machinalnie, a dziewczyna już nic nie mówi, tylko całuje mnie w oba policzki.

Przyjaźnię? Z teściową?

Mamą?

Ja?